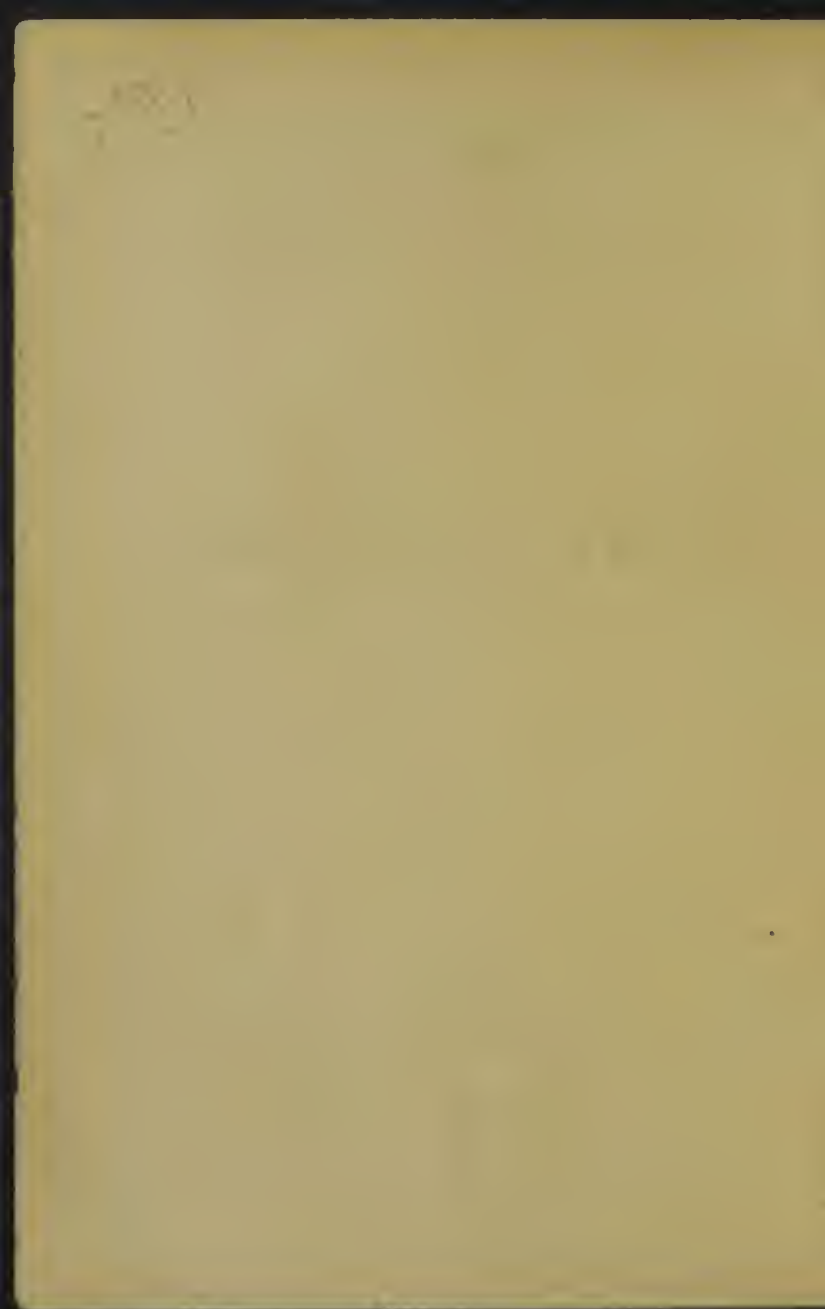


KRÓL CHŁOPÓW.



A 53

J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

XIV.

KRÓL CHŁOPÓW.

CZASY KAZIMIRZA WIELKIEGO.

T O M II.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

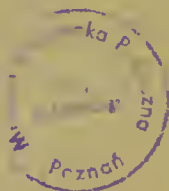
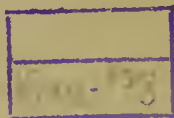
Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

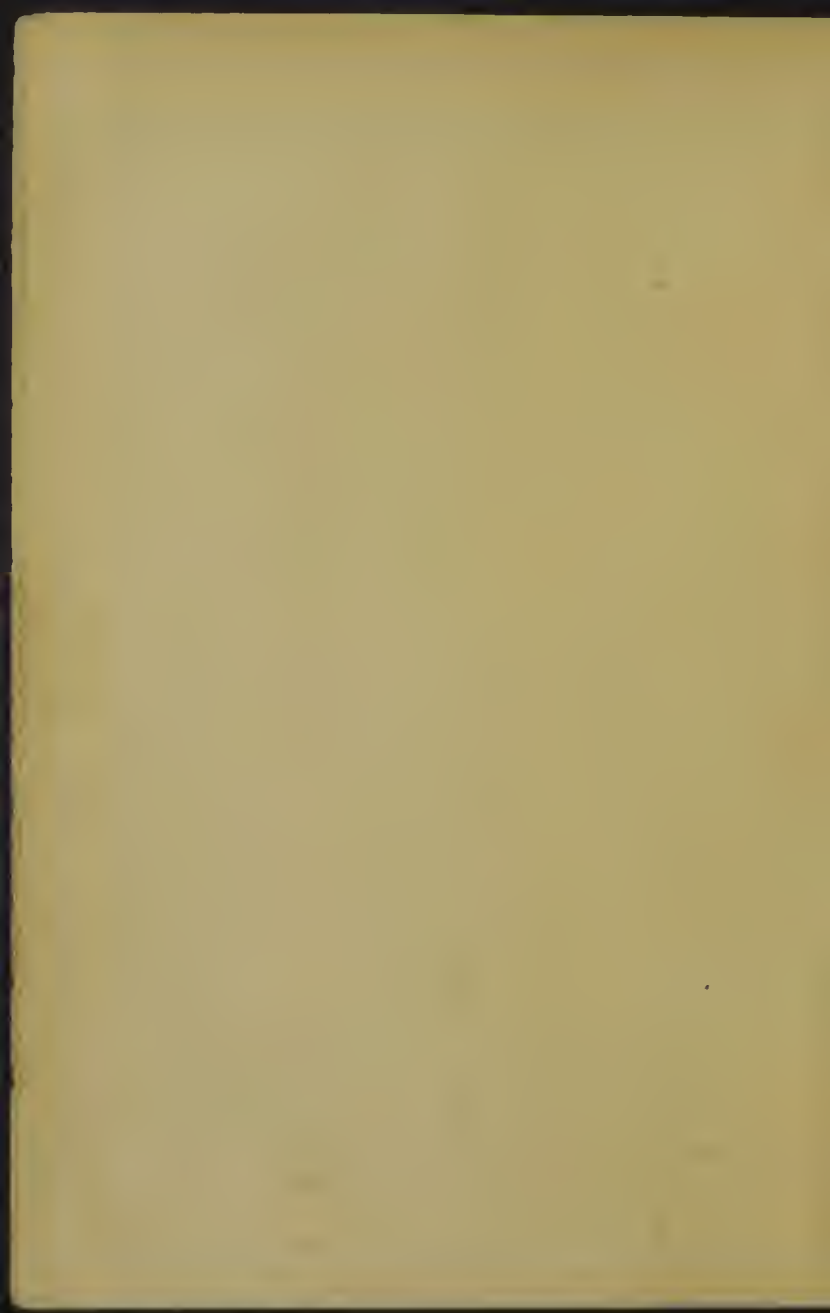
1881.



Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

106 1/2

KSIEGA TRZECIA.



Baryczka.

Zimowego dnia 1348 roku, wieczorem, mimo srogiego mrozu i zamieci, która śniegiem miotła, we dworze Neorży wielka izba pełną była i ciągle ktoś jeszcze nowy, otulony oponczą, odziany kożuchem, zakapturzony, przybywał.

Z różnych stron miasta ubocznemi drożynami ścigali się tu ludzie, zdając unikać, by ich nie postrzeżono. Przesuwali się rozglądając, wypatrując, omijając spotkanych, wsuwając w podwórze nieznacznie, wchodząc do dworca nie wprzód, aż się ze służbą w sieniach rozmówili i przez drzwi pół otwarte zajrzeli do wnętrza.

Okna w wielkiej izbie pozasuwane były szczelnie i dla chłodu i dla tego może, aby przez nie światło nie zdradzało zgromadzonych.

Było ich już tu kilkudziesięciu, stojących,

kupą w pośrodku i półgłosem wiodących żywą rozmowę, która niekiedy w gwar niezrozumiały się zmieniała.

Gospodarz na przyjęcie tych gości nie wysilił się bardzo; stało piwo i kubki, jakie wówczas w lada kramie kupowano, kilka dzbanków glinianych na pół opróżnionych, resztki chleba i misy, na których oprócz kości okrojonych nie było.

Neorża w kożuchu prostym, który ciągle z ramion się zsuwał, a on go nieustannie naciągał na nie, z twarzą czerwoną i nabrzmiałą, z oczyma zaognionemi, rękami sobie dopomagał, bo mu wymowy brakło.

Otaczający gości poważniej wyglądali i rozumniej im z oczów patrzyło. Nie bardzo też wielką zdawali się przywiązywać wagę do tego, z czem się Neorża odzywał, więcej między sobą się naradzając, niż zwracając ku niemu.

Dla izby ustronnej śnać bardziej niż dla pana jej tu przybyli.

Właśnie może to lekceważenie sprawiało, iż wojewoda natrętnie, uporeczywie do rozmowy mięszać się starał, drugim ją przerywał, za ręce chwycił mniej uważnych i po ramionach ich klepał.

Pomiędzy zgromadzonemi wyźółkła, chuda, pełna surowości namiętnej, odznaczała się twarz znanego nam już księdza Marcina Baryczki.

Z brwiami ściągniętymi groźnie, z czołem pofal-dowanym, jak z kazalnicy przemawiał kapłan, ognistym językiem, natchniony, przejęty, rozgo-rączkowany.

Słuchano go z ciekawością i poszanowaniem, choć z wyrazów twarzy słuchaczy widać było, że nie wszyscy się zgadzali na to, co mówił, jaw-nie mu przeczyć nie śmiejąc.

Bełkotanie Neorzy przechodziło niesłuchane wśród gwaru i podnoszących się tu i owdzie głosów.

Gospodarz niewiele też miał do powiedzenia, powtarzał tylko pieśń starą, wszystkim już do-brze znaną, urazy swej do króla i chęci pomszcze-nia się za nią.

— Pomsta to Boża! palec to Boży! — wo-łał głośno ks. Baryczka. — Miara zgorszenia i nieprawości przepełnioną została, znużyła się cierpliwość Bogu, miłosierdzie ustępuje pomście i sprawiedliwości. Bóg, który dzieci karze za ro-dziców grzechy... jak w piśmie stoi, królestwo to nasze dotyka plagami okrutnymi za złość i winy tego, który mu panuje!

Nie chcę być sędzią drugich, bom sam grzesz-nym człowiekiem, ale niejeden król winien, który wodze wszystkiej swej namiętności puszcza, winni drudzy, bo ich karygodne milczenie współnictwem nazwać można...

Komuż przystało skarcić, do opamiętania skła-

niać, na dobrą drogę go prowadzić, jeśli nie duchownej starszynie, ojcom kościoła, którzy przy tronie stoją?

Kto będzie się śmiał odezwać, jeżeli oni zmilczą?

To mówiąc piers uderzył pięścią ściśniętą ks. Baryczka.

— Winien, tak, winien Arcybiskup nasz Bogorja, pobłażliwy do zbytku: winien siostrzan jego, kapłan, co duchownych swych obowiązków dla świeckich spraw zapomina, ks. Suchywilk... jurysta więcej niż kapłan, dworak raczej niż ksiądz... a wreszcie mój najdroższy ojciec, ks. Biskup Bodzanta, który obowiązek czuje, a za długo się ociąga z surowem spełnieniem jego. Lecz tego ja skłonię, na kolanach uproszę, poprowadzę przed króla, a nie... to sam w imieniu jego stanę.

Tak, dodał, unosząc się i oczyma ognistemi wodząc po przytomnych — tak, stanę ja, choćby mnie miał spotkać los Stanisława biskupa, błogosławionej pamięci.

Takiego jak on, mężnego bojownika pańskiego otrzeba nam, a ja, choć rzemyka obowiązu świętego męczennika rozwiązać nie jestem godnym — ja, pójdę w jego ślady.

Stojący obok ks. wikariusza Otto ze Szczekarzewic Toporezyk (Neorży powinowaty i tegoż co on szczytu) z zakąszoną wargą i przymru-

żonem okiem jednym, począł się uśmiechać nieco szydersko.

Ks. Baryczka dostrzegł ten uśmiech, zmarszczył się groźno, i pytające ku niemu z gniewem zwrócił oblicze.

— Ojcie mój — z przekąsem odezwał się Otto ze Szczekarzewic — nie te to czasy, w których królowie rozgniewani męczenników czynili z was, a sobie gotowali klątwy i wygnanie... Wiecie co we Wrocławiu król czeski powiedział naszemu biskupowi, gdy mu za zajęcie dóbr klątwą zagrażał? Rozśmiał się obojętnie i rzekł:

— Widzę, że ci się męczeństwa zachciało, alem ja do tego nieskory. Dóbr ci nie oddam, i życia nie odbiorę, a o klątwę rozprawim się w Rzymie.

Wszystkich oczy zwróciły się na ks. Baryczkę.

Oblicze jego marszczyło się i mieniło, drżał od wewnętrznego poruszenia. Zwrócił się z pewnem lekceważeniem do Ottona i zawołał, mierząc go wzrokiem dumnie:

— Nie każdemu Bóg wieniec i palmę męczeńską dać raczy, ale każdy winien święty spełnić obowiązek. Alboż myślicie, że i to męczeństwem nie jest, gdy kapłana, sługę bożego, sponiewierają pogardą?

To rzekłszy, odstąpił nieco ks. Baryczka z koła, otarł twarz, na którą pot wystąpił, i zamilkł.

Drudzy milcząco patrzyli po sobie.

Piotr Pszonka z Babina, niewielkiego wzrostu, człek z twarzą rozognioną i niespokojnem wejrzaniem, pierwszy się po nim odezwał.

— Sprawa księży, a nasza, nie jedna. Co nam tam do tego, jakie król życie prowadzi? Każdy za swoje odpowiada, z Bogiem się o nie rachować będzie. Gorsza to, że dla nas on nie takim jest, jakimbyśmy go mieć chcieli.

Na rycerstwie i na szczytach naszych stoi to królestwo, a nas, ojcyców jego, co raz spychają na dno. Prawo nam nowe narzucił, chce, aby wszystkim dobrze było, mieszczanom, kmieciom, chłopom, żydom nawet; tylko nam swobody dawne obrzyna i niewolą grozi.

Albo my to niepomni jesteśmy dawnych czasów, gdy z duchowieństwem królów i książąt sadzaliśmy i wysadzali? W cóż się to nasza siła i moc obróciła?

Daliśmy ją sobie po kawałku odbierać, przez własną winę, pójdziemy za to w niewolę.

Nieopodal od Pszonki stał, patrząc na mówiącego, mężczyzna w sile wieku, ująwszy się w boki, oblicza zuchwałego, razem i przebiegłość chytrą, znamionującego.

Barczysty był, gruby, i jak dąb rozrosły. Z obejścia się z nim otaczających, z wejrzeń, jakimi go mierzyli, wszyscy niemal ciekawie mu się przypatrując; widać było, iż znaczenie miał tu

niemale; i inni radzi byli jego też głos posłyszeć w tej sprawie.

Gęsty włos ciemny z odbłyskami miedzianemi zwijał mu się dokoła twarzy nie pięknej, ale moc wielką, upór i zarozumienie wyrażającej. Brodę krótką, a szeroką, rudą miał prawie, policzki wystające, usta mięsiste, z pod których białe rzędy zębów przeglądały; oczy niespokojne, błyszczące. Strój na nim, wdziany niedbale, bogaty był i pański. Spodem suknia lamowana i spinana guzy świecącemi, na wierzchu dostatnia z kun szuba, okryta drogą tkaniną, miecz, który spierając się w bok ręką, przyciśnięty trzymał, kuty był, sadzony kamieniami, spięcie pasa świeciło podobnie, dostatek zdradzając.

Choć Neorża gospodarzem był, a ks. Baryczka dostojęństwem duchownem przed innemi świeckimi przodował, on tu zdawał się najpierwszym być, on prawo mieć jakieś do kierowania drugimi. Oglądano się nań ciekawie i trwożnie.

Ten jednak więcej słuchał, niż mówił, badać chciał raczej, niż się sam spowiadać.

Gdy Pszonka dokończył, usta mu drgać poczęły.

Seigano go tak oczyma, domagając się, by przemówił wreszcie, iż dłużej już milczeniem ich zbywać nie mógł.

— Wszystko to prawda, co mówicie — odezwał się rubasznie i jak od niechcenia — ale je-

szcze to niespełna, co potrzeba. Tego nie dość! Ziemianie upadają na siłach, tak, boć i ich ziemie, z których się królestwo składa, przepadają w niem a toną. Żadna już się, jak dawniej, do tego przyznać nawet nie chce, że odrębną była, że swych własnych książąt miała.

Prawo jedno, pieniądz jeden, król jeden — a nasze swobody wielkopolskie, kujawskie, krakowskie, mazowieckie, wiele ich było, zmeili nam w pańskich żarnach na jedną mąkę, i będą nam teraz z niej dawali taką miarkę, jaką zechcą.

Każda ziemia naprzód o sobie pamiętać powinna, każde rycerstwo z sobą się silno w kupę związać. Gdy pulki takie staną, wojsko z niego urośnie, a dziś co jest? tłum niesforny i zbierania!

Większa część słuchaczów, jakby rozumną tę radę znalazła bardzo, poczęła żywe dawać przyzwolenia znaki.

— Rozumnie mówi! — szemrali jedni. — W sedno trafił! — dodawali drudzy. — Ten głowę ma! Jego słuchać!

— Ja moich Wielkopolan — ciągnął dalej mówca, uśmiechając się, rad sobie — około siebie ściskam, wiązę ich i gromadzę; królowi się kłaniam, ani mu wypowiadam wojny, ni posłuchu odmawiam. Milczę pokorny, ale w domu chcę panem być i będę, a gdy zastęp nasz silny urośnie,

nie weźmie nas nikt gołą ręką, nie damy się nikomu.

— Prawdę mówi Maciek Borkowicz — głową potrząsając, ozwał się Janina z Rogowa — o! święte to słowa... Ta nas jedność zgubiła...

Ziemiańskie się po różnych stronach rozpierzchli, swojego nie trzymając kąt. Dawniej krakowscy ojczyce potęgą byli w domu, teraz ich po wszech ziemiach pełno, a starej gromady nie ma. Wielkopoleanie do nas nadciągają, o naszą sprawę się nie troszcząc, my też osiedlamy się, gdzie który chce obcemi się potem czując.

Stanie na tem, że będzie jedno królestwo, ale i ziemiany, rycerstwo, panowie przepadną dawne prawa ich, a tylko moc królewska urośnie.

Słuchał tego, lekko poruszając ramionami, ks. Baryczka, słuchał, niecierpliwiąc się, aż przerwał nagle wielkim głosem:

— Wy rozumem chcecie wszystko złe zwojować! Rozumem a bez Boga! Hej! hej! do lepszego nie tędy droga. Związując się w pułki i zastępy, nie uczynicie nic, nie podolacie niczemu, boście grzesznicy, rozpustnicy, a zbytniki, jako i ten, przeciw któremu wstajecie...

Naprzód żywota poprawcie, kajajcie się, a Bóg za was uczyni to, czemu wy rozumem nie podolacie. Król w grzechu, ale i wy nie lepsi! Bić się naprzód w piersi i pokutować...

Do tego przyszło, że w państwie chrześcijań-

skiem Sakrament przenajświętszy bezbożni ludzie z kościoła chwycili i w błoto cisnęli!! Nie byłoż za co całego państwa karać i smagać? Co po tem, że świątynię w owem miejscu budują, a życia nie poprawili.

Widzieliście, jak zaraz po świętokradztwie tem przyszła w tropy kara boża, nasał Pan mór czarny, śmierć wymiotła tysiące, wyludniło się miasto! Jak Sodomę i Gomorę zniszczy Bóg to gniazdo wszeteczne, jeśli się nie poprawicie.

Nikt odpowiadać nie śmiał na ten groźny wykrzyk kapłana.

Przypomnienie niedawno przebytego moru, który po sobie straszne pozostawił ślady, bo ludność miasta w części się była rozpierzchła, a w części padła jego ofiarą, i całe osady a miasteczka po nim opustoszały, zbyt jeszcze było żywe, przerażało wszystkich.

Neorża nawet spuścił głowę i trwożliwie powiódł dokoła oczyma.

— Na wielkie zło — dokończył ks. Baryczka — ostrych też potrzeba leków... pokuty, włosienicy, skruchy, poprawy; w nich zbawienie, a nie w waszych związkach i naradach!!

Bóg zsyla i mory i króle!

Maciek Borkowicz zacisnął usta... skrzywił się, pokręcił głową, i na kilka kroków w tył odstąpiwszy, kołpak poprawił, szubę ściągnął,

jakby się już odchodzić zabierał, nie mając tu co poczynać więcej.

Lecz i ks. Baryczka, wypowiedziawszy co na sercu miał, nie spotykając ani przeciwnieństwa, ani oznaki, by mu prawdę przyznano, gospodarza ukłonem żegnał, i zadumany ku drzwiom szedł szybkim krokiem. Maciek Borkowicz, zobaczywszy to, wstrzymał się z ustąpieniem, do koła powrócił.

Inni także, jakby im ksiądz ten ciążył i przeszkadzał, po odejściu jego spojrzeli na się rażniej i odetchnęli swobodniej.

— Święty to człowiek — zabelkotał Neorża — a no, z niego nam nie wiele korzyści, chyba tyle, że królowi dokuczy... ten zaś i do kłatwy gotów, nikogo się nie zleknie.

— Niechaj go tylko wyklnie — przerwał Otto Toporczyk, śmiejąc się i pomrugując. — Stoi przecie w tem prawie, które sam król postanowił, że od wyklętego pana chłopom wolno precz iść wszystkim, i nam się go pozbyć będzie łatwiej własnem prawem jego.

Rozśmieli się niektórzy, potwierdzali chętnie wszyscy. Lubelscy ziemianie, Pszonka, Otto i Janna coś pomiędzy sobą szeptać zaczęli.

Maciek Borkowicz poufale rękę położywszy na ramieniu gospodarza, po cichu mu kładł w ucho jakąś radę. Inni rozpraszali się powoli.

Wtem Pszonka znowu głośno mówić począł,

a ci, co się byli już rozpierzchli, powoli ciekawie ku niemu się ściągałi.

— Książd po księżemu prawi, ale też słuszość ma — mówił Pszonka, rozglądając się dokola i zbierając słuchaczów oczyma. — Albo to nie wstyd i hańba, że królowa siedzi wdową na Żarnowcu, a jemu coraz nowych niewiast sługi szukają... Mało im swoich, ściągają po wszystkich ziemiach węgierki, czeszki i niemki... Jak począł od poganki litewki, tak teraz coraz mu innego owocu trzeba... Co nadkąsi, to rzuci, a czeładź dojada!!

Zobaczycie, gdy się przebierze, jeszcze na żydówce gotów skończyć! Tego brakło, a i to będzie... bodajbym sromoty tej nie był prorokiem!

W śmiech obrócono wykrzyknik Pszonki.

— A, niechajby sobie smakował w czem chciał — odparł Janina — co nam do tego, to ks. Baryczki i spowiedników sprawa... Nam, byle rycerstwo i jego prawa szanował, choćby... wiedźmę wziął... nie do tego.

Toż gorzej, że nas ode dworu i od łask odpychają. Kilku ulubieńców swoich ma, ot takiego Kochana, co się nawet wojewodom nie kłania, a oni jemu nisko, takiego Dobka Bończę, który do góry głowę zadziera, jakby od innych był lepszy; zresztą kto przy nim? mieszczanin, pół-niemca, Wierzynek, żyd Lewko... kat ich zna!

— Łada chłop! łada rab! wykrzyknął, bełko-

cząc po swojemu Neorża, ja o tem najlepiej wiem. Byłże u mnie kmieć Leksa, co go Wiaduchem przezywali, prosty człek, gbur, co myślicie? Król do niego jeźdźał w odwiedziny, w chacie się zasiadywał, najmilej się z nim zabawiał, rozprawiał jak ze czlekiem, rady mu dawał, skarg miłościwie słuchał. Tego juchę, gdy śmiał potem do Wiślicy jechać, jakby tam dla nich prawo pisa-no, za co mu król jeszcze pono dziękował, powracającego na drodze, gdy mi zuchwale odpowiadął, schwycilem i zarąbał... Niechaj drudzy znają, aby mi kmieć lba do góry nie podnosił. Wara im stawać na równi z nami.

— A co o żydach powiadaliście, wtrącił żywo Otto ze Szczekarzewie, to też prawda, że on ich broni i strzeże lepiciej, niż chrześcian... choć pana Boga naszego zamordowali. Pytacie, dia czego? He! he! przez nich i przez mieszczan wielkie skarby mu płyną, a na złoto bardzo chciwy jest. Skarbiec już na Rusi dosyć napelnil, wieźli go wozami do Krakowa, że się pod nim osie lamaly; tron ze szczerego złota sadzony kamieniami, jak pięści ogromnemi, dwie koronie z berłami, krzyż ogromny, a naczynia srebrnego i złotego, rogów kutych, na seciny... Mało tego, z Gniezna kościelne srebra pooddawał mu drnh Bogorja... Zdaje się dosyć ma, by krzyżaków, i węgrów, i czechów opłacać, a pychę swą stroić — a no, nie? Więcej i więcej coraz pragnie... Po-

patrzcie na dwór, jaki on był za Łokcia, który w prostej oponczy chadzał, a co za zbytki u niego. Ino szkarłaty i perły na nich... złoto kapie z parobków stajennych, z Cesarzem chce iść o lepszą wspaniałością. A nam co po tem?

Na to mu jego Wierzynek, którego on już rycerzem uczynił i szczytu mu dozwolił, na to Lewko z innemi żydy pieniędzy dostarczają... Każdą grudkę soli teraz liczą i ważą, ze wszystkiego korzyści ciągną, a gdzie dawniej ziemianie korzystali, teraz on sam i skarb...

Dla tego on żydów lubi, bo oni mu pieniądze kowają, no — i taka natura w nim przekorna, że co najpodlejszy gmin, na który nikt nie spojrzy, jemu smakuje najlepiej. Przyjdzie doń dwu na skargę albo z prośbą, popatrzy, zawsze który najnędzniejszy, tego wybierze i do niego się zwróci. A z pokłonem rycerz starego rodu zjawi się, zmierzy go od stóp do głów oczami, rzadko słowo powie. Żebak na drodze, chłop u radła, żyd w nędznej chałupie, to dla niego przysmaki. Nie pominie żadnego, stanie, zaczepi, będzie z nim rozmawiał i okaże mu oblicze najlaskawsze...

O tych żydach powiem wam, na com ja sam własnymi oczyma patrzył.

Wszyscy około mówiącego Ottona ze Szczekarzewic skupili się ciekawie, Neorża śmiał się uradowany, bo na jego młyn woda płynęła, powtarzał ciągle;

— A co? a co?

To, o co obwiniano króla, szczególnie mu smakowało.

— Chłopów król, a nie nasz! — mruczał —
chłopów król.

Tymczasem Otto dalej opowiadać zaczął:

— Łońskiego roku, gdy Pan Bóg nas tym strasznym morem pokarał, który wiatry z kądś przyniosły, a drudzy prawią, że z kupcami do nas i kupią przywędrował, ludzie padali jak muchy. Trwoga była okrutna, tak, że niektórzy ze strachu samego marli, choć czarnych wrzodów, i krost, i dymienicy nie mieli. Kto żyw, z Krakowa życie unosił, bo tu powietrze, jak ks. Baryczka powiada, za przenajświętszy Sakrament sporniewierany mściło się bezlitośnie.

Zakonnicy tylko i księża, gdzie którzy pozostawali, aby umierającym ostatnią oddać posługę. Nie nastarczyć było grabarzy i trumien... Walały się trupy pod płotami, co je potem lada gdzie do dołów rzucano, aby zarazy pozbyć.

Król, który w Krakowie podówczas nie był, gdy się to poczynalo, jakby sobie z mocy Bożej uragowisko czynił i wyzywał ją, choć go ten z Melsztyna i inni prosili, po rękach całowali, aby się kędy w lasy schronił, nie, wprost na Wawel powrócił!

Było to właśnie w porę, gdy ludzie dowodnie doszli, iż pomorek był bodaj sprawą żydów, albo

za żydowskie grzechy, które u siebie cierpiemy, zesłany. Postanowiono niewiernych wybić i wytopić, aby Boga przebłagać.

Niektóre żydowstwo ostrzeżone, pouchodziło, inni u chrześcijan szukali drogo okupionego schronienia, po lobach i jamach się zakopywali.

Mnie się naówczas ani śniło do Krakowa, w paszczę tej potworze leżć, jakby onemu smokowi Krakusowemu pod Wawelem, aż dowiaduję się, że tam stary mój pan rodzic zaniemógł, a woła mnie do siebie, abym go wyzwolił, albo po-grzebał...

Musiałem więc, wzięwszy błogosławieństwo kapłańskie, a od bab różnych ziół siła i zaklęć, spieszyć do pana rodzica. Miałem postanowienie takie, tylko z wozem krytym pod domostwo po niego podjechać, starego zabrać, i ani wody kropli do ust nie biorąc, ani chleba kawałka, natychmiast nazad do Szczekarzewic z powrotem. Ale na złą trafił godzinę. Właśnie się było pospólstwo na żydów zniosło i zbiegło, a sprawiedliwość i pomstę nad niewiernymi domierzać zaczęło. Trafiłem, jakbym pośród rozpalonego ogniska padł.

Rynek, targowice, ulice, kąty, wszystko pełne było czerni i tłumów. Jeszczem jako żyw, ludzi tylu tak oszalałych nie widział, niby bestje dzikie i zwierz leśny, bez pamięci, bez litości mordujących, krwią pijanych.

Com się ja wówczas napatrzył, nie zapomnę

do śmierci. Z pod murów zamkowych, od Okola, kędy tylko o żydach wiadano, wywlekali ich, albo pół żywych, lub już pobitych, siekierami lby ucinając, postronkami dławiąc... Napróżno się o chrzest prosili z trwogi, mordowano starych, młodych, niewiasty, dzieci rzezano na sztuki, aby nasienie tego plemienia nie zostało.

W niektórych miejscach po ulicach trupy już stosami pod ścianami, w kałużach, w rowach, zalegały obnażone, zsiniałe, w sztuki porąbane. Indziej, gdy już sił do mordowania tego plugawstwa nie stawało, gnali je i wlekli do rzeki, topiąc z kamieniami u szyi.

W mieście wycie, płacz, jęki, a szalony wrzask dzwony głużył. Jam się tem pospieszniej do ojca przebijał, często mieczem sobie drogę torować zmuszony, a mało mnie gwałtem też do tej roboty nie zaprzężono, bo lud wściekły na nikogo nie zważał.

Jużem się był nieopodał od zamku dostał, aż widzę, jakbym dziś jeszcze na to patrzył, naprzeciwnieko mnie, z murowanego dworca, którego wrota wylupane na ziemi leżały, oprawcy wywlekli właśnie całą żydowską stadninę, która się w lochu ukrywała. Był jeden stary, z brodą siwą, z szat odarty, wychudły, nagi, z głową огоloną, któremu sznur na szyję już i pętlicę zadzierzgnięto, było dwu młodszych na poły omdłałych, którzy ręce łamali, klękali i opierali się, że ich wlec

musiano, i żydowica stara w poszarpanych sukniach, której ze strachu mowę odjęło. Ta jeszcze córkę czy wnuczkę, dziewczę może dziesięcioletnie, obejmowała pokaleczonemi rękami tak silnie, że trzech ludzi wyrwać jej nie mogło...

Kupa ludzi tłocząc się, gnała ich. Jeden już zabity, padł twarzą na ziemię i tam został, z drugich krew się lała, ranami byli okryci... Żydowica też porąbana, posieczona, jakby nie czuła nic, dziecko sobą okrywając, ratować próżno chciała od śmierci.

Dziecko to, choć żydówka niewierna, takiej było cudnej piękności, że ja oczów od niej nie mógł oderwać, a wypieszczone i wątle, jakby pańska córka. Włosy jej czarne, rozpuszczone, do kolan niemal spływały, a co z pod podartej koszuli ciała było widać, jakby z kości słoniowej wyrzeźbił, tak śliczne... Oczy, gdyby dwa węgle czarne, patrzyły przerażone na tych, co ją pochwycić chcieli... Rączkami białemi trzymała się pokrwawionej matki. Choć żydów, i mnie się chwilę żal zrobiło...

Jużby jej wnet był który cios zadał, bo się coraz większa kupa zwała, a starą siekli i cięli, która ślaniając się, jeszcze sobą okrywała dziecię, jak wilczyca, gdy jej szczenięta biorą, aż od zamku król wypadł, jako piorun, ze swojemi kilkunastu dworzany, i wprost na tę gromadę z mieczami podniesionemi.

Stałem mało, patrząc a dziwując się, myśląc, że i Kaźmirz też przyłoży rękę do dzieła, by niewiernych wytępić, a no, stało się, czegom nie spodziewałem...

Wszyscy królewscy i on sam, nie na żydów wpadli, ale na ten motłoch, co ich mordował. Sam widziałem, jak kilku ciał i okrwawił, rozpędzając precz. Z konia zsiadł i wprost do matki z dziećciem pobiegł, okrywając ją sobą... i gromiąc napastujących. Won... precz!! Żydowica się rękami zbuczonymi za szaty jego chwyciła, a ową dziewczyninę król objął i płaszczem otulił. Żydowie starsi popadali mu pod nogi, za kolana go chwytając.

Kochan i Dobek, przy nim stojący, poczęli krzyczeć:

— Precz zbóje — precz!

A miecze mieli obnażone, i tłum, choć był rozjadły, pierzchnął, szanując wolę pańską.

Zaraz i drudzy żydowie, którzy poblizu byli, korzystając z tego, że oczy wszystkich na Kaźmirza były zwrócone, i że na nich nie baczono, poczęli się eisnać, zbiegać z wrzaskiem i jękiem ku niemu.

Skinął, aby rozpędzano gmin, i sam na to patrzałem, jak starą żydowicę, z której posoka się lała, wzięwszy za rękę, a dziecko wciąż płaszczem otulając i starym żydowinom iść za sobą rozkazując, nazad na zamek pociągnął pieszo,

dworowi zalecając, aby motłoch rozegnano, a niewiernym żadnej krzywdy czynić nie dano... Tak się to morderstwo podówczas skończyło, i żydów połowa albo i więcej uszła. Niektórzy na zamku, inni po miastach dalszych, nocami zbiegając, po-przebiegani, ukryć się potrafili.

Mówili potem, że ową starą żydowicę, własnemu lekarzowi kazał obwiązywać, smarować i leczyć, a przez dni kilka spokoju nie miał, aż matkę z córką na królewskim wozie, pod strażą, do Opoczna odwieziono...

Gdybym sam nie patrzył na to, nie uwierzyłbym temu, że król się tą krwią niewierną nie wahał zboczyć, że tych nieczystych judaszów dotykał, bronił i ratował...

— O dziewczynie tej i matce jej słyszałem i ja, zaszeplecił Neorża, było o tem mowy dosyć... Powiadał Goworek, który ją widział, że tak pięknego wyrostka jak ten, w życiu nie widział. Choć to jeszcze pół dziecka było, ale królowi piękność kazała zapomnieć o żydowsztwie... Wszyscy się dziwowali, nśmiechali, a niektórzy nie mogli pojąć, jak Bóg niewiernej takiej mógł dać postać i ciało, coby jej królowna mogła zardościć...

Goworek, co na zamku mieszkał, rozповідаł, że dziewczyna była nad swe lata rozumna, a śmiała i dumna... Dworacy i sam król napatrzeć się

jej i nasłuchać nie mogli, gdy opowiadała, jak ich mordowano...

— Co po piękności i rozumie, przerwał Pszonka, kiedy to naród jest niewierny, do którego król ani się powinien był zbliżać, ani z nim przedstawiać. Szatan na pokusę nieraz daje swoim dzieciom takie oblicza anielskie... Lepiejby się było stało, gdyby to plugawstwo wybito w pień.

Janina, słuchający jak inni, dodał:

— To bo żydzi pono z tego rodu, który u króla żupy trzyma i pieniądze mu kuje. Bez nichby się nie obszedł... dla tego ich ratował.

Neorża, wielkich dzierżawców i swoje konie przypomniawszy, dodał z przekleństwem:

— Jeszcze my ich kiedyś, judaszów tych, razem z tym, co ich tak kocha, wyżenimy precz... dopiero lepiej będzie.

Śmiała ta pogrożka, choć może wielu była po myśli, w nikim jednak wtóru nie znalazła, przeszła jakby niedosłyszana.

Niechętni byli wszyscy królowi, przecie bali się i wahali inaczej jak szemraniem myśli objawić.

Maciek Borkowicz, przysłuchujący się z półuśmiechem pogardliwym, potrząsając głową, rzekł, wodząc oczyma do koła:

— E! e! próżny to gwar! miłościwi moi! Nałajac z kąta, to tam każdy potrafi — a do roboty się zabrać, mało kto. Ja, nie chwając się, wielkopolan ściagam moich do kupy — radzę,

czyńcie wy też samo u siebie. Z gadaniny nie urośnie nic, chyba kwas.

I kołpaka znowu poprawiwszy, z miną butną, Neorży się trochę skłoniwszy, szedł precz na innych nie patrząc.

Gdy się to w wielkiej izbie działo, z której goście powoli rozchodząc się zaczęli i rozjeżdżać, piłnując, aby gromadnie na ulicę się nie wysypywali i każdy w inną rozjeżdżając stronę; dołąd milczący człek, który się tu nie wiedząc jak wcisnął, i nie odzywając ani mieszając do rozmowy, słuchał tylko nie bardzo nawijając na oczy, wysłiznął się też, opończą osłoniwszy ze dworu Neorży, pieszo pod płotami poczynając iść ku miastu i rynkowi.

Był już za drzwiami, gdy gospodarz, ciągle rozgrzany rozmową, który mało co na kogo zwał i prawie go nie postrzegł wprzód, dopiero wychodzącego zobaczył lepiej, chcąc dognać, ale już było zapóźno.

Stał koło niego Jaksa, co się o córkę Neorży zawsze jeszcze starał i do niego chodził, choć wiadomo było, że na dworze królewskim służył i z królem trzymał. Nie obawiano się go, bo przyszedłszy teścia zdradzić nie mógł.

Tego porywczo spytał Neorża.

— Kto to taki?

Wskazał palcem za odchodzącym.

— Ja go nie znam — rzekł Jaksa.

— Któż go przywiódł? z kim tu przybył?—
podchwycił niespokojnie Neorża — nie wy?

— Nie ja! — odparł zapytany.

Neorża zaburczał gniewnie...

— Do kata! — zawołał — stał jak mruk,
uszy nastawiwszy — i niewiadomo kto on jest.
Gotów na zamek z językiem.

Włosy sobie zaczął targać Neorża, usiłując
przypomnieć kto nieznajomego przywiódł tu zie-
mianina, przed którym, sądząc go swoim, z ni-
czem się tajono.

Jaksa go nieco uspokoił tem, że przecie na
podsluchy przysłanym nie był a samby się wnijsć
nie ważył, ktoś więc za niego ręczył.

— Wy też nie do nas, a do króla i do dworu
należycie, to ja wiem, odezwał się gospodarz do
Jaksy, ale przecię skarżyć nas nie pójdziecie.

Spojrzał nań, Jaksie na twarz rumieniec wy-
stąpił.

— Jam tu przybył się wam pokłonić, miło-
ściwy panie, a nie języka szukać — rzekł ży-
wiej. — Boli mnie to, co przeciw królowi mó-
wiono, bo ja go miłuję, ale nie moja to rzecz
rozwłaszczać, co przy mnie, zaufawszy mi, mó-
wiono... otwartem sercem.

Zresztą — dodał przybliżając się do Woje-
wody — nie jest na zamku tajemnicą, co który
z ziemian myśli i co o królu prawi. Wie o tem.

dobrze Kochan, ulubieniec pański, a o czem on wie dziś, pewnie król jutro będzie wiedział.

Neorża się skrzywił, ręką poruszył, splunął, lecz że Jaksę się żegnał z nim, rozmowy nie przeciągał.

Zmęczony, ziewający z troską poszedł do pościeli. Nie wiodło mu się jak pragnął.

Nieznajomy ów, który się był niepostrzeżony zrazu wcisnął pomiędzy niechętnych królowi, wprost ze dworu wolnym krokiem na zamek się zawrócił.

Był to Przedbór Zadora, z bratem swym Pakosławem zostający na usługach królewskich, prawdę rzekłszy, Kochanowi więcej służący niż panu, który go rzadko widywał.

Obaj bracia zdawna wiernie stali przy ulubieńcu, który się im wypłacał zalecając ich Kazimirzowi, jako najwierniejsze sługi. Z ubogiej rozrodzonej rodziny pochodzący, Przedbór i Pakosław musieli przy dworze szczęścia szukać, a dorabiali się go, nie bardzo patrząc, co im czynić kazano.

Kochan miał z nich posłów, pośredników, pomocników, a gdziekolwiek nie mógł sam, jedynym lub drugim z nich się wyręczał.

Przedbór i Pakosław stworzeni się zdawali do tego rzemiosła dworskiego. Obydwaj milezący, potulni, pokorni, roztropni, ostrożni, niezmordowani, chętni i gotowi gdzie im kazano, w potrze-

bie odważni i mocnego korda... sami przez się czynili mało, nie wazyli się na nic własnym rozumem, aby za to nie odpowiadać skórą własną, ale co im zlecono spełniali jak najgorliwiej i najzręczniejsz. Stąpić bez nich nie mógł Kochan, a Kochan ten, choć mało na dworze widoczny, choć żadnego tytułu i dostojenstwa nie mający, był jednym z tych ludzi, z którymi się wszyscy, i najwyżej położeni rachować i oglądać musieli na nich.

Nie jeden raz, gdy króla przygotować do czego, nakłonić, przekonać było potrzeba; Arcybiskup Bogorja, pan z Melsztyna i inni po cichu się doń udawali.

Ale datkiem ani pochlebstwem ująć go nie było można. Samowolny był, dumny, czuł swą siłę. Niekiedy, gdy mu to, co od niego żądano, nie po myśli było; wręcz odpowiadał, iż tego nie uczyni. Potem już próżno go było chcieć nakłaniać.

Między królem a Kochancem, wiemy już jaki był stosunek. Zrosli razem, Kaźmirz znał druha tego, wiedział co mu miał zwierzyć, a co zmilczeć; a gdy nań skinął, pewien był, że nikt lepiej woli jego nie spełni nad Kochana. Przy ludziach on wydawał się sługą pokornym, sam na sam z królem często za pan brat sobie poczynął, a nieraz go strofował.

Bez Kochana Rawy Kaźmirzowi trudno obejść

się było, choć czasem hamować go potrzebował. Najlepiej zawiadomionym o wszystkim co się w kraju, mieście, na zamku działo, a co króla tyczyć się mogło, był ten ulubieniec. Donosił wszakże panu tylko o tem, co uznał potrzebnem, aby uszów jego doszło.

On i Wierzynek, z którym Rawa poufale przedstawiał, drużbę z nim mając wielką, stanowili tę radę potajemną w sprawach osobistych Kaźmirza, która mu życie ułatwiała, osładzała, a w wielu wypadkach od ciężkich osłoniła razów. Przed niemi nie skryło się nic, oczy mieli otwarte, ucho czujne, a, choć dobrodziejstwy obsypywani hojnie, króla nie przez chciwość ani przez wdzięczność, ale jako człowieka kochali.

Oni też jedni znali go takim, jakim był w istocie.

Z ludzi jak z kwiatów woń wychodząca na świat, niekoniecznie odpowiada temu, co się w nich w istocie znajduje. Pachnie często truczizna, odraża wonią dobroczynne ziele. Tak i sława ludzka nie pełna bywa i niesprawiedliwa, podnosi często to, co na to nie zasługuje, zapomina o tem, co najbardziej pamięci warto.

W Kaźmirzu naówczas widziano to, co każdy chciał upatrzeć; całego nie znali nawet ci, co mu byli najbliżsi; ani Bogorja, ni Suchywilk, ni pan z Melsztyna, ni Trepka, ani Wierzynek, ni Kochan nawet.

Każdy z nich widział odsłoniętą mu część ja-

kaś tego człowieka, króla, pana lub przyjaciela... sądząc, że ona nim całym była.

Króla zaś wielkiego a nieszczęśliwego, brzemienneho myślami a troskami strasznemi, dopiero z czynów przyszłość odgadnąć może.

Zwali go jedni chciwym, drudzy pysznym, samowolnym jedni, swawolnym i rozpasanym drudzy...

W nazwaniu urągliwym króla chłopów tkwiła już niechęć rycerstwa, choć król nie ukrócił mu ani swobód, ni przywilejów, mieli mu za zło, że na równi z niemi dbał nie tylko o mieszczanina, o kmiecia, ale nawet o żyda; a rycerzem będąc, nietylko nim był, ale skrzętnym gospodarzem.

Jak Neorża koni wypędzonych z Wieliczki nie mógł mu darować, tak inni tego, że za krzywdy kmiecia się ujmował, a sprawiedliwość równą chciał mieć dla wszystkich; że miasta dzwigał, a mieszczan rad możnemi widział.

Ten podnoszący się od ziemi stan średni, choć wzrost jego wprędce zatamować miano... już się rycerstwu groźnym wydawał. Król z czasem oprzeć się mógł na nim i stawać przeciw roszczeniom ziemian i panoszków.

Wiedział Kaźmirz, jak go sądono, lecz miał w obec ludzkich sądów toż samo męztwo, które ojciec jego przeciw nieprzyjaciółom okazywał.

Nie troszczył się o głosy złośliwe, nie obawiał pomsty nieczyjej, nie cofnął nigdy przed

oporem tłumu i szemraniem... Krzyczano na Wiślickie prawa... przecież król je przewiodł, na swem stawiać. Obok męztwa miał obyczaj taki, że o tem co czynił, mówił mało albo nie; i to chyba z wybranymi. Gdy myśl się w nim zrodziła a dojrzała, nie pytał, jak ją przyjmą... spełniał, co postanowił.

Milczenie to wstrzemięźliwe czyniło, iż częstokroć ludzie domysleć się nie umieli, co postanowi, kędy pójdzie, odgadnąć nie mogli... i obawiali się.

Teraz, po owym morze, który znaczna część duchowieństwa, jako karę za królewskie grzechy poczytywała i głosiła... po opiece żydom prześladowanym okazanej, po nadaniu przezwiska króla chłopów, wiedząc, ilu sobie niechętnych miał Kaźmirz, wcale się o przejednanie ich nie troszczył; a gdy Kochan mu wyliczał nieprzyjaciół, uśmiechał się potrząsając głową.

— Za słowa mścić się nie będę — mówił, zbywając się ulubieńca — gdy występki popełni z nich który, dla przykładu i grozy nie przebaczę... Słowo wiatr... ci co mówią wiele, zazwyczaj czynią mało.

Tak, ani Neorzy którego tylko nie przypuszczał do siebie, ani innych nie dał prześladować, zbywając ich pogardą.

Nazajutrz po dniu tym, gdy nieprzychylni królowi ziemianie u Neorzy się zeszli i co który na sercu miał, głośno się z tego wypowiedali, dając się nieopatrzenie podsłuchać Przedborowi, który doniósł o nich na zamek; Kochan, ledwie strzymawszy wieczorem przy sobie co mu doniesiono, wszedł do królewskiej sypialni zawczasu rozpowiedzieć mu o schadzce wczorajszej.

Król dnia tego wstał z łóża znękany, i, jak mu się to często trafiało, niemal pod brzemieniem życia upadać się zdawał. Od owej tragedyi na Węgrzech, od niedoszedłego smutnego wesela w Pradze, bardziej jeszcze od ożenienia z Adelaidą, przychodziły nań często takie chwile niesmaku i zmęczenia, z których Kochanowi nawet, znającemu go najbliżej, trudno go czemś wyrwać było.

W chwilach tych Kaźmirz milczący był, obojętny na wszystko, głuchy; niczego się nie zdawał pragnąć, i nie go nie obchodziło.

Często po dwakroć i trzykroć ulubieniec mu coś powtarzać musiał nim zrozumiał, nim się tem rozbudzić dał i odpowiedział.

W takich to dniach znękania Kochan mu rozrywek szukał, niewiasty raił, aby go do życia przywrócić, wesołe towarzystwo ściagał do stołu, Szupce, trefnisiowi pana, towarzyszków dobierał... a gdy to wszystko nie pomagało, naostatek do ks. Suchywilka się ndawał, który królowi myśł

jaką wielką poddawszy, najprędzej nią z tej obumarłej wyprowadzał go martwoty.

Tak po pragskiem niedoszlem weselu, uleczył go Suchywilk ze smutków, rzucając pierwszą myśl Wiślickich Statutów; teraz król zamki budował, miasta podnosił, drogi kopać kazał, i tem żył znowu.

Lecz po jakimś czasie, gdy nowa myśl ciąło przybierać zaczynała, krótką go obdarzywszy pociechą, nowej już karmi szukać było potrzeba.

Wiecznie rozdartą, niezgojoną raną serca Kaźmirzowego była ta groźba straszna, że nie zostawi męzkiego potomka po sobie, a koronę na obce dłonie zdać będzie musiał, i zejść ostatnim swego rodu.

Nadzieje, które pokładał na ożenieniu z Adelaidą, spełzły były. Królowa, odesłana do Żarnowca, siedziała tam samotna, a Kaźmirz żyć z nią prawie nie počawszy, nieprzezwyćżony wstręt powziął ku niej i widział w niej tylko zawadę, na wieki mu odejmującą wszelkiej lepszej przyszłości wróżby.

Na to rozstanie tak prędkie z Adelaidą wiele się różnych przyczyn składało.

Z twarzy nie piękna, na umyśle upośledzona, rada swemu wyniesieniu na królowę, Adelaida zносиła wygnanie prawie obojętnie.

Niemka to była, której się zdalo, że polskiemu królowi pustyń i lasów dzikich przyniosła

wielką cześć i szczęście z sobą. Pewną się czuła, że ją kochać musi, a pozyskać tej miłości inaczej, jak rubaszną zalotnością, przy brzydocie wstrętliwą, nie umiała.

I teraz jeszcze, gdy już od dawna męża nie widywała, spodziewała się zawsze, pewną była, że do niej powrócić musi. Trefiła rudawe włosy, malowała piegowate wędniejące policzki w nadziei, że Kaźmirz kiedyś się zjawi. Czekala na niego od miesiąca do miesiąca, od roku do roku, a dwór jej baśnie plotąc, utrzymywał ją w tych złudzeniach.

Może Kaźmirz byłby przemógł odrazę do kobiety dla miłości rodu swego, lecz... królowa Elżbieta stała na straży, aby synowi jej obiecana już korona wyrwaną nie była. Ona i jej przyjaciele, w otoczeniu króla znajdujący się, do których najznakomitszych liczono dostojników — starali się co mogli donosić o Adelaidzie i wstręt do niej pielegnować i powiększać. Królowa Elżbieta rachowała na tę koronę dla syna, drżała na samą myśl utracenia jej. Rycerstwo miało już obietnice wielkich swobód, duchowieństwo wielkich łask, jeśliby Ludwik został polskim królem. A do tego właśnie potrzeba było, ażeby król nie żył z tą żoną ani z żadną inną, aby miał bodaj kochanki i potomstwo pokątne, ale nie korony dziedzica.

Z Węgier, jak mówiono, szły na to do Polski pieniądze, aby króla pilnowano...

Kilka razy ci, co się lękali połączenia z Węgrami, starali się nakłonić Kaźmirza do przecięcia odrazy... Przybywał król z mocnem postanowieniem zbliżenia się do Adelaidy, ale wnet zrażała go pewnością zwycięstwa, pychą, zalotnością niezgrabną, samą swą powierzchownością śmieszną i dziecinnie pyszniącą się jakimś kobiecym urokiem, którego nie miała. Nie była to ani prosta chłopka, dziecko lasów i pól dobroduszne, ani kobieta, jak Margareta, na rycerskich dworach w obcowaniu z ludźmi oglądzonego obyczaju wykształcona... ale coś mieszczańsko, dziwacznie nadymającego się sobą, a odrażającego... nicością... Król po każdym takim spotkaniu ze zwiększoną obrzydliwością od niej uciekał.

Królowa Adelaida słysząc, że niewiast wiele mężowi jej za miłośnice dawano. sądząc go namiętnym, w taki sposób tę namiętność wywoływać się starała, iż pogardę i srom obudzała.

Nic umiała sobie potem inaczej wytłumaczyć wstępu i ucieczki tylko czarami i podszeptami zauszników królowej Elżbiety, o której zabiegach była uwiadomiona.

Strętego pana swojego wiozł potem Kochan co prędzej do jednego z tych dworów, w których dlań młodością, świeżością, wdziękiem nęcące

trzymał niewiasty, i smętnemu panu niemal gwałtem je narzucał.

Król nlegał pokusom... lecz nie na długo, życie to przykrzyło mu się wprędce... Żona, niewiasta, któraby sercu jego odpowiadała, w jego przekonaniu już się nie znajdowała na świecie.

Umarła, może w męczarniach, z Klarą, może we wdowim smutku z Margaretą.

Wkrótce odwiedziny w Żarnowcu zupełnie ustały, Kochan po każdym widząc pana więcej zbolalym, jak mógł od nich odводził.

Królowej nie działo się nic złego, miała dwór znaczny, cześć należną, pańskie otoczenie, zabawy, jakie chciała. Spiewaków a bazarzy i błaznów z Niemiec sobie sprowadzała, stroiła się w szaty bogate, duchowieństwo opuszczoną starało się pocieszać. Obiecywano jej ciągle lepsze losy.

Lecz dla nieprzyjaciół króla, ten rozbrat z ukoronowaną małżonką prawą, bronią był skuteczną dla zohydzenia go u ludzi. Posługiwali się nim i powieściami o jednodniowych kochankach królewskich, aby wystawić Kaźmirza jako rozpustnika, wiarołomcę, rozpasanego na wszystko zbytnika.

— Miłościwy panie mój — począł nazajutrz Kochan, spoglądając na znużonego króla — który patrzył, nie widząc nic, wprost przed siebie — miłościwy panie, czasby ludziom złym gęby zamalować.

Każmirz rzucił nań okiem roztargnionem i ruszeniem ramion odpowiedział.

— Znowu się u tego Neorży zbierają — dodał Rawa — liczba ich się mnoży, wygadywać im wolno bezkarnie, więc języki na dziadowski bicz rozpuszczają.

— I cóż mówią? — zapytał król obojętnie, zbywając go się.

— A cóż? zawsze jedno! Mnich ten zuchwały Baryczka, nie darmo Amadejów pokrewny... węgier też, choć ojciec z polką się ożenił, Baryczka się odgraża, że gotów z kazalnicy piorunować na króla... Nawet arcybiskupa i biskupa nie szczędzi za to, że oni was nie zmuszają z żoną żyć, a... inne niewiasty porzucić.

Jakby kochanek i księża nie mieli? dodał Rawa.

— Kochanki? miłośnice? powtórzył król z uśmiechem chłodnym — gdzież one są? na dworze ich nie chowam.

Kochan zamilkł.

— Ani Arcybiskup, ni Biskup, dołożył król, nie dopuszczają temu szaleńcowi rzucić się na mnie.

— Biskup? kto wie? odparł Kochan. Ks. Bodzanta to nie Jangrot spokojny, temu potrzeba koniecznie z kimś koty drzeć, mało mu może będzie mniszek sądeckich, porwie się na króla.

— A inni, jacy tam u Neorży byli? spytał król po chwili.

Neorża człowiek zły — to prawda, lecz głupi jest, obawiać się go nie ma powodu. Nie szanuje go nikt, i nikt nie pójdzie za nim.

— Przecież tacy ludzie się do niego garną, jak Maciek Borkowicz, rzekł Kochan, który tam wczoraj był, ten nie obrany z rozumu, a w wielkiej Polsce dużo swoich ma.

Kaźmirz bystro spojrział, tknęło go to.

— Borkowicz? powtórzył. Jam go nadaniami i łaskami obsypał, miałaby niewdzięcznym być? Cóż przeciwko mnie mieć może?

— Nie wiem, odparł Kochan, ale to pewna, że z temi trzema, co jawnie przeciwko nam są. Król zdawał się niedowierzać.

— Człek to przebiegły i śmiały, rzekł, może tylko języka szuka.

— A jabym mu nie wierzył, przerwał Kochan, niepomiernie wielkości jest chciwy.

— Któż był więcej? zagadnął król.

— Było ich pono dosyć — krótko zamknął nłubieniec królewski, Pszonka, Janina, Otto ze Szczekarzewic.

Milczeli chwilę, a król dumał.

— Otto im gadkę prawił, jak wasza miłość żydów ratowaliście łońskiego roku, osobliwie ową niedoroslą dziewczeczkę, której matkę tak okrutnie posieczono.

Kaźmirzowi twarz się rozjaśniła.

— Co to za śliczna była ta przestraszona! — zawołał — w życiu nie widziałem piękniejszej twarzyczki, ani oczu podobnych! Co z niej będzie, gdy urośnie! Westchnął.

— I zmarnuje się ta piękność przedziwna pomiędzy żydowstwem brudnem — dodał ciszej.

Kochan bacznie się w króla wpatrywał, jakby chciał sobie zapamiętać jego słowa.

Rozmowa się przerwała.

— Miłościwy mój — dorzucił po przestanku Kochan, Neorzę by gdzie na Rusi na zamku posadzić, aby tu kąkolu nie siał, drudzy by zamilkli.

Rozśmiał się król głośno.

— Aby się miał za takiego człowieka, którego ja, pan i król, lękać się muszę? Cześć by mu się wyrządziła za wielka. Głupców nie ma się co obawiać.

Ruszył ramionami wzgardliwie.

Aż wtem do drzwi już pukano.

Kochan wnet pokorniejszą przybrawszy postawę cofnął się ku progowi. Po chodzie i kołataniu on i król poznali nadchodzącego Suchywilka.

Wszedł z powagą, bez zbytniej poufałości, ani nadto się korząc, jak człowiek co królewską i swą godność oszacować umiał, a stanowiska był pewnym.

Każmierz go witał uprzejmie.

Wejrzenie, które duchowny na Kochana stojącego w progu rzucił, znakiem było, ażeby się oddalił.

Rawa wyszedł natychmiast — wyszedł, ale za progiem pozostał i ucho do drzwi przyłożył.

O łaski, jakie u króla miał zdawna siostrzeniec Arcybiskupi, nie był faworyt zazdrosnym.

Zastąpić go mógł, walczyć by się z nim nie ośmielił, znał wielką wyższość człowieka, który się szanować kazał, lecz o wszystkim wiedzieć potrzebował.

Król doradcy swojemu wskazał siedzenie. Skłonił się posępnego oblicza kapłan — ale nie usiadł. Obie ręce na stole oparłszy przy którym król spoczywał — zadumał się nieco, przygotowywał do rozmowy.

— Przychodzę z przestrogą — rzekł po namyśle. Czy z rozkazu króla dobra Złockie biskupowi krakowskiemu zajechano?

Spojrzał, nastąpiła chwila milczenia, król milczał, gotując odpowiedź rozważną.

— Dobra Złockie? odparł zacinając usta — tak jest. Układałem się ze ś. p. biskupem Jan-grotem; godził się na to, bym mu inne w miejsce ich wyznaczył. Złockie mi do moich lasów i majątności są koniecznie potrzebne.

— Umowy nie było spisanej? zapytał Suchywilk.

— Byli świadkowie.

— Ks. Bodzanta o układzie tym nie wiedzieć nie chce, mówił dalej duchowny, — na żadną zamianę przyzwolić.

— Krzywda by mu się nie stała — dodał król. Z wujem waszym nie jednąśmy podobną przeprowadzili zamianę. Kościelnego dobra nie pożądam, duchowieństwa krzywdy nie chcę.

Niedokończywszy, król głowę spuścił.

— Bodzanta rozżalony, zburzony mocno... dodał Suchywilk.

— Przecież da się uchodzić — rzekł król — potrzeba tego.

— Wątpię, żeby z nieco upartym a sierdystym starcem już się co dało uczynić — odezwał się, głos zniżając, Suchywilk. Być może, iż go podbudzono i oliwy do ognia dolano, ale się pali już jasno i trzeba mu dać wygorzeć.

Złockie dobra bodaj zwrócić, a później zrobić się coś może.

Król wstał, jakby go co ubodło nagle.

— Powagę bym królewską naruszył — rzekł głosem drżącym, ulegając biskupowi. Nie mogę. Nagrodzę go sowicie, nadam więcej niż warta ziemia ta, ale ją dziś puścić nazad sromby był dla mnie.

Suchywilk na stole sparty, stał zadumany, brwi ściągając.

— Zajątrzy się ten spór mocno — odezwał się zwolna, poglądając na króla. Ks. Bodzanta

gwałtowny jest, trzeba mu dać czas ostygnąć, nie jątrzyć go więcej oporem. Dobra Złockie wojny z nim nie warte.

— To pewna, żywo odparł król — dobra Złockie, nie, ale cześć moja królewska warta, bym stał przy niej.

Com uczynił, cofnąć nie mogę. Król sobie kłamu zadawać nie powinien.

— Tak, dodał pomilczawszy chwilę. Wrogów mam dosyć, potwarzy na sobie noszę немало. Wyśmieliby mnie ludzie, że nie wiem co czynię, gdy nazajutrz odrabiać muszę.

Wy — obrócił się do Suchywilka, idźcie do Biskupa, wyłóżcie mu, jak sprawa stoi. Umowem miał, wynagrodzenie obiecuję. Żałować powołności nie będzie, lecz król się upokorzyć nie da.

Uchodźcie go, proszę...

— Radbym, rzekł nważnie słuchający Suchywilk — ale czy zdołam, nie wiem. On też swą cześć na tem zasadza, aby dobra odzyskał, te, a nie inne. Woła i narzeka, że władza duchowna słabnie i coraz bardziej świeckiej ulegać musi, gdy na równi z nią stać ma prawo.

Król coraz się groźniej marszczył.

— Nie mogę! zawołał — niestety! nie mogę. Biskupem on jest, ale ja, królem. Com uczynił musi być dobrem, choćbym za to w dziesięcioro miał zapłacić.

Zaprawdę, źle się stało, żem zaraz umowy z Jangrotem spisać nie kazał. Zwlekalo się to od dnia do dnia, aż śmierć go niespodzianie za-skoczyła. — Niech Bodzanta żąda czego chce, dóbr zajętych nie powrócę.

Z twarzy słuchającego widać było, iż niemal przekonanie królewskie podzielać musiał, a przy-najmniej sprawy biskupa bronić wielkiej nie miał ochoty.

Zarzucano mu naówczas powszechnie, iż za mało się czuł dochownym, a spraw stanu swojego zbyt sobie nie ważył i słabo za niemi obstawał.

— Ciężkie to będzie! — westchnął.

— Któż Biskupa podżegł do tego? bo on sam zrazu milczał — zapytał król.

Suchywilk się uśmiechnął.

— Być może, iż go namówiono! — odezwał się ciszej.

Spojrzeli sobie w oczy, i porozumieli iż jedna myśl przyszła obu.

— Ks. Baryczka za biskupem stoi? — rzekł król.

Głowy skinieniem potwierdził to słuchający.

— Z tym się porozumieć i przejednać nie będzie łatwo — dodał Kaźmirz — znam go z dawna. Niechętnym mi jest może; jako Amadejom pokrewny — nie wiem — szuka tylko powodu aby walkę rozpoczął. Duch w nim niespokojny. Walce bym nie rad był, bo duchowny stan szanuję, bo

niepożytecznej walki unikam zawsze i wszędzie. Królewska godność kapłaństwem jest także! Nie będą mnie szanować poddani, gdy ja się sam nie poszanuję.

A wy... co mówicie o Baryczce? spytał, oczy wlepiając w Suchywilka, który się zadumał głęboko.

— Kapłan jest nieposzlakowany — odparł po małym namyśle, ale człowiek namiętny, natura niespokojna... jak Salamandra w ogniuby żył...

Do pogan go ślać nawracać, na niewiernych z krzyżem... bo mu słowa nie brak gorącego, a odwagę ma nieustraszoną.

Myślał chwilkę jeszcze i dorzucił.

— I rozgłosu może jest żądny, choć sam się nie poczuwa do tego.

Król stał chmurny.

— Uczynię, co mogę, by walki uniknąć — rzekł — radźcie mi?

— Powiedziałbym, że ustąpić potrzeba, gdybyś miłość wasza nie wyrzekł wprzód, że ustępować się nie godzi.

— Nie mogę! — powtórzył Kaźmirz stanowczo i dobitnie. — Kaźmirz oddałby dobra Złockie, król nie może.

Uśmiechnął się. — Radźcie inaczej.

Ksiądz milczał długo.

— Nie będę tał przed wami, miłościwy królu — rzekł — żem z biskupem Bodzantą mówił już o tem. Znalazłem go w wzburzeniu wielkiem i

próżnom go uchodzić się starał. Starzec się klątwą odgraża...

— Klątwą? — podchwycił król — nie bardzo zastraszony. — Wiecie najlepiej, jak krzyżacy, jak inni też mało sobie dziś klątwy kościelne wazą. Nadużyto tej broni, aż się wyszczerbiła.

— Przecież nie godzi się jej lekceważyć — z powagą przerwał Suchywilk — kościół innej broni nie miał i nie ma. Używać jej musiał, straszna ona zawsze.

— Ależ... wy sami, wy, duchowni, nie wszyscy jej już posłuszni jesteście — przerwał Kaźmirz — księża przecie msze odprawiają i grzebią...

— Żli księża — przerwał Suchywilk, marszcząc się — żli to księża, miłościwy królu, bo się przeciw władzy swej buntują, a zachwieje się ona — padną i duchowni z nią.

Po małym przestanku, ksiądz dodał.

— Juściż, Bóg da, do ostateczności tej nie dopuścimy...

Król nic nie odpowiedział.

Na twarzy jego zaszła zmiana, jaką często dostrzegali obcujący z nim. Ostygle oblicze znużonego człowieka nagle się przeistoczyło na poważne, na królewskie.

Poczucie jakiejś dumy obwiodło je aureolą.

— O innem mówmy — rzekł. — Spodziewam się z pomocą waszą przewieść to, ażeby mi od

sądów z prawa magdeburgskiego nie chodzono z powołaniem i naganą za granicę, do niemieckiego miasta i niemieckich rozumów. Wstyd to dla nas... jakbyśmy własnych sądów nie mieli a sprawiedliwości sami nie mogli znaleźć u siebie. Na krakowskim zamku postanowimy sąd najwyższy.

Suchywilk, słuchając tak nagle zwróconej ku czemu innemu mowy, widocznie się zdumiał, i nie ukrył zdumienia. Lecz, zrozumiał to, że król o sprawie z biskupem krakowskim już więcej mówić nie chciał.

Zamilkł więc posłuszny.

Po chwilce, ledwie coś o tem prawie niemieckiem przebaknąwszy, wyszedł Suchywilk do drzwi, przeprowadzany przez króla.

Za progiem drugich podwoi, Kochan dotrwał do końca i wysłuchał rozmowę całą. — Rumienił się, gniewnie wstrząsał, pięści zaciskał, to radował, gdy król stałość okazywał.

— A! — mówił sam do siebie, — Baryczka nam tu grozić myśli i królowi pokój mąci. Nauczę ja klebę rozumu!!

Z tem po cichu odszedł od progu.

W pół godziny potem Kochana już na zamku nie było. Przystroił się jak był zwykł do wyjścia, mieczyk przypasał mały, łańcuch od króla dany na piersi zawiesił, pacholę za sobą wziął, aby mu

większy miecz niosło, który był rycerstwa oznaką, i — na miasto się udał.

Kamienica Wierzyńska, jedna z tych wielu, których on już naówczas był właścicielem, a nabywał, mieniał i sprzedawał je często, znajdowała się w samym rynku.

W niej całe ówczesne życie miejskie, a przynajmniej część jego najglówniejsza się skupiała.

Mikołaj był jednym z najczynnniejszych ludzi swojego czasu i stanu... Chociaż, zaprawdę, stanu jego już oznaczyć było trudno. Mieszczanin, do ziemian miał się liczyć prawo i szczyt miał, Łagodę, jako inne rycerstwo, do dworskich urzędników wyżej także go wmieścić było można, bo choć tytułów nie nosił, obowiązki pełnił nie jednego, ale kilku.

Podskarbin się nie zowiąc, skarbem króla rozrządzał, miał na oku mennicę, w mieście stał za wójta i za Radę.

Handel też prowadził rozległy a różny na wsze strony... Kupcy w nim głowę swą widzieli.

Ziemiańskie potrzebowały go dla grosza, duchowieństwo szanowało dla szczodrości. Król naostatek, jakby z niemieckiego Viersinga prze-lubione na polskiego Wierzyńską chciał usprawie-lnić imię, zwierzał mu wszystko, we wszystkim wierzył, i do wiernych rąk co miał, bez liczby oddawał.

A miał też w nim sługę, który życie, mienie, wszystko był gotów dlań poświęcić.

Niewielkiego wzrostu, lat średnich, lecz krzepki, zręczny i ruchawy Miklasz, choć czoło marszczył często, bo miał myśleć o czem, na ustach uśmiech łagodny nosił ciągle.

Twarz nie piękna, rozumna była i dobra, życiem uspokojona, bo gdyby wielkie jego zawody i troski wszystkie odbijać chciała, a sam człowiek brał je do serca, nie zniósłby ich i padł pod niemi.

Krzętał się Wierzynek nienastannie, wstając o brzasku, pracując część nocy, chodząc a jeżdżąc, to do Wieliczki, to do Olkusza, to do Nowego Sącza, to po za granice z poselstwami królewskimi i sprawami własnymi. Miał ich więcej niż inni na głowie, a pospolity człek, tylu podobnie nie mógł, — on pamięcią, rozumem, czasem, na wszystko starczył, choć nie spieszył się nigdy. Król się go radził i w tem, co do niego nie zdawało się należeć, mieszczaństwo nie nie poczynalo bez niego, kupcy nie stąpili kroku, nie spytawszy go o radę, lub nie wezwawszy na pomoc. W domu nie dzielił się z nikim robotą, posługiwał tylko obcemi, bo z rodziny synów dwóch dorosłych Bóg obu zabrał, a po nich zostały tylko wnuki, nad któremi czuwać było potrzeba. Żonę tęsknota po dzieciach dobiła, sam był więc jeden... i na wszystko oko mieć musiał Wierzynek.

Sług i czeladzi kręciło się koło niego mnogo,

bo mu młodzież swą dla nauki życia chętnie oddawali mieszczanie, ta rozkazy spełniała, które wszystkie wprost od niego szły.

Gdy pana nie stało w domu, a zabawił dłużej, niż zamierzał, zatrzymywało się wszystko, bo go nikt zastąpić nie śmiał i nie mógł. Dworzec możnego mieszczanina, murami i wspaniałością zewnętrzną oczów nie ściągał, rozległy był jednak, ogromny, i choć się co roku rozszerzał szpichrami, składami, szopami, ledwie ściągającej się ze wsząd kupi mógł starczyć. Dzień w dzień wjeżdżały we wrota jego ogromne wozy ładowne, karawany całe, z rojnemi ludźmi otoczone, bo kosztownego towaru naówczas przez puste gościńce prowadzić inaczej nie było bezpiecznie. Łotrzyków się włóczyło wielu, polujących na zdobycze.

Młodzieży żwawej kręciły się roje w podworcach. Jedni ważyli i liczyli, co wyładowano, zapisywali drudzy, dozorowali inni. W sieniach, po izbach, czekających na posłuchanie zawsze pełno było; w dziedzińcach, póki dnia, nieustanny ruch i targowica. Inni tu tracili głowy, on jednym okiem wejrzeniem mierzył, poznawał rzecz każdą, a często, nim go zapytano, odpowiadał. Dość mu było na człowieka wejrzeć, aby wiedzieć z czem przychodził.

Mówił krótko, jak wódz czasu boju, a co rzekł, to się spełnić musiało zaraz, bo zwłoki nie cierpiał, a nieposłuszeństwa nie rozumiał.

Często widywano pana tego, który z królem poufale przestawał, a bogactwem nie jedno książętko przechodził, gdy zniecierpliwiony powolnością lub nieczgrabstwem, przypomniawszy sobie dawne czasy, sam chwytął za ciężar, albo rozbił przywiezioną w skrzyniach kupię, młodzież ucząc, jak się brać do tego, nie tracąc czasu.

On sam, choć się na pozór nie spieszył, choć gorączkowej i nieporządnej pracy nie znosił, chłodno i rozważnie czynnym był ciągle. Rzadko usiadł i spoczął, nie biesiadował nigdy prawie, na rozmowy próżne godzin nie tracił. Śmiał się z niego król, że zmuszony słuchać czezych słów i daremnej paplaniny, tymczasem o czem innem ważniejszem przemyślał.

Osiadłany koń, lub zaprzężony wózek, stał u niego zawsze w podwórzu na zawołanie, bo nie mógł wiedzieć ani dnia, ani godziny, gdy go gdzie zawołają, a gotów musiał być zawsze, kiedy sprawa wymagała.

Spotkawszy go w podróży lub ulicy, nieznamy człek nie poznałby w nim może głośnego już podówczas Wierzyńka, bo odziewał się skromnie i nie bijąco w oczy. Dopiero sukni się przypatrzwszy, temu co na nim i około niego było, dostrzedz mógł, iż tkaniny a przybór do nich wszelki, przedziwny był i doborny, jakiego pospolici ludzie nie noszą.

Lubił bowiem Wierzynek wszelkie rzeczy oso-

bliwe, piękne, rzadkie i drogie, a te się z całego świata do niego ściągaly.

Izby, w których swoich towarzyszków, kupców, mieszczan, ziemian i mnogich codziennych gości pospolitych przyjmował, nie świeciły tak bardzo sprzętami; dopiero głębiej wszedłszy do tych komnat, w których odpoczywał, poufałych swych i rodzinę gromadząc, bogacza poznać było można, napatrzyć się zamorskich tkanin drogich, rzeźby z kości i drzewa. szkła, gliny polewanej, kruszców, kamieni i kobierców kosztownych...

Flamskie opony okrywały tu ściany, a wschodnie miękkie tkaniny podłogę; skrzynie pięknie wyrzeźwiane, okryte poduszkami, za siedzenia służyły po pod ścianami, a po szafach i na nich napatrzyć się było można naczynia różnego, puharów, kubków, flasz, dzbanów misternie barwionych i pozłocistych.

Przywożono mu je z Włoch, Francji, z Hiszpanji, ze Wschodu, ze wszystkich tych ziem, z którymi różne handele prowadził. Co mu się najpiękniejszem zdawało, to dla siebie zostawiał. A że i król miłował piękne dzieła rąk i przemysłu ludzkiego dla niego i dla siebie, do kościołów i ich skarbców zwozić kazał Wierzynek, o czemkolwiek zasłyszał, gdzie co najlepiej rozbiono. Kochał się też w klejnotach, choć nigdy ich nie nosił, na wielkie tylko uroczystości łańcuch kładąc lub pierścień jaki, a pilnując tego,

aby swych mieszczan nie raził przepychem, którego im zażywać nie było wolno.

Przepisy ówczesne, surowe dosyć, wzbraniały im zbytku wszelkiego w sukniach, u stołu, przy weselach, stypach, obchodach chrzcin i zabawach.

Tak on, jak nieboszczka żona jego, dzieci i wnuki, gdy do kościoła szły, albo się w ulicy pokazywały, starali się do innych mieszczan podobnie odziewać, choć żaden z nich, ani Awileje, ni Wigandy, Bochnery, Kempowie, ani Keczerowie z Wierzyńkami się mierzyć nie mogli.

Miklasz ich przecież panami bracią nazywał, choć ziemianie jego też swoim bratem mieć chcieli.

Gdy Kochan Rawa przybył do dworu pana Wierzyńka, właśnie ów w kożuszk i kołpaku futrzanym stał w podworcu, spogląając na sannie, które ze skrzyniami wielkimi, kupi pełnemi, dnia tego nadażyły z Niemiec do Krakowa.

Zobaczywszy Rawę, którego król często posyłał z ustnemi poleceniami, pospieszył doń Wierzynek z dobrodusznym swym uśmieszkiem na ustach.

— Bóg z wami! z Zamku? cóż mi niesiecie? zapytał, witając go uprzejmie.

Kochan stał, nic dobrego nie pozwalając się domyślać, piękna jego twarz chmurną była.

— Macie li czas, do izby z tem iść musimy? odparł gość — aby wiatr słów naszych nie poniósł, gdzie nie trzeba.



Zbliżającemu się doń plecystemu mężczyźnie z kartą w rękę, jak on w dostatni kożuch odzianemu, szepnął coś Wierzynek żywo, ukazując na skrzynie, a sam, pod rękę ujawszy Kochana, do izby swej go poprowadził.

Była to ta, w której on sam zwykle spoczywał, a dopuszczał do niej tylko tych, przed którymi z niczem się ukrywać nie potrzebował. Dwoje okien, żelaznemi kratami obwarowanych, jak kosze odstającemi, na włoski sposób, nie wiele światła wpuszczało do sklepionej komnatki. Pod oknami i u ścian widać było ciężkie skrzynie dębowe, kowane mocno, i wielą misternemi opatrzone zamkami, w których skarbów domyśleć się było łatwo. Obok nich stały szafy i police pełne zwitków papieru i pergaminów, worków i mis z pieniędzmi, a prób różnego kruszcu i kupi.

Na stole też papieru, pieczęci, wosków, sznurów, naczyń różnych było wiele, wagi dla złota i klejnotów, zegar stał piaseczny i inne drobnostki.

Małeńkie łóżę w kącie, przy niem lampka zagasła, nad niem krzyż czarny z Chrystusem z kości okazywał, że tu Wierzynek spoczywał. Małeńki tryptyk rzeźbiony u wezglowia otwarty, Wniebowzięcie, ŚŚ. Mikołaja i Jana przedstawiał.

— Cóż mi to dziś tak chmurno patrzycie? odezwał się gospodarz, spoglądając na gości, który zwolna za nim kroczył, pacholę z mieczem w sieniach zostawiwszy.

— Bom zły! wybuchnął Kochan, którego twarz jeszcze się mocniej zasepiła. A gdy mówię, że zły jestem, odgadnąć łatwo, że nie za siebie, ani o siebie, ale o naszego pana.

Bystro i niespokojnie spojrzał nań Wierzynek.

— Mówcie! cóż znowu przyszło, aby mu pokojiu nie dać? co dolega? zawołał.

— Gorsza daleko sprawa, niż te, któreśmy przebyli — odparł Kochan, siadając. Wicie, że król dobra Złockie, o które się był z Jangrotem ułożył za zamianę, a biskupowi krakowskiemu tak jak nie z nich nie przychodziło, zając kazał. Mieniali się przecie nie jeden raz... Bodzanta, warchoł sam, a tu jeszcze i Baryczka, gorszy od niego, do wojny podżega... Klecha ten pierwszy począł krzyczeć na pogwałcenie praw, na świętokradztwo, i domagają się dóbr powrotu... szkód wynagrodzenia.

Król inne majątności gotów dać, ale co raz wziął, tego oddawać nie może. Przyznałby, że zajął bezprawnie... Co wy mówicie? już się z groźbami klątw i interdyktów noszą zuchwałe klechy!

Wierzynek ręce małe i pulchne zacisnął, słuchając, twarz spokojna pobladła nieco, i jakby dreszcz przebiegł po niej.

— Złego słowa nie mówcie w złą godzinę — odezwał się zafrasowany. Niech Bóg od tego ucho-

wa! Bodzanta odgrażać się może, ależ — nie rzuci klątwy... nie!

— Baryczka sam się na to gotów ważyć, męczeństwa mu się gwałtem zachciało... a może też pewien, że bezkarnie mu ujdzie, i sławę sobie zyszcze, iż króla zmógł. To sprawa Baryczki...

Wierzynek przerwał mówiącemu lekkim uderzeniem po rękach...

— Nie przypuszczajcie, nie domyślajcie się takich złych rzeczy!... zawołał. Dość i bez nich król ma na głowie, wszystko się to rozproszy i rozwieje...

— Niech mi się pana mojego tknąć waży — nie zważając na wyrazy uspokajające, rzekł Kochan, mocno zburzony — a ja mu to pożądane czy nie męczeństwo sprawię. Tylko może uie takie, jakiegoby pragnął, żeby o niem po całym świecie głooszono, po cichu klechę sprzątnąć każe, i przepadnie bez wieści... kamieniem w wodę!

Wierzynek powtórnie go po rękach uderzył.

— Milczcie, rzekł, nie do rzeczy prawicie. Postrachy groźne tylko sięją, aby więcej na królu wymogli. Wykupimy się im pieniędzmi, bo tych tylko pewnie chcą.

— Chyba nie znacie Baryczki — podchwycił Kochan. — Nie o pieniądze mu idzie! ale o to, aby duchownej władzy moc okazał, króla ustraszyl i upokorzył. Król zaś. jak dobry jest, tak

powagi swojej i korony swej zazdrosny. Nie ustąpi on, nie cofnie się i klecha.

Tu, bębniąc palcami po stole, aż sprzęt na nim brzęczeć zaczął, Kochan zamilkł... twarz zła reszty dopowiadała.

Wierzynek zadumał się nieco, chociaż widocznie do serca tak bardzo nie brał tego, co się stało i co się zapowiadało. Zdało mu się, że rozdrażnionego człowieka najprędzej ułagodzi przyjęciem, i począł wołać na czeladź, aby wina kozeniem zaprawionego podano.

Ale Kochan prędko ręką wskazał, że pić go nie będzie.

— Żółcim się już napił — rzekł — mam dosyć.

— Król co na to? — zapytał gospodarz.

— Jak zawsze, spokojny na pozór — odparł Kochan. — Znaie go, nie łatwo się porusza, a tem mniej poruszenie okaże, aby powagi swej nie nadwerżył w oczach ludzi. Ja tylko, co głębie duszy jego znam, wiem, co się w nim dzieje. Gdy się najwdzięczniej uśmiecha, pewnie naówczas najcięższe brzemie okrywa tem udanem weselem.

Poszedł w tej sprawie Suchywilk do Bodzanty, ale nie wskóra nic... Nie lubią go tam i boją się razem; Baryczka stoi na straży przy biskupie, aby mu zmięknąć nie dopuścił.

— Baryczka! Baryczka! — odezwał się Wie-

rzynek, dumając — z tym w istocie ciężko będzie trafić do końca, jeżeli sobie osnuł co i wbił w głowę. Twardy klecha...

— Alem ja też nie miękki — odparł Kochan — a ze mną się mu przyjdzie rozprawić. Znajdę nań sposób, aby się go więcej obawiać nie było potrzeby.

Wierzynek potrafił go znowu.

— Gniew złym doradcą — rzekł niechętny.

— Nie o mnie mi idzie, ale o pana! — zawołał Kochan. Żal mi go wielki. Dosyć ma z krzyżakami, z Mazury, z własnymi ziemian, z Rusią, z żoną, jeszcze tego brak, aby duchowieństwo wystąpiło przeciwko niemu? I bez tego on męczennikiem. Nie ścierpię, aby dla jednego mizernego klechy miał resztę spokoju postradać.

— Z miłości waszej dla pana roście to — rzekł Wierzynek — że zawczasu czarniej widzicie, niż jest.

Unosicie się... drżącemi rękami mało co dobrego zrobić można.

Kochan spuścił głowę, nie chciał się sprzeczać, ale przy swem pozostał. Czuł Wierzynek, że go nie przekonał. Siedzieli tak czas jakiś niemi przeciw sobie.

— Zabiję klechę!! — zamruczał wreszcie niepomowany Kochan, poruszywszy się, jakby do wstania.

Udał, że tej pogroźki nie słyszy Wierzynek. Ulubieniec króla głos podniósł.

— Wczoraj — rzekł — zebrali się u Neorży niecnoty. Baryczka krzyczał, potakiwali mu drudzy. Maciek Borkowicz tam był i Otto ze Szczekarzewie i inni... Bluźnili przeciwko panu...

— Niezważać na to, nieśłuchać tego, nie poczną nie, bo nie mogą, przerwał mieszczanin. Kto wie zresztą, gdyby rycerstwo się z jakim szaleństwem porwało przeciw królowi, — lepiejby może było... Warcholów byśmy się pozbyli, a siły przeciw nim się znajdują.

Kochan głową potrzasał.

Wstał naostatek z siedzenia smutny, jakby nie sprawił nic, zawiodłszy się na Wierzynku, który ani obawy jego, ani gniewów przedwczesnych nie podzielał.

— Choć nie wiele w to ufam — odezwał się, zabierając do wyjścia — pójďte i wy do Biskupa. Ostrzeżcie go, — zważy może, posłucha... Niech Baryczce milczeć każe... Król za dobra we dwójnasób nagrodzi, a Złockich — nie puści...

Wierzynek dał mu znak, że będzie wiedział, jak postąpić.

Wtem już do drzwi pukano, posłańcy różni nalegali z pilnemi sprawami do Wierzynka, który do progu gościa odprowadzał.

Druga izba, obszerniejsza, pełną była rajców, lawników, kupców, urzędników od żup solnych,

a w kacie też żydów kilku stało, bliżej przysuwać się i mieszać z chrześciany nie śmiejąc. Wnet wychodzącego do nich obstępiono Wierzyńka, pokłonił dopraszając się przedszej rozmowy, zagadując, cisnąc ku niemu. On, spoglądając po przybyłych, odgadywał z czem przyszli, i nim usta otworzyli, odpowiadał na niezadane pytania.

Widowisko to było do przyjęcia na królewskim dworze podobne. Tylko się tu wszyscy obracali swobodniej, choć niemniej gospodarzowi poszanowania okazywali. Niektórzy kłaniali mu się do ziemi, do kolan, twarzami układnemi pozyskać sobie usiłując.

Przesuwający się zwolna pomiędzy tłumem tym Kochan, zdawał się nie widzieć nikogo, chociaż mnodzy, ustępując mu z obawą jakąś, witali królewskiego ulubieńca.

Znano go powszechnie a nie bardzo miłowano, gdyż z ludźmi się surowo, szorstko, dumnie obchodził, zrażał ich szyderstwą, lekceważeniem odpychał.

Kochan wyszedłszy tak ze dworca, postął we wrotach chwilę i po namyśle zawrócił ku gospodzie starosty sandomirskiego Ottona z Pilcy, który, choć Neorży pokrewuy, jednego z nim szczytu... nie był mu przyjacielem, przy królu wiernie stał i z Kochanem poufale żył.

Tego na wypadek wszelki chciał mieć Rawa sprzymierzeńcem, i poszedł doń, aby mu zawczasu

opowiedzieć sprawę a do wspólnego działania przygotować. Nie wątpił, że łatwo zyszcze go sobie.

— Niech mi się tylko klech ruszy, a króla zaczepi — mówił, na próg wstępując — ze świata go sprzątnę!!

Mieszczanin był dostatni, tylko się brzydko nazywał, wołano go 'Swiniagłowa!! Świadczą najdawniejsze akty miejskie i księgi sądowe, ziemiańskie, że zwyczajem ówczesnym każdemu niemal do imienia chrzestnego, do nazwiska miejsca, z którego pochodził, dodawano przezwisko jakieś, często żartobliwe, które z początku wyglądało na złośliwy przydomek, a potem przyrastało do człowieka i często na dzieci przechodziło... Nie byli wolni od takich nazw panoszowie i rycerstwo, nosili je mieszczenie, tak samo wreszcie między sobą rozróżniali się i kmiecie.

Swiniagłowy dziad pono, rzeźnik z powołania, napiętnowany został tym przydomkiem, a od niego syn i wnuk wzięli je, i już się go nie wstydzieli.

Terazniejszy właściciel imienia, Kuba Swiniagłowa, rzemiosło był porzucił, kupował i sprzedawał bydło, frymarczył żywym mięsem, ale w jatkach go już nie sprzedawał.

Ożenił się on był na Szlązku z mieszczanką

w Opolu, która na pół niemką, pół polką była, a choć, gdy ją brał, nie oprócz wdzięków i oprowy nie miała, bo rodzeństwo było liczne, tak się potem złożyło, iż ona z niego sama jedna pozostała, po ojcu wzięła wszystko, i Kuba Swiniągłowa, z niej i z siebie znacznej się dorobił majątności. Szło mu w życiu zawsze nie jak zamyślał, ale nad wszelkie spodziewanie szczęśliwie. Rachował na pięć, zyskiwał dziesiątek... Wszystkie klęski go omijały, wszelkie szczęśliwości ciśnieły mu się pod strzechę.

Więc z tem nazwiskiem niepięknem był to jeden z najbogatszych mieszczan krakowskich, a oprócz tego i na rozumie, ani na postawie mu nie zbywało.

Żona jego, Agata, słynęła z piękności, ale Kuba jej nie ustępował i można go było, gdy podróżował konno a bez trzód, które kupował, wziąć łatwo za ziemianina, taką miał postawę rycerską, wzrost piękny, ramiona szerokie, głowę do góry podniesioną, wąs zawieszisty, oko jasne, — no, i strój, który, mimo praw i zwyczajów, trochę się do rycerskiego zbliżał. Kuba się lubował w tem, że go brano za panoszę.

Tak samo żona jego Agata, nie bardzo zważając na uchwały miejskie, które zbytków broniły, chadzała w jedwabiach, nosiła łańcuchy i kolce złote, wdziewała zabronione srebrne pasy i otwarte jupki z wyłogami z futerka...

Piękność jej, którą długo zachowała, choć znacznie się zaokrągliła i ocieężała trochę; świeża i rumiana twarz z żywym okiem czarnem; śmiałość jej, wreszcie męża dostatek i stosunki dozwalały bezkarnie występować na ulicach i w kościele, na złość innym mieszczankom...

W mieście Kuba miał domów i dworzyszcz dużo, nabywał je, mieniał, budował, frymarczył niemi i na tem zarabiał... Dla większej powagi raz się dał obrać Rajcą miejskim, i sprawiał urząd ten do nowych wyborów, lecz że mu z nim niedogodnie było, bo musiał na Szlązk jeździć, na Węgry, i handlem się zabawiać, nadal się wyrzekł dostojenstwa, z którego mu tytuł tylko pozostał.

Byłby to najszcześliwszy z ludzi, gdyby mu Pan Bóg dał płci męskiej potomka. Z dzieci, które na świat przyszły, a pozierały wszystkie, Rajcy Kubie została tylko córka jedna Basia...

Tę jedynaczkę oboje rodzice pieścili, chuchali nad nią, czuwali, jakby była dzieckiem królewskim. W zamożnym domu łatwo było cokolwiek zamyśliła spełnić, zbytkiem ją otoczyć i zawczasu tak samowolną uczynić, tak swawolną i nieposkromioną, że potem, gdy dorosła, ani matka, ani ojciec, ani żadna w świecie siła pohamować nie mogła dziwacznych jej zachcianek.

Rodzice, szczególnie matka, tak ją kochali, że największa niedorzeczność, gdy Basi się na

nią zebralo, wydawała się im i niewinną i usprawiedliwioną.

Dzieckiem, była na pół dziką, a dziewczęcía dorosłszy, wydawała się szaloną.

A była tak śliczną, może piękniejszą, niż matka swojego czasu. Cudo dziewczyna, ale szatan nie kobieta. Rodzice się nią zachwycali: lecz każdy co ją zobaczył, musiał też zdumiewać się wesolej, śmiałej, rzeźkiego słowa, a nadzwyczajnego wdzięku Baśce... Starych i młodych, i takich, co bywali uprzedzeni źle o niej, gdy tylko chciała, zyskiwała sobie jednym uśmiechem... Miała lat ośmnaście, gdy ojciec, a nawet matka widząc, jak trudno ją utrzymać na wodzy i dopilnować, zaczęli się naradzać, za kogoby ją wydali. Mieli prawo wybierać, bo Basia bogatą była, okrutnie piękną, i sobąby żadnemu domowi krzywdy nie uczyniła.

Świniągłowa obiecywał po niej zaraz dwa domy, dwie jatki i dworzyszcze na pół zabudowane, a były i grzywny w nadziei i skrzynie pełne kobiecych przyborów kosztownych bardzo.

Najbogatszych mieszczan młodzież zalecać się szła do Basi, czasu świąt i przyjęć izby zawsze były pełne, lecz, choć wszyscy się w niej kochali, żenić się wahał każdy.

Nie kryła się z tem dziewczyna, że jak swawoliła swobodnie, u rodziców będąc, tak i po weselu z czepcem razem nie myśli statku brać

na głowę. Muzyka, skoki, pieśni i rozmowy bardzo śmiało i dwuznacznie lubiła niezmiernie, smutku znać nie chciała, a posępnych twarzy — ani patrzeć.

Z ośmnastu lat doszła do dwudziestu, potem parę lat przybyło jeszcze, a o weselu słychać nie było. Kuba Świniągłowa zaczynał się frasować, a Agata łajała go, gdy o tem mówił, dowodząc, że powinna jak najdłużej swobody zażywać, póki się w jarzmo małżeńskie zaprzęże, i że dla niej zawsze łatwo będzie o męża.

Tymczasem Baśka się stroiła, rozkwitała, nabierała śmiałości coraz większej, pieśni uczyła się coraz nowych — i nie spieszyła na kobierzec...

Różne o niej historie opowiadano, lecz nie wszystkiemu wierzyć można. To pewna; iż kilku bardzo znacznych ludzi, kręciło się koło niej, i jeden rycerz wielkiego imienia, u Świniągłowy gospodą stając w Krakowie, po kilka tygodni tu przemieszkował, po całych dniach dziewczę bałamucił, a ona jego.

Potem nagle, oczy miała zapłakane, a Śreniawita wpadł jak w wodę.

Pochodziła Baśka czas jakiś smutniejsza, ale długo nie mogła; piosnka wróciła na usta, rumieniec na twarz, i oczy zapłakane znów jak dwie gwiazdy świeciły. Tego to czasu jakoś, piękny i zawsze strojny jak królewicz, Kochan Rawa zobaczył ją, idącą ulicą do kościoła... Spoj-

rzał na nią, ona na niego, i co miał iść za sprawą pilną, powlókł się za nią do P. Maryi. Jak się tam modlili oboje, nie wiemy, ale oczy latały żywo.

Za powracającą do domku Baśką, której ochmi-strzyni stara towarzyszyła, bo matka była trochę chora, Kochan poszedł w ślad, po drodze rozpoczął śmiało rozmowę, okazało się, że ona знаła go, kto był... Zaprowadziła z sobą do kamienicy Kuby, którego w domu nie było.

Dziewczęciu zalotnemu, lubiącemu, co świetnie i błyszcząco a dostojnie wyglądało, piękny Kochan, choć nie młodzieniaszek, bardzo się podobał. Uparła się go oczarować, nie było trudno.

Zapraszano królewskiego ulubieńca, Baśka nawet marzyła, że się z nią ożeni.

Trwało to dosyć długo, zdawali się kochać wielce, lecz Rawa o zrękowinach nie bąknął ni słowa. Jednego ranka, ni z tego, ni z owego, gdy pani Agaty w izbie nie było, żywa rozmowa skończyła się kłótnią i krzykiem.

Gdy matka nadeszła pytać o przyczynę, Baśka nie powiedzieć nie chciała, lży gniewu na oczach miała, dumę na czole. Kochan wyszedł, nie wiele tem wzruszony. Kilka dni go nie było, Baśka gniewała się ciągle, nareszcie jednego dnia strojna bardzo, poszła rano do zamkowego kościoła. Chodziła przez dni kilka na jakieś przechadzki ze starą Wawrową, chwaliła się, że kró-

ła na nich spotykała, że raz do niej nawet przemówił bardzo łaskawie. Ułękła się matka, Baśka ją wyśmiała.

Wkrótce potem Kochan powrócił. Byli z sobą teraz inaczej, szeptali cicho, matka podedrzwia-
mi wypatrująca, uradowała się zgodzie i najlep-
szemu porozumieniu obojga...

Nie wiele upłynęło czasu, i Świniagłowy szepta-
li z sobą o weselu, gdy jednego rana Baśka
poszła rano na nabożeństwo z Wawrową, a w go-
dzinę potem oehmistrzyni wróciła, pędząc, jak
oszałała, ręce łamiąc i narzekając, że dziewczę
jej w ścisku kościelnym przepadło.

Pobiegł zaraz ojciec, lecz nabożeństwo się
skończyło, kościół pusty, a Baśki ani śladu, ani
o niej słyhu...

Ojciec nie czyniąc wrzawy, aby dziecka sła-
wie nie szkodzić, począł ostrożnie czynić poszu-
kiwania na wszystkie strony. Posądzenie było na
Kochana, lecz ten na zamku się znajdował, po-
kazywał na mieście, i o Baśce jakoby nie wie-
dział nic.

Matka przed ludźmi powiadała, iż córka le-
żała chora. Ruszano ramionami, szeptano różnie.
Skończyło się na tem, iż Kuba doszedł, że Baśka
była w Krzeszowie...

Przez kilka miesięcy opowiadano ją chorą,
gdy dnia jednego zjawiała się w Krakowie zno-
wu, ciekawi goście popłynęli do domu. Choroby

na niej najmniejszego śladu widać nie było. Owszem, jakby jej ta słabość na dobre wyszła, piękniejszą się wydawała, świeższą, i tylko poważniejszą a dumniejszą może. Trochę smutku miała na czole, trochę jakiejś w oczach tęsknoty... Przybył znowu Kochan, zjawili się inni znajomi i przyjaciele, Baśka królowała jak przedtem, a ludzie dla niej szaleli.

Znikła im królewną, powróciła królową, a nie zdawało się to ją wiele kłopotać, gdy dopytywano o słabość, żartowano z tego, że tak długo jej nikt nie widział. Złośliwi utrzymywali, że ilekroć króla w ulicy spotkała, Kaźmirz stawał, dobrotliwie się do niej uśmiechał, pozdrawiał, a ona pół gniewnie, pół zalotnie, odpowiadała mu wzrokiem i słowem.

W sukniach i klejnotach, teraz jeszcze większy okazywał się koło niej dostatek. Czółko jedno kładła całe perłami szyte, tak drogie, a tak osobliwe, że je na kilkaset grzywien ceniono.

Czas był Baškę nareszcie za męża wydać. Ojciec naprzód spróbował, nikomu nie mówiąc o tem, rozmówić się z Kochanem. Spodziewał się go ując nadzieją posagu, ale z niczem powrócił.

Kochan przyjacielem się ofiarował być na wiek wieków, lecz powiadał, że czasu nie ma do ożenku, królewskim będąc sługą.

Tak tedy, przebijając pomiędzy różnemi, Swi-

niągłowa w ostatku trafił na młodego mieszcza-
nina Materterę.

Fryc Matertera pochodził z dobrej rodziny, ojciec jego majątnym był, i ławkę miał swoją, a żelazem kupczył. Szło mu nawet długo niezgorzej, gdy nagle, tak jak Świniągłowie się wiodło, jemu poczęło się nieszczęście. Spalił mu się dom, obdarli go zbóje w powrocie z Węgier, nieład wkradł się do domu, stary pić zaczął, w ratuszowej piwnicy po całych dniach siedział, zbiedział, i gdy zmarł, synowi tylko sprawy kosztławe pozostawił i długi.

Szczęściem dla Fryca, chłopak był roztropny, pilny, głowa otwarta, i, co nigdy nie szkodzi, piękny bardzo.

Choć się nie miał w co ubrać dostatnio i musiał ladajako odziewać, gdy się pokazywał w ulicy, wszystkie dziewczęta za nim oknami i drzwiami wyglądały. Szkoły trochę u Panny Marji li-
znał, z początku chcąc do stanu duchownego się sposobić, potem mu ochota odeszła. Handlu już swojego nie miał, bo mu i ławkę zajęto, i żelaza nie było kupować za co; więc u Kecera, któremu był krewnym, niby służył, niby się wprawiał.

Baśka, która pięknych chłopców lubiła, kilka go razy pochwaliła przed matką, ubolewając nad tem, że nic nie miał. Kuba go do siebie zaprosił. Począł przychodzić na wieczorne pląsy, a zbliżka się Baśce podobał jeszcze lepiej, bo śmiałym

był, wesołym, pieśni podostatkiem umiał, a że odwagi nie miał się starać o bogate dziewczę, ani mu to w głowie powstało, był z nią za pan brat, nie nie mając do stracenia.

Do zabawy był jedyny...

W czasie, gdy nagle Świniagłowianki zabrakło, a mówili, że chora leży, Fryc się do nich nie dowiadywał, gdy się ukazała powrócił.

Śmieli się do siebie, jak dawniej, i Wawrowa powiedziała, iż na oczy swe widziała, jak we drzwiach raz o mroku całowali się z sobą. Może ta plotka skłoniła Kubę, że do Keczera, opiekuna Matertery poszedł, długo się z nim naradzał na cztery oczy, potem Fryca przywołano, i rozmowa przeciągnęła się godzin parę, a nikt jej nie słyszał. Tegoż wieczora Fryc zjawił się u bogatego handlarza, wesół, śmielszy niż bywał, przysiadł się do Baški, powracał potem codzień, i w tydzień zaczęto mówić na mieście, że Baška za niego wychodzi.

Spytał o to ktoś Matertery, czy prawdą było, że się żeni.

— A co komu do tego? odparł zuchwałe, albo to ja się żenię dla kogo, nie dla siebie?

Rodzina matki i niektórzy Keczerowie zaczęli Frycowi ożenienie odradzać, dowodząc, iż statku dziewczynie brakło, że różnie na nią wygadywano, na co Fryc ramionami ruszając, nawet odpowiadać nie chciał.

W mieście już bębniiono o weselu... Mówiono, że zaraz po Godach je wyprawi Świniagłowa, i już się ku temu u niego sposobia. A miało być weselisko tak luczne i wspaniałe, jakiego Kraków nie widział dawno.

Były naówczas prawa, które zbyt ków mieszczanom nie dozwalały; więcej nad trzydzieści mis, po trzy osoby na jedną, nie wolno było dawać przy weselu, nie licząc w to księży i panien, a potraw na weselu więcej pięciu zakazywano, trefnisiów weselnych nad ośnin nie mógł ojciec sprowadzić, itp., lecz Świniagłowa wcale się tych surowych przepisów trzymać nie myślał. Wiedział dobrze, iż nikt go skarżyć nie będzie, a ci, co z uczty skorzystają, łatwo go rozgrzeszą.

Całe dostojniejsze mieszczaństwo z rodzinami i powinowatemi, krewni Materterów, Keczerów, Świniagłowy, rajcy, ławnicy, a ze dworu Dobek, i Kochan, i dwóch Zadorów zaproszonych było.

Z duchownych trafiło się tak, że ks. Marcin Baryczka musiał być na weselu, bo on pono Baśkę chrzcil, czy też inne jakieś łączyło go z tym domem duchowne powinowactwo.

Kto tam tego wielkiego zbytku, na który się zanosilo, był sprawcą, trudno dojść było, chciała go Agata, domagała się Baśka, żądał sam ojciec, aby ludziom okazać, iż jedynaczka jego nie gorzej od innych za mąż wychodzi.

Dziewczę pono najwięcej wymagało i pyszniło się tem, że weselem pańskim ludziom złym usta zaniknie.

Trzeba było, gdy dzień się zbliżał, cały niemal dom na nowo urządzić, tak, aby półtorasta głów zasiąść mogło wygodnie do stołu, aby było gdzie płasać, i innych ciekawych gości, nadchodzących z podarunkami, zwykłemi dla nowożeńców, umieścić.

Świniagłowa chciał się też z dostatkiem popisać, i dostojniejszym srebrne postawić naczynia, innym cynowe, a pić i jeść dać w bród.

Nie trzydzieści, ale pięćdziesiąt mis ledwie mogło starczyć... Wino gotowano słodko i korzenno, a do potraw nie żalowano przypraw zamorskich... Wiele było w mieście trefnisiów weselnych, wszystkich zawczasu zamówiono, obiecując im dobrą zapłatę, jedzenia i napitku, ile zechcą. Kochan przyrzekał, że nawet królewskiego Szapkę sprowadzi.

Nie obchodziły się wówczas zamożniejszych wesela bez wierszowanych powinszowań i życzeń, często trochę swawolnych, zawsze tłustych i dwuznacznych. Tych rymarzy, wierszokletów (rimarij), którzy pięknie zastosować umieli stare koncepty do młodego stadła, drogo opłacać było potrzeba, więcej, niż najslawniejszych trefnisiów. Mieszczanom więc ich uchwały tego zbytku nie

dozwalały, ale Świniagłowa nie myślał się i do tego prawa stosować.

Zamówił więc klechę, Wyrwantem zwanego, który słynął z tego, że ludzie się za boki trzymać musieli, gdy oracją prawil nowożeńcom. Wyrwant obiecał coś przedziwnego i w najlepszym gatunku. Imię jego za towar ręczyło.

Sam dwór Kuby i zewnątrz został na nowo posmarowany, i wewnątrz przyozdobiony... Co gdzie skrzynie miały najdroższego, dobyto wszystko: kobierce, sukna, opony. Pożyczać Kuba nie potrzebował.

A że zima na inną zieleni nie pozwalała, jedninką musiano przybrać drzwi i okna.

Jeszcze do wesela kilka dni było, a w mieście całem mówiono już o niem, z przekąsem jedni, z podziwieniem drudzy, z zazdrością wszyscy prawie. Prorokowano Kubie, że majątek na ten zbytek nadweręży...

Baśka tymczasem o jednym myślała, aby nie tylko wystąpić piękną, lecz tak strojną bogato, żeby się wszystkie dziewczęta, które koso na nią patrzyły, powściekały ze złości.

Na dostatkach i klejnotach jej nie zbywało, a oprócz tych, które zdawna u Świniagłowów znano, jawiły się i nowe jakieś, drogie, osobliwe, o których pochodzeniu złe języki dziwyszeptwały...

Gdy przyszedł uroczysty pochód do kościoła z muzyką, z trefnisiemi, z gromadą ludzi postro-

jonych przepysznie, a potem powrót od ślubu, który dawał ks. Baryczka, wysypało się patrzeć na to, co żyło, tak, że weselni ledwie się przez tłumy mogli precisnąć. Na panią młodą patrząc, ludzie słupieli, tak była klejnotami okryta, a suknię miała z takich tkanin i szycia osobliwego, że istna z niej była królowa. Szła dumna, śliczna, wyzywająca oczyma, zwycięzka, prowadząc się za rękę z Frycem, także wystrojonym przepysznie, jak gdyby chudy pachol możliwym był panem. Powiadano, że Keczerowie mu to wszystko sprawili, aby się nie wstydził za niego. Jedna szubka, aksamitem okryta, futrem pięknem podbita, którą na ramionach miał, na kilkanaście grzywien była cenioną.

Gdy cały orszak weselny z muzyką począł do dworu wchodzić, zdawało się, że się w nim nie pomieści — przecież nikt w ulicy nie został.

Stoły zastawione były po izbach, po sieniach, i tak misternie, że nikomu miejsca nie zabrakło. Pierwsze zajęli młodzi małżonkowie, dalej rodzi-
na, rajcy, ławnicy, duchowni i przyjaciele domu.

Trafiło się przytem niespodzianie, że ks. Baryczkę, jako ojca duchownego, posadzono między pierwszemi, a Kochanowi wprost naprzeciw niego siedzenie się dostało. Zaledwie go tak blisko ujrzał, wnet pobladł, i o mało mu z rąk nóż, który trzymał, nie wypadł, lecz się pohamował. Szepnął tylko Dobkowi, który przy nim siedział:

— Sam Pan Bóg zrządził, że mi się tu nawinał ten klecha, ale poczekawszy, nie wypuszczę ja go ztąd, aż mn powiem, co mi serce gniecie. Popamięta on to wesele.

Dobek go wstrzymać chciał, lecz bardziej jeszcze rozjątrzył. Ks. Baryczka, który biesiad takich nie lubił, a zmuszonym był choć czas jakiś u stołu pozostać, siedział, gdyby posąg kamienny, z twarzą swą żółtą, smutną, wychudłą i oczyma strasznemi, mało co jedząc, kubka ledwie chcąc dotknąć, zadumany i gniewny. Tymczasem już i Wyrwant nadszedł z wierszami, do których wypowiedzenia dobrym się kubkiem wina przygotował, przez co odwagi nabrawszy, na nikogo nie zważał, dosadnie a głośno prawiąc takie rzeczy, przed któremi niewiasty śmiejąc się, oczy zakrywać musiały.

Ks. Baryczce twarz jeszcze się surowiej zmarszczyła, i czoło pogarbiło. Spoglądał na klechę piorunującym okiem wżgardy i gniewu, lecz Wyrwant lub nie widział groźb tych, albo na nie nie zważał.

Śmiechami rozlegały się izby, bo dla słuchania Wyrwanta, od drugich stołów powstawali goście i ciasnem kołem go otaczali. Zaledwie ten dokończył, kilkunastu trefnisiów, poprzybieranych pociesnie, pstro, w różne jaskrawe strzępki, w kapturki dziwacznie postrojone, do koła sto-

łów zaczęli wyprawiać skoki, figle, nucić piosenki i obudzać do wesołości.

Wrzawa ochocza napelniła izby wszystkie, a im ona rosła, tem oblicze duchowego straszniej się zasepiało. Widać było, iż rad chciał ztąd ustąpić, tak mu to rozpasanie języków i szal ludzki przykre były. Wstać jednak od stołu nie mógł, bo gospodarz Kuba pilnował go, kłaniał się, prosił, wstrzymywał, po rękach całując.

Wyjść też, a z ławy wstać, dla wielkiego ścisłu, nie było sposobu. Nawet mis, gdyby ich zawczasu nie ustawiono, służbawy przynieść była nie mogła. Dzbany i flasze z rąk do rąk po nad głowami podawano sobie.

Śpiewali jedni, śmieli się drudzy, krzyczeli inni, a muzyka w kącie też przygrywała hulaśliwie; ledwie siedzący w pobliżu posłyszeć się i zrozumieć mogli.

Kochan, z twarzy mu to wyczytawszy, iż ksiądz się wyrwać ztąd pragnie, czatował nań niespokojny, nie chcąc go wypuścić na sucho. Baryczka, naprzeciw siedzący, parę razy okiem go zmierzył pogardliwym i unikał potem spojrzenia na królewskiego ulubieńca. I on też czuł może, że Kochan radby znaleźć powód, aby się z nim rozprawić... Wiedział w nim nieprzyjaciela. Osobiście znali się oni i nieznali, spotykali z dala, wiedzieli o sobie, nie mieli jednak do czynienia nic.

Baryczka w otoczeniu króla, a szczególnie w Kochanie widział sprawcę wszelkich Kaźmirza zbytków... miał więc ku niemu wstręt największy...

Misy się wypróżniały, a dzbany pełne ciągle na stół przychodziły nowe, muzyka grała zapalczywie, podchmieleni śpiewali pieśni co raz tłuszciesze polskie i niemieckie, a trefnisie, szczególnie w pobliżu państwa młodych, od których się spodziewali podarku, popisywali z wyuczonym dowcipem.

Ci weselni wesolkowie mieli na wszelkie wypadki gotowe przycinki, zapas obfity zagadek, piosenek i gadek, któremi gości zabawiali, parami chodząc i jedni drugim dopomagając. Swoboda słowa była naówczas większą, a leniwe umysły potrzebowały dosadnych wyrażeń, aby się nimi poruszyły. Zameżne mieszcзки odpowiadały na zaczepki wcale się nie sromając i nie dróżąc; a rumieniec dziewcząt zdradzał, że i one rozumiały skierowane ku nim przytyki.

To rozpasanie, które nic w sobie nie miało nadzwyczajnego, surowemu Baryczce w końcu tak się przykrem stało, że trefnisia jednego zbesztawszy, siłą prawie od stołu się wyrwał, i Knebą naganiwszy za zbyt wrzawliwe wesele, chciał precz iść.

Ułakł się Kochan, że gdy mu tu ujdzie, już nie łatwo sposobność mieć będzie zbliżyć się do

niego, ruszył się więc z ławy natychmiast, i nie-spuszczając go z oka, szedł aż ku drugiej izbie, która do wyjścia prowadziła.

Nie bardzo na to zważano, bo goście wszyscy podchmieleni już byli. Swiniagłową, który szedł za księdzem, wstrzymano po drodze, i ks. Baryczka wymykał się już ku drzwiom, gdy Kochan, pospieszywszy, od nich mu zastąpił.

W boki się ująwszy, stanął wyzywająco. Ks. Baryczka wzrokiem go zmierzył ostro i pominąć chciał. Wrzawa biesiadnicza dozwalała się rozprawić nie słuchanym, bo mieszczanie czem innem byli zajęci.

— Wasza miłość — odczywał się Kochan — nie racycie dłużej z nami... Czyśmy nie godni?

Uśmiechał się, Baryczka nie odpowiedział, spróbował go wyminąć, nie było można.

— Jam dawno na to czekał, aby się rozmówić — odczywał Kochan — poczekajcie mało.

— A ja z wami ani rozmowy, ani spółki żadnej nie chcę — odparł ksiądz gniewnie. — Puszczajcież mnie...

— Słówek tylko — rzekł, nieustępując Rawa — cóżem to ja wam tak krzyw, że mnie nawet posłuchać nie racycie?

Baryczka zmierzył go oczyma, twarz jego coraz się stawała groźniejszą.

— Puszczaj mnie — odczywał się nakazująco.

— Nie macie się tu przecie czego obawiać

odemnie — począł Kochan szydersko. — Wolno wam, choćby i na króla głośno bluźnić, czemużby mnie z wami rozprawić się nie było wolno?

— Czego chcesz? — gwałtownie spytał Baryczka.

Rawa począł od wejrzenia, które już mówiło naprzód, że od niego nic nie posłyszysz dobrego.

— Wiecie o tem, że ja od dzieciństwa sługą królewskim — rzekł — a miłuję pana mojego nad życie własne. Co jego dotyka, mnie boli więcej niż jego...

Choć was wygolona głowa i suknia bronią od innych, odemnie one nie zasłonią, jeżeli przeciw królowi, jakeście poczęli, będziecie sarkać a ludzi jątrzyć...

Zuchwalstwo tych wyrazów oniemiało zrazu ks. Baryczkę. Stał, bledniejąc i czerwieniejąc na przemiany, ręce mu drżały...

— Coś ty za jeden, żebyś śmiał duchownemu dawać nauki! — wykrzyknął w uniesieniu — precz mi z drogi, zuchwalcze...

— Z drogi nie ustapię, aż się rozmówimy — odparł Kochan — a com ja za jeden, wiecie. Jestem króla sługą, a wy jego nieprzyjacielem... Strzeżcie się, księżę, a nie myślcie, żeby wam to uszło bezkarnie!

Pogardliwie uśmiechnął się Baryczka, hamował się widocznie, nie chcąc wdawać z człowiekiem, dla którego czuł pogardę, ale krew się

w nim burzyła, gniew poczynął kipieć; buchnął wreszcie, ręce podnosząc.

— Ani króla, ani was nie lęka się sługa Boży... Tyś królewski, jam tego, który nad królami jest... a moc jego mnie obroni... Tyś sługą nieprawości, jam stróżem prawa... precz z drogi... z tobą ja nie do czynienia nie mam...

Kochan wytrzymał ten raz, jak policzek mu w twarz rzucony...

— Nie zbędziesz się mnie tak łatwo — rzekł — ani się ja zleknię ciebie. O panu Bogu prawisz, a z szatańską złością na najlepszego z panów następujesz, drugim serce psowasz i do buntu ich podbudzasz...

Król może ci przebaczyć, ale my, co koło niego stoimy na straży... nie darujemy... choćby żywotem płacić przyszło.

— Ja też, choćby żywotem płacić, prawdy nie zamilczę — zawołał Baryczka — precz!

Cheiał iść przebojem, silny Kochan za ręce go porwał i jak żelazem przykutego trzymając, wołał:

— Klecho zuchwały, jeśli ci życie mile... strzeż się a milcz...

Ostrzegam cię, abys wiedział, co cię czeka. Zginiesz...

Mało ci tego, że po kątach króla bezcześcisz, jeszcze biskupa nam nasadził... jeszcze nam

kłótwami nad głową machacie... Nim ona kłótwą na nasze głowy przyjdzie, twoja gęba zamilkuie...

Im bardziej się rozzuchwalał i rozsierdzał Kochan, tem ks. Baryczka, w początku roznamietniony i oburzony, więcej sobą zawladywał i na pozór spokojniejszym zdawał. Kapłańska powaga przyoblekała go, a przed śmiałem wejściem Kochan zmieszany, spuszczać musiał oczy... Głos mu drżał, zabelkotał i zamilkł.

Ksiądz poczuł wyższość swą, i zapominając o miejscu, w którym się znajdowali — podniósł głos...

— Precz... Myślisz, że cię się ulękne, albz pogroźek twych? Wyście to nad króla winniejsi posługacze namietności, czeladź rozpusty, stręczyciele swawoli... ty, ty pierwszy... kara cię nie minie... bezwstydy...

Nie pohamujesz mnie strachem, ale mnie do nowej pobudzisz gorliwości... Gniew twój sprawia mi rozkosz... Łajanie jest mi czią... Precz synu Bełjała!

Pomimo zgiełku i wrzawy w izbie, rozmowa księdza z Kochanem długo nie mogła przejść niepostrzeżona. Swiniągłowa domyślił się zajścia i usiłował ku nim przecisnąć, pochwycił za rękę, Kochana, który go odepchnął...

Baryczka rozogniał się coraz więcej...

— Wezmijcie go, a wyżeńcie precz w ulicę!

— krzyknął do Kuby — bo człowiek ten kała

dom, którego próg przestąpi, przynosi z sobą srom, ciągnie nieszczęście...

Rozbójnicy, co po drogach łupią i mordują, lepsi są od niego, bo ciału śmierci zadają, a ów duszę zabija...

— Klecho! — wrzasnął Kochan, któremu na twarz wystąpił rumieniec — przysięgam, nie zginiesz, tylko z mej ręki... a zginię cię tak, że nawet śladu i pamięci nie zostawisz po sobie, warchole, który szukasz sławy, rzucając błotem na namaszczonego!

Pamiętaj te słowa — zginiesz...

Pogrożka, która przeraziła Kubę, bynajmniej nie nstraszyła Baryczkę, ruszył ramiony. Podnosił się teraz duchem coraz wyżej i stał spokojny.

— Szatan potężniejszy od ciebie jest — rzekł — przecie się go nie lękam... Zginać za prawdę i za kościół moję, Bóg mnie pomści... ty zginiesz w błocie i plugawstwie...

Kochan byłby się może rzucił na mówiącego i wesele zakrwawił, lecz w tej chwili nadbiegł Dobek, pochwycił gospodarza, odciągnęli go na stronę szamoczącego się, i ks. Baryczka, korzystając z odkrytych mu drzwi, zwolna, mierząc Kochana wzrokiem spokojnym, wyszedł z izby.

Pogoniłby może za nim Rawa, nie dano mu, Dobek silny, przyparł do ściany i wołać począł, aby się opamiętał.

Kuba zaklinał i prosił, przypadli inni, Kochan

choć się miotał i wykrzykiwał, dał się wreszcie do ławy doprowadzić, posadzić na niej i powoli trochę przytomności odzyskał.

Czuł, że przegrał sprawę, i walka, do której wyzwiał, źle się dlań skończyła... bolało go to nad wyraz... Zamilkł w duszy, sobie odwet obiecując.

Pomiędzy biskupim dworem a Wawelem rozbrat już był zupełny... Król nie okazywał ani niepokoju, ni troski, przynajmniej powierzchownie nie chciał wiedzieć o tem, co mu groziło, a o czem mu tylko usłuzni z boku donosili.

Naganiał Kochana, zakazywał wznawiać rozmowę, a że ks. Suchywilk, wysłany do Bodzanty, nie przyniósł żadnej odpowiedzi, nie domagał się o nią.

Życie szło zwykłym swym trybem spokojnym. Król sprawami państwa zajmował się pilno, zaprowadzał ład i porządek, gdzie mógł; kazał budować i jeździł wznoszące się oglądać gmachy. O oddaniu Złockich dóbr mowy nie było.

Gdy spokój taki panował na Wawelu — około Biskupa skupiało się wszystko, co królowi było niechętnem. Chciano wyzyskać duchowieństwa opór przeciwko władzy królewskiej.

Im Kaźmirz zachowywał się obojętniej, —

chłodniej — tem oburzenie na Biskupstwie wzrastało, a ks. Baryczka je żywił coraz nowemi doniesieniami.

Biskup Bodzanta, zgryźliwy, niespokojny, checiwy znaczenia człowiek, kosem okiem patrzył na ścisły związek króla z Arcybiskupem Bogorją, na powolność jego dla Kaźmirza, na wpływ, jaki mu ona dawała i stanowisko, które siostrzan Arcybiskupa, Suchywilk, przy królu zajmował.

Pomiędzy Gnieznem a Krakowem ciągle, choć ciche były zatargi. Bodzanta pragnął odzyskać dawne niezależne znaczenie duchowieństwa, które monarchów stanowiło i zrzucało, i niemal od nich więcej mogło... Wzrost władzy świeckiej, — zwierzchnictwo metropolii gnieźnieńskiej, zmniejszone znaczenie biskupa krakowskiego, jątrzyło go. Bojowniczego ducha, pragnął wywołać walkę, pewnym prawie będąc zwycięstwa i poparcia w Rzymie... Wyświęcony na pasterza mimo wyboru kapituły, bez jej wiedzy, złamał był jej niechęć ku sobie, tak samo się spodziewał zwyciężyć króla i zmusić go do większego poszanowania duchownej władzy.

Nie szło już o same dobra Złockie; król, który śmiał się opierać biskupowi, malowanym tu był jako człowiek najgorszego obyczaju, rozpustny, samowolny, a biskup odgrążał się, że z obowiązku swojego skarci go.

Podżegano tę waśń, z każdym dniem rosnącą,

donoszono na zamek, król wcale nie chciał o tem słyszeć, ani okazać, że się czegokolwiek lękał.

Na biskupstwie wiadano też o wszystkim, co się prywatnego życia Kaźmirza tyczyło, sprawa królowej podniesioną została na nowo... Leczono kochanki niebywałe, zgorszenia wymyślone.

Baryczka z wesela u Swiniagłowy powrócił w największem gniewie i wprost pobiegł do biskupa na skargę, zuchwały postępek Kochana kładnąc też na karb królewski.

Nie ośmieliłby się taki dworzanin napaść na kanonika i wikaryusza, gdyby ze strony nie był pewien poparcia...

Biskup Bodzanta wciąż jeszcze spodziewając się, że samemi groźbami zmusi Kaźmirza do ustąpienia i upokorzenia — czekał...

Ale na zamku wcale już nie bywał. Król widywał go tylko w kościele, do rady nie był wzywany... Spotykali się z dala; unikając nawzajem.

Tymczasem Baryczka niecierpliwy, naglił na Bodzantę. Według niego zgorszenie było straszliwe, wystąpienie stanowcze — konieczne.

Biskup naostatek dnia jednego, przyciśnięty, znaglony, postanowił nazajutrz jechać na zamek. Król właśnie był z polowania w Niepołomicach powrócił, a mówiono, że do Pragi się wybierał.

Odwiedziny te czeskiego dworu, jak wszystkie czynności królewskie, tłómaczono sobie tem, że

Każmirz się tam swobodniej mógł zabawiać i piękne czeszki wabić do siebie.

Na zamku dowiedziano się wieczorem, że na-
zajutrz z kościoła Bodzanta ma być u króla.

Każmirz czekał.

Łagodny i dobry dla maluczkich, tam, gdzie
jako król stawać musiał, przywdziewał powagę,
i nie dawał się łatwo zastraszyć...

Biskup występując — nie chciał z tego kroku
czynić rozgłosu, a wahał się jeszcze wojnę roz-
począć... Miał więc na osobności króla strofo-
wać.

Każmirz się tego spodziewał...

Po skończonem nabożeństwie, zaledwie król
miał czas przejść do zamku, gdy mu oznajmiono
Bodzantę. Wyszedł według zwyczaju na powita-
nie, nie okazując względem niego najmniejszej
w postępowaniu zmiany.

Miał tę wyższość nad Biskupem, iż najzupel-
niejszą krew zimną zachował, gdy Bodzanta,
który długo się na ten krok zbierał, długo we-
wnątrz gryzł się i niepokoił — szedł zawczasu
poruszony — przedwcześnie już gniewny.

Po przywitaniu, gdy zasiedli oba, a kilku
urzędników stało opodal, niepewnym głosem, rzu-
cając oczyma zapalonemi, biskup zażądał rozmo-
wy na osobności, Każmirz skinął, usunęli się
wszyscy.

Wielki chłód i nieporuszona tem powaga króla, Bodzantę coraz mocniej rozjątrzały...

— Z obowiązku ojca duchownego miłości waszej — odezwał się głosem drżącym i przerywanym — przyszedłem tu... Odpowiadamy za owieczki nasze... za najmniejszą z nich, cóż dopiero za taką, której przykład świeci wszystkim, albo w ciemności ich pogrąża.

Spójrział na króla, który słuchał, najmniej nie okazując wzruszenia.

— Miłościwy królu... późną od sprawy kościelnej... krzywda się stała nie tylko mieniu, ale powadze kościoła i mojej. Zabrano mi dobra...

— Wiem o tem — przerwał Kaźmirz spokojnie. — Posyłałem z tem do was ks. Jana, aby sprawę wytłómaczył. Nikt, tylko przodkowie moi majątności te kościołowi nadali, odbierać mu ich nie myślę. Stanął układ pomiędzy mną a ś. p. poprzednikiem waszym Jangrotem o zamianę; z mocy umowy tej zabrałem Złockie, dam inne dobra...

Biskup natychmiast wpadł w gorączkę wielką, którą już był z sobą przyniósł, i krzyknął:

— O żadnych układach nie wiem, żadnej zamiany nie chcę... własności kościelnej się upominam!! Idzie mi o powagę moją, o nienaruszalność mienia naszego, którego ja stróżem jestem.

I dodał złośliwie, na myśli mając Bogorję:

— Nie jestem z tych pasterzy, którzy przez

grzeszną pobłażliwość dla władzy świeckiej na frymarki się puszczają...

Zły przykład może zgubne wydać owoce. Co kościół raz dostał, to mu odebraniem, zamienionem być nie może — jest nietykalnem.

Spojrzał na króla, na którego twarz rumieniec nawet nie wystąpił.

— Szanuję ja kościół, wiernem jestem dzieckiem Rzymu, lecz w sumieniu będąc spokojnym, opierając się na umowie, gotówem z tem i do Rzymu — a dóbr oddać niemogę, bobym się na pośmiewisko wystawił.

— Więc wolisz wasza miłość mnie narazić na nie! oburzył się Bodzanta...

Groziecie mi Rzymem? ja też do niego znam drogę!!

Ton jakim to mówił biskup, był zaczepny, grożący, niewłaściwy do króla, Kaźmirz też nie odpowiedział nic.

Sparł się na rękę, twarz zwrócił do mówiącego wypogodzoną — słuchał...

Biskupa chłód ten drażnił i do gniewu pobudzał.

Król więc nawet uniewinniać się. nawet łagodzić go nie chciał!!

— Nie z jednym tem przyszedłem do was, miłościwy królu — czekałem długo, milczałem nadto, sumienie obciążone mam... któż wam powie prawdę, jeżeli nie ojciec duchowny, nie ja??

Źle żyjesz, królu... toż samo, co niegdyś Stanisław wyrzucał Szczodremu, ja muszę Wam powtórzyć — żyjesz źle... królowa odsunięta, odepchnęta, miłośnice wasze palcami skazują. Królestwo wasze pójdzie w niewolę i pod panowanie obcych za grzechy wasze.

Jako ojciec duchowny, wzywam was, królu, po chrześcijańsku żywot rozpoczniejcie na nowo. Precz z nierządnicami, precz z zuchwalstwem i ulubieńcami, królowa powinna powrócić... Domagam się tego...

Głos drżący, coraz mocniej biskup podnosił, tak, że go z drugiej izby słyszeć było można, Kaźmirz pobladł nieco, surowszym wyrazem twarz się oblokła.

— Znam grzechy moje — rzekł — i przed Bogiem za nie odpowiem.

Z żoną żyć — nie mogę... Nierozważne było małżeństwo, ale znoszę je, królowej się krzywdą nie dzieje. Miłośnic moich nie widzi nikt, a więc bym ich mógł ukazać przy opatach i prałatach kościoła, którą mu głową jesteście, niż przy mnie. Oczyszcicie naprzód co bliżej was jest i większe zgorszenie czyni.

Biskup rzucił się z siedzenia — podnosząc rękę.

— Królem jesteś — krzyknął, ale twa wiedza nie sięga nas! Kościelne sługi do was nie należą.

Raz jeszcze wzywam o poprawę żywota, abym niebył zmuszony użyć tego oręża jaki mi jest zwierzony...

Jeżeli kościół cię odepchnie, zachwieje się korona twa, pójdiesz jak ojciec wygnaneem, ale jak on nie powrócisz...

Wspomnienie ojca, króla poruszyło do żywego, zalała się twarz bladą krwią.

— Czyńcie ze mną co chcecie, zawołał groźnie, lecz świętej pamięci rodzica nie tykajcie!

Niemacie do tego prawa...

Wstał i z dumą, odezwał się:

— Żegnam was.

Biskup stał jeszcze, mając gwałtowniej napaść na króla, gdy ten, powolnym krokiem ku drzwiom podszedłszy, zasłonę szkarłatną podniósł i zniknął

Bodzanta padł na krzesło. Potrzebował ochłonać... Prawie w tej samej chwili drugimi drzwiami wszedł Suchywilk, Otto z Pilicy, Wojewoda i Starosta sandomirski, Jaśko z Melsztyna i kilku innych.

Ostatni z nich, skłoniwszy się biskupowi, rzekł cicho — że król się uczuł niezdrowym i kazał Bodzantę przeprosić.

Niechając okazać, jak był gniewnym i czuł się obrażonym, biskup wstał żywo z siedzenia, zamruczał coś, pobłogosławił pospiesznie przytomnych i skierował się ku wyjściu.

Z poszanowaniem dwór go cały odprowadził.

Tak się skończyło owo posłuchanie na którym ks. Bodzanta daleko większe pokładał nadzieje. — Powrócił na dworzec swój smutny, bo w duszy przekonany, iż niezręcznem wspomnieniem ojca królewskiego, rzecz dobrze poczętą popsuł. Czuł się do winy, do której przyznać się nie chciał

Na dworcu czekał nań z wielką niecierpliwością ks. Baryczka — i wniósł z milezenia npar tego biskupa, że krok się nie powiodł.

Nie prędko ochłonawszy, Bodzanta w krótkich słowach opowiedział mu, że nporu króla przełamać nie mógł, że rzucił może tylko nasienie, które rozwaga rozwinie... Potrzeba było czekać, dać czas do niej.

Ks. Baryczka był całkiem przeciwnego zdania. Pocałował w rękę Bodzantę, ale sprzeciwił się stanowczo.

— Nie trzeba im dawać czasu do rozmysłu! nie! Bić żelazo, póki gorące, nie dać odetchnąć, piorunować, klątwę zawiesić nad głową...

Uniósł się.

— Nie chcecie wy sami mieć z bezbożnikiem do czynienia, macieli nadto litości w sercu i dobroci — szljcie mnie! Nie ulękne się, pójdę, wzięwszy krzyż w ręce, w obec ludu karcieć go będę, po kościołach obwołam... Dla mnie on nie królem ale niepoprawnym, zatwardziałym grzesznikiem, wiarołomcą...

Wpadł w szal wielki ks. Baryczka, aż Bodzanta, którego zawstydział tem bohaterstwem, musiał pod posłuszeństwem kazać mu się pohamować i zamilczeć. Ledwie to na chwilę usta mu zamknęło.

Na Wawelu, gdzie znaczniejsza część dworu króla część rozmowy mimowolnie słyszała, gdyż Bodzanta głos podnosił — zburzenie było nie mniejsze. Niektórzy się na biskupa odgrażali, chciano skarżyć do Rzymu, Otto z Pilicy wołał, żeby go uwięzić należało za nieposzanowanie króla. Inni, umiarkowańsi, widząc, że Kaźmirz zachował się spokojnie i rozmowy nawet o wypadku tym nie wznawiał — wnioskowali, że z wielkiej chmury tej burzy nie będzie.

U stołu króla mówiono o turniejach, o nowej broni, o nowinach z Węgier, o krzyżakach — a o biskupie ni słowa.

Tylko Otto z Pilicy, przywiązany do króla, uspokoić się nie mógł. Kochan go nie spuszczał z oka. Już wprzód go usposobił jak mu było potrzeba. Wnet po obiedzie zeszli się z nim w kątku izby z której inni się rozchodzili.

— Panie Wojewodo, rzekł Kochan uśmiechając się, po cichu — króla znam — darowałby on biskupowi wszystko, ale nieposzanowania pamięci ojca nie przebaczy. Wiem to — że choć sam mścić się nie będzie, gdyby kto się zań

uął przyjmie wdzięcznie. Macie tam dobra biskupie pod bokiem... He? Każe urzędnikom swym, aby klesze dokuczali. Będzie musiał do króla na skargę, naówczas wszystko się zładzi.

Otto z Pilicy nie był od tego.

— Zrobię tak, rzekł — są spory o granicę... łatwo mi przyjdzie dokuczyć Bodzancie...

Kochan w ramię go pocałował.

— Stary dobre oczy ma, gdy cudze rzeczy wypatruje — dodał, a co pod nosem u niego się dzieje nie widzi. Zabawna to historia, o której prawią ludzie o nim i bracie jego, Zawiszy. W rodzinnym swoim Janikowie Bodzanta zamek budować kazał, bo mu się zachciało króla naśladować... Zwierzył ono budowanie bratu. Lat już kilka trwa owe bajeczne a kosztowne wznoszenie zameczyska, na które ani jednego kamienia, ani belki jednej nie sprowadzono, a Zawisza co roku płacić Biskupowi każe za to, czego nie zrobił. Słuchając go, gdy o zamku prawi, którego na świecie nie ma, gdy biskup się rozkoszuje i rozporządza — ludzie boki zrywają.

Bodzanta by rad do Janikowa dojechać i te mury, na których tyle kop groszy dawał, zobaczyć — lecz, Zawisza baczny, zawsze mu coś przeszkodzi... Tymczasem pieniądze do kalety wysypuje..

Zabawiwszy Wojewodę tą powiastką, która

wcale zmyśloną nie była, Kochan nastał jeszcze na to, aby biskupich dóbr nie szczędził.

— Jedyńy to sposób — odezwał się — sam sobie sprawiedliwości nie wymierzy, musi po nią do króla — wówczas dopiero my się i o Złockie dobra z nim rozprawimy, wymożem zamianę i jaką taką zrobimy zgodę.

Otto z Piley, który Kochanowi ufał, nie wspominając o tem królowi, nazajutrz pojechał do Sandomierza i natychmiast się wziął do dzieła.

W dni kilka dziekan przybiegł na dwór biskupi z lamentem wielkim... Królewscy urzędnicy w lasach gospodarzyli, osadników brano z ziemi biskupiej i przesadzano — wojsk oddział jakiś zajął część majątności biskupich.

Gwałt ten, który od czasów wojen Łokietkowych był bezprzykładny, nie mógł być przypadkowym, czuć w nim było rozkaz z góry, skazówkę, wydaną wojnę.

Biskup, słuchając przybyłego ze skargami na zamek chciał natychmiast — z groźbą wyraźną — klątwy. Ledwie go wstrzymano.

Posłał po Baryczkę...

Ten tryumfował.

— Stało się, jak przepowiadałem — zawołał — bezkarnie uszło jedno, próbują więcej — cierpliwość pasterska wynagrodzona! Tu piorunów potrzeba! piorunów, piorunów!!

Zebrano tegoż dnia kapitułę na radę...

Od mianowania i wyświęcenia przez Papieża biskupa Bodzanty, choć kapituła opierać mu się nie mogła, zawsze między nią a nim nie było miłości wielkiej. Zebrani kanonicy przyszli w milczeniu, wysłuchali żałoby, nie odpowiadali nic na wnioski, do serca jednak tego zatargu nie wzięli.

Bodzanta też o radę ich niepytał.. Baryczka nim ovladnął zupełnie, szedł z nim nie oglądając się na nikogo.

Ks. Marcin do wojny, na męczeństwo — gotów był, chciał natychmiast iść biskupowi towarzyszyć, poprzeć go...

Po długiej naradzie Bodzanta uznał, iż mu powtórnie iść raz odprawionemu nie przystało — Baryczka ofiarował się w imieniu jego uroczyście udać się na zamek z przestrogą do króla i ostatnią groźbą.

O ile on pragnął tego — biskup się wahał jeszcze. Radby był mniej gwałtownego wybrał posła... lecz — Baryczka nastawał, prosił, błagał...

To, o czem marzył, spełnić się miało nareszeie! Bodzanta dzień postanowił. — Było to w końcu stycznia, król ciągle na łowy jeździł, obawiano się, aby im nie uszedł. Jak skoro postanowiono, iż na zamek ma iść — ani dnia nie chciał już folgować ks. Marcin...

Długie oczekiwania, gwałtowna żądza wystąpienia przeciwko zgorszeniu, gorliwość nadzwyczajna człowieka przejętego świętością po-

słannictwa swojego, nie dały mn w nocy zmruczyć oka.

Spędził ją na klęczkach w zimnej izdebce swej, modląc się aby go Bóg natchnął, dał mu siłę i wymowę, moc przekonywającą. O świcie poszedł mszę świętą odprawić do kościoła na Wawelu — w czasie której płakał i Bogu dziękował, iż mu dozwolił narażać życie dla chwały swojej...

Gdy z tą gorącą modlitwą na ustach powracał do zakrystyi, nie widząc nic, cały w sobie i pełen świętej gorączki, zapachu męczeńskiego — spostzegł w niej, zrzucając z siebie szaty obrzędowe, stojącego i jakby nań oczekującego Suchywilka.

Były to dwa zupełnie sobie przeciwne i nie mogące się pogodzić charaktery. Zaczne oba, różne zupełnie. Baryczka na apostoła stworzony, Suchywilk na spokojnego władcę i kierownika.

Modlił się więcej Baryczka, skuteczniej od niego był czynnym Suchywilk. O ile tamten gorącym, ten był rozważnym. Pierwszy znał świat, jakim go widział z kościoła i od ołtarza, drugi, jakiego się z życia nauczył.

Ks. Marcin przeczuwając, iż mu tu grozić może rozmowa, której weale nie życzył, starał ię jej uniknąć — chciał wynisnąć natychmiast.

Ks. Suchywilk z powagą zaszedł mu drogę i pozdrowił go.

— Słówko, mój ojcie, rzekł, choć widzę, że się spieszycie. Posłuchajcie mnie.

Nie było sposobu odmówienia chwili rozmowy.

— Duchownym jestem jak wy, mój ojcie, mówił dalej ks. Jan. Sprawy kościoła, stanu naszego, obchodzą mnie tak gorąco jak was. Wiem co wczoraj doniesiono, iżście z rozkazu pastora wysłani do króla.

Woli biskupa swego żaden z nas, duchownych, opierać się nie może. Spełnijcie ją, lecz ojcie mój, słudzy kościoła ludźmi są, a Bóg gniewem i namiętnością źle bywa usłużonym. Postąpcie łagodnie uczynicie więcej i lepiej.

Zcierwienił się Baryczka.

— Postąpię, jak mi sumienie moje i obowiązek nakazuje, odparł niecierpliwie. Środki łagodności wyczerpane zostały, potrzeba grozy i odwagi!

Chrystus frymarczących chłoszcząc gnał precz ze świątyni, słudzy też jego bicz ten czasem w ręce ująć muszą na grzesznych.

Suchywilk słuchał cierpliwie.

— Tak, Chrystus raz w życiu tylko za nieposzanowanie domu ojca swojego chłostał... i Chrystusowi Panu bicz przystał bo on był Bogiem... Myśmy ludzie, nam jego pokora, łagodość, jego miłość i pobłażanie w spadku się dostały... Przekażal nam je w słowach Pawła świętego...

Ojcie mój — zaklinam was! nie unoście się. Klękniejcie na modlitwę raz jeszcze, proście Boga,

aby pokój zesłał na duszę waszą, idźcie z prawdą na ustach, ale z miłosierdziem w sercu... Grzesnym jest król, nie proszę was, abyście dlań mieli pobłażanie — błagam, abyście byli panem nad sobą... Królem jest...

— Dla mnie człowiekiem i grzesznikiem! odparł Baryczka.

Suchywilk ręce załamał.

— Wielbię, rzekł, święty zapal wasz i gorliwość — szanuję tę odwagę — lecz, nie sprawicie nią tego, co uczynić chcecie, oburzycie, nie nawrócicie go...

Powstanie ztąd walka, która zamiast zbliżyć nas do tronu, oddali od niego, przyniesiesz zgorzelenie...

Bądźcie jak Chrystus Pan surowi a miłosierdni, prawdomówni a litośni...

Baryczka poruszył się niecierpliwie.

— Mam to przekonanie, zawołał, iż święte posłannictwo spełniam, i że w takich godzinach posługi kościołowi, Bóg na niegodną czeladź swą zlewa z góry promień ducha świętego... On sam przezemnie mówić będzie. Gdybym rozumem mym ludzkim, ten głos boży w sobie tłumił a psował — byłbym grzesznym!! Modliłem się do ducha Świętego! To rzekłszy ks. Baryczka, pokłonił się, i nie chcąc już przedłużać sporu, z zakrystyi wyszedł.

Gdyby o takim stanie ducha, w jakim się

znajdował, powiedzieć można, iż upojeniem jest, możeby to najlepiej go malowało. W upojeniu posłannictwem tem, odziany w komżę i stulę, z krzyżem w ręku, sam jeden, blady, stanął ks. Baryczka w sali wielkiej, poprzedzającej izby króla.

Wiedział, że tu miał nieprzyjaciół, że mu może nawet przystępu do króla bronić będą. Od progu spotkały go wejrzenia urągliwe, dumne — złośliwe.

Nic go to nie obeszło.

Odwracano się od niego, nie chcąc widzieć Śmiało postąpił ku Dobkowi Bończy, który był najbliżej i na głos się odezwał.

— Oznajmijcie o mnie królowi. Przychodzę przysłany przez Biskupa, w poselstwie od niego.

Dobek ani żaden ze stojących w pobliżu, nie odpowiedział mu z razu... Zbyto go milczeniem. Powtórzył dobitniej i głośniejsze jeszcze toż samo.

Od niechcenia Przedbór Zadora, zdala rzucił za całą odpowiedź.

— Z królem się widzieć nie można.

— Zatem czekać tu będę, i nie poruszę się ztąd, aż godzina przyjdzie... — odparł Baryczka...

Nastąpiło milczenie.

Potrzeba było męztwa, aby wśród dworu młodzieży szyderskiej, wejrzeń pogardliwych, gwaru umyślnego, potracania, wytrwać na stanowisku.

Ściskając krzyż w dłoni, blady, mrużąc mroczną, Baryczka stał nieporuszony.

Ci, którzy sądzili, że się go pozbyć potrafią, widząc ten opór kamienny, zaczęli być niespokojni. Jawnem było już, że Baryczka nie odejdzie z własnej woli, a duchownego nikt się nie mógł ważyć za drzwi wyrzucić. Godzina upłynęła na takim oczekiwaniu.

Ludzie wchodzili i wychodzili z komnat królewskich, dworzanie mieniali się, przesuwały postacie obce, którym posłuchanie dawano, Baryczka czekał.

Ci, którzy śmiechem go przyjęli i lekceważeniem, patrzali nań z trwogą. Kochan wyglądał razy kilka i znikał. Naostatek obrachował to, że im dłużej go wytrzymają i więcej udręczą, tem więcej żółci się i gniewu w nim zbierze.

Po kilku innych, wskazano, nie mówiąc, drzwi ks. Baryczce... Wszedł do komnaty króla, a wchodząc, umyślnie za sobą zostawił otwarte podwoje, po za którymi ciekawy dwór natychmiast się zebrał i nacisnął.

Każmirz siedział u stołu — królewskie swe przybrawszy oblicze, nie to, jakie miewał, gdy rozmawiał z chłopami i żebrakami, i kumoszkami w ulicach Krakowa pozdrawiającym go, odpowiadał.

Ks. Baryczka ledwie głowę przed nim skłonił. Usta otworzył, chciał przemówić, i uczuł te-

raz dopiero, że gorączka oczekiwania, męczarnia, jaką znosił od wczora, wysuszyła mu język i usta. Musiał czekać chwilę, nim zdołał się odczekać.

— Jestem przysłany do Miłości Waszej — rzekł ponuro, przez Pasterza naszego, i w jego imieniu tu stawam, jego wolę głosząc.

Raz już Pasterz napominał Was, królu, o życia poprawę, o poszanowanie kościoła... słowa jego próżno przeszły... Owszem, mścić się jeszcze za nie ważono...

Nie przystało ojcu drugi raz dziecięcia napominać... Jam tu za niego, nie z namiętnością już, ale z groźbą...

Spojrzyjcie na życie swe... godnuli ono króla? Wszystkie prawa Boże pokruszyliście dla dogodzenia namiętności, kościołowi zabieracie miennie, napomina biskup, zemstę wywieracie na nim... Królowa wygnana...

Każmirz zmarszczył brwi groźnie, i znak dał ręką.

— Dosyć — zawołał — com od biskupa mógł cierpliwie wysłuchać, od ciebie...

— Kapłan jestem — odparł dumnie Baryczka.. poseł jestem... sługa Boży, musicie słuchać głosu mojego, a wzgardzicie nim, klątwę rzuci kościół...

— O klątwie słyszałem — odparł król obojętnie — widzicie, że się jej nie nłakłem...

Spojrzał na Baryczkę.

— Wy macie klątwy, z których Rzym roz-

wiazuje i rozgrzesza, rzekł, ale ja też mam siłę i moc królewską. Jesteście ziemianinem tej korony, ja sędzią.

— Nie nademną — wykrzyknął Baryczka — nie jestem królestwa tego podsądnym, pan mój w Rzymie, sąd mój przed biskupem... nie należę do Was, królu...

Blady, wstał król z siedzenia, udając obojętność, lecz ręce mu drgały i usta, oczy biegały po komnacie, jakby szukały kogo, co by go uwolnił od natręta.

Baryczka stał, czując, że nie przeszły wyrazy jego bez wrażenia...

— Mór i głód i straszne klęski padaly na to królestwo — poczał znowu — padną większe jeszcze, bo grzesznemu ludowi, którego pan jawno-grzesznikiem jest — nie przebaczy Bóg i miłosierdzia mieć nad nim nie będzie...

Potomka ci nie da on, zczecznie na tobie ród, rozsypie się państwo twoje... mury, które wznosisz, pójdą w gruzy, bogactwa, które gromadzisz, rozszarpia nieprzyjaciele, kamień na kamieniu nie pozostanie z Sodomy i Gomiory... bo wkrótce jednego sprawiedliwego nie będzie tu, gdy ten, co najsprawiedliwszym być winien, w grzechu się tarza.

Królu a panie, wołam do Ciebie głosem Bożym, popraw się... wyzywam Cię do upamiętania.

Każmirz w ciągu tego natchnionego wołania

stał u okna i patrzył w nie oczyma nieruchome-
mi. Widać tylko było niecierpliwe drganie, które
tamował. Postanowił nie odpowiadać więcej, i
raz odwróciwszy się od Baryczki, nawet już nań
nie spojrział.

Było w tem coś tak wzgardliwego, tak gro-
źnego, że ks. Marcinowi słowo na ustach zamarło...

Zmieszał się — umilkł.

Po za nim w otwartych drzwiach, zgromadzo-
ny dwór szeptał, burząc się. Słyszał, jak mówili:

— Precz go wyrzucić! precz!

Lecz nikt zbliżyć się i tknąć go nie śmiał.

Nastąpiła chwila milczenia.

Kochan do drzwi przyparty, z pięściami zaci-
śniętymi, rozjadły, wstrzymywał się całą siłą od
zuchwałego kroku w obec króla. Kilka razy chwy-
tał za mieczyk i rzucał go.

Tuż za nim Przedbor i Pakosław Zadory, jak-
by na rozkazy jego oczekujący, z tem sumem co
on uczuciem, spoglądali na nieustraszonego księ-
dza...

Starszyzna dworska, widząc ich tak oszala-
łych, szeptała wstrzymując i nie dopuszczając, aby
się na Baryczkę porwali...

On stał chwilę jeszcze...

— Spełniłem, co mi nakazano — odczuwał się
w końcu — pomnijcie, że klątwa wisi nad głową
waszą

Nie odwrócił się król, Baryczka zatrzymał się

oczekując słowa, gdy Kaźmirz bliżej jeszcze się ku oknu przysunął, i jakby coś w podworecu widział, co go najmocniej zaprzętało, cały się tam pochylił.

Ks. Marcin zawahał się nieco, potem krokiem śmiałym zawrócił do drzwi, i pomiędzy rozstępującemi się dworzany nazad do pierwszej izby wszedł...

Otarł się prawie o stojącego przy progu Kochana, który go za rękaw komży pochwycił.

— Com ci przyrzekł, to dotrzymam! rzucił mu w ucho. Zginiesz, klecho!

Baryczka nie zdawał się słyszeć groźby, modlił się, i powolnie nazad do zakrystji iść począł. Zdala za nim gawiedź ciekawa krocząc, przeprowadziła go aż do drzwi kościelnych, w których zniknął.

Wprost przed wielki ołtarz podszedłszy, kląkł się modlić.

Z niecierpliwością i niepokojem oczekiwał powrotu jego biskup. Dłuższy, niż się spodziewano, czas upłynął, nim się zjawił z twarzą posępną Baryczka.

Spojrzeni na siebie — Bodzanta czytał w jego twarzy...

Sił zabrakło mężnemu szermierzowi na opowiedzenie smutnej wyprawy swojej, wyczerpały się one bezsennością, modlitwą, samem tem wy-

stąpieniem bohaterskiem, odepchniętem wzgardą milczącą.

Bodzanta, widząc go drżącym i osłabłym, sam mu przyniósł kubek wina i zmusił, aby w nim umoczył usta.

Ten rozogniony niedawno, gotów na męczeństwo kapłan, lży miał na oczach teraz i drżał znękany. Zdało mu się niepojętem to, co go spotkało. Był pewien tej siły, o którą się modlił, i pewien skutku — niemoc własna przyprowadzała go do rozpacz, upokarzała.

Nie mógł jej inaczej sobie tłumaczyć, tylko tem, że niegodzien był łaski Bożej, o którą się modlił, aby nań spłynęła.

Bodzanta gniewnym był, oburzał się.

— Nie lęka się kłatwy król, zawołał — więc mnie do rzuceń jej zmusi! Nie ulękę się i ja jej skutków... Stanie się, co Bóg przeznaczył — inie Jęgo niech będzie błogosławione...

Smutnie głowę zwiesił na piersi.

Pozostawała ta jedna ostateczna broń... Wojna była wypowiedziana, zgoda bez upokorzenia niepodobną. A jednak, choć gotowym się opowiadał do użycia oręża tego Bodzanta, wahał się jeszcze...

Baryczka lży ocierał...

Na biskupstwie milczenie było, znękanie, nieokreślona jakaś obawa jutra i niepewność. Stał

Pasterz na skraju, nad ostatecznością doniosłości największej, przed którą się cofnąć nie mógł.

Przerażała go ona...

W ostatnich czasach rzadsze coraz stawały się klątwy i interdykty, w samym Rzymie nie pochwalano pośpicchu, nie doradzano ich, widząc, że wielka siła tego duchownego oręża osłabła znacznie.

Każmirz miał u stolicy apostolskiej jeśli nie takie zachowanie co ojciec, to poszanowanie pewne i obrońców. Sam Arcybiskup¹ Gnieźnieński był z nim i musiał stanąć w jego obronie.

Gotowała się więc dla biskupa Bodzanty ciężka do spełnienia ostateczność, brzemienna nieobrachowaniami następstwa. On sam, kościół, wierzący cierpieć nieśli, królestwo narażone być mogło, nieprzyjaciół korzystać z osłabienia władzy króla...

Lecz cofnąć się nie czas było...

Król nie odwrócił głowy ku wychodzącemu Baryczce, nie spojrzał nań, nie odpowiedział nie, lecz gdy po chodzie i ruchach, domyślił się zbliżającego Kochana — będąc pewien, że ksiądz odejść musiał. — Spojrzał nań — Rawa widokiem twarzy, nagle zwróconej ku sobie, przeraził się i zadrżał. Rzadko Kaźmirza szlachetne rysy, którym wiek dał już marmurowy spokój i majestat, tak sił-

nie odbijały, co się w dnszy jego działo. Królewski knuszt zamykania uczuć we wnętrzu, aby świat im ani się dziwić, ni cieszyć, ani mógł uragać, posiadał Kaźmirz w wysokim stopniu. Rzadkie godziny swobody w małym kółku dawały poznać, co cierpiał i czego doznawał. Nawet ten nieprzewyciężony smutek groźnego przeczucia, iż bezpotomnym być ma, i z rodu ostatnim, umiał król zamykać w sobie. Wylewał się z nim tylko przed najbliższemi...

W tej chwili poruszonym był tak silnie, obrażonym tak boleśnie, iż zapomniał o godności swej, a wiedział może, iż nikt obcy go nie zobaczy, i nie zdradzi.

Kochan, którego postawa i oblicze kipiały jeszcze uniesieniem gniewu, zamienił z nim wejrzenie tylko — król mniej niż zwykle pewnym krokiem poszedł ku siedzeniu swemu przy stole, padł na nie i spart się na rękę.

Zwolna przychodził do siebie.

Kochan stał przed nim, jakby na rozkazy oczekiwał, nie śmiał się odezwać — król oczyma błędnemi, długo wodził po komnacie — drgnął, jakby ciężar z ramion chciał zrzucić — ruszył się, jakby wstać miał, siadł znowu i zapytał o Suchywilka głosem cichym.

Nie było go na Wawelu. Kochan spytał, czy po niego ma posłać, Kaźmirz zaprzeczył ruchem głowy. Po chwili rzucił pytanie, czy nań kto cze-

kał, powiedziano mn o kilku przybyłych. Kazał podać wody i wina; otarł twarz i począł się po izbie przechadzać.

Ułbieniec nie śmiał mówić o tem, co się stało, a czego z innymi razem był widzem i słuchaczem. Wyszedł.

Równie z nim cały dwór przerażony był i rozjątrzony. Pobożniejsi lękali się następstwa, znając Bodzantę i Baryczkę, znaczniejsza część wrzała gniewem i zemstą. Nikt odgadnąć nie umiał, jakie było usposobienie królewskie, jeden Kochan, czytający najlepiej w jego twarzy, znalazł w niej rzadko bardzo objawiającą się obrazę ciężką, i pragnienie odwetu. Myśl tę, czyby był odgadnął lub nie, Rawa od pierwszej chwili miał najmocniejsze postanowienie pomśzczenia się za króla. To, co powiedział Baryczce na weselu, co mu powtórzył u drzwi, poprzysiągł spełnić.

Rady w tem niczyjej zasięgać nie myślał — słuchał wewnętrznego oburzenia tylko.

— Klecha musi zginąć, powtarzał sobie, ażeby drudzy króla się szanować nanczyli.

Miłość dla króla zaślepiała go tak, że następstw tego kroku, który zamierzał — nie rachował.

Wyszedłszy z komnaty, do której natychmiast wpuszczono oczekujących, bo król już był odzy-skał krew zimną i ze zwykłą łagodnością i śnieniem przyjmował, poczynając od najbiedniejszych,

co było we zwyczaju przy posłuchaniach, Kochan pobiegł do siebie.

Przedbor i Pakosław Zadorowie, powolni słudzy jego, bez których on obejść się nie mógł, pospieszyli za nim. Szedł zadumany Dobek Bończa, już powszechnie znany pod przezwiskiem świeżo zdobytym Fredry.

Mieszkanie ulubieńca królewskiego na zamku, acz szczupłe, bo ze trzech tylko izdebek niewielkich się składające, tak było wytwornięto urządzone, jak on sam, do zbytku i okazałości przywykły.

W mniejszych rozmiarach znajdowało się tu wszystko, co w owych czasach najmożliwszych przyozdabiało mieszkania. Sam król, znający upodobania ulubieńca, mnodzy przyjaciele i ci, którzy łaski jego potrzebowali, obsypywali go kosztownymi podarunkami. Niejedną osobliwość miał od przyjacielskiego mn Wierzyuka. Sam on też, zamiast pieniędzy zbierać i oszczędzać, chętnie błyszczące i wabiące oczy rzeczy kupował.

Izba główna i sypialnia pełne ich były. Lubował się w tem Rawa równie, jak w bogatym stroju. Ściany węc okrywały szpalery tkane i szyte, a na policach stały do koła naczynia najprzedziwniejszej roboty, z kości, srebra, złota, gliny i szkła weneckiego. Jedna ściana cała była zawieszona bronią najpiękniejszą, łukami i sahajdakami, szytami złotem i perłami, tarczami z kruszeu, mieczami, których ciężkie, szerokie pasy

często od tego, co na nich zawieszano, kosztowniejszemi były. Stół w pośrodku, cały osłonięty kobiercem, zastawiony był niemniej pięknym doborem złotniczych wyrobów.

Słowem, przepych panował tu największy, a cytra na wezgłowie rzucona przy siedzeniu, domyślać się kazała, że Kochan niekiedy się i muzyką zabawiał.

W istocie, cytarzysta ulubiony królowej węgierskiej Elżbiety, która była miłośniczką muzyki i grajków z sobą wszędzie woziła, uczył Kochana do śpiewu sobie brzdąkaniem towarzyszyć. Kochan nie miał ani czasu, ani zdolności do muzyki, lecz zabawiał się nią w rzadkich chwilach spoczynku.

Gdy pospiesznie za nim nadążywszy tu, dwaj Zadorowie i Dobek, znaleźli się w małej izbie sklepionej, a Kochan się ku nim zwrócił, usiłując wyczytać z twarzy, jakie na nich zuchwaństwo Baryczki uczyniło wrażenie, znalazł ich wszystkich w takim, jak sam był usposobieniu.

Tylko Dobek Fredro, który się nigdy nazbyt nie wydawał z tem co czuł i miał począć, stał na pozór chłodny. Lecz wiadano, co ten jego chłód oznaczał. Zadorowie, nie nawykli pierwsiego głosu zabierać, drżeli, oczekując, co Kochan powie.

— Klecha na siebie wydał wyrok — ozwał się po chwili Rawa. Gdyby mu to uszło bezkarne, dalej król bezpiecznymby już nie był. Będą

go po kościołach bezcześcić i na ulicach wytykać palcami.

Zamilkł nieco Rawa.

— Kto mi dotrzymać słowa pomoże, i klechę sprzątnąć — dodał, pewnym być może królewskiej łaski, a mojej wdzięczności.

Napaść go i zabić — dla niego byłoby może pożądaniem, nie dla nas, powinien zginąć bez rozgłosu i nikczemnie...

Dobek słuchał, w boki się wzięwszy, patrząc z góry na Kochana, Zadorowie spoglądali na siebie, jakby naradzając się z sobą. Mówili zazwyczaj mało.

Wtem Fredro, wytrzymawszy chwilę, mruknął.

— Zła rada twoja, Kochanie. Ty wiesz, że ja nie pochlebiam nikomu, ani królowi, ani tobie. Powiem ci wręcz, zła rada.

Księdza sprzątnąć, łatwa rzecz, ale co z tego? Oni tego pożądają, na króla to zrzucą, zbójem go uczynią i wyklną. Kto wie! on się może na to poświęcił.

Ja króla bardzo miłuję, niemniej od ciebie, gdyby mu co groziło, życiebym zań dał i ubić się pozwolił, ale takiej zemsty na mizernym klesze nie radzę i do niej ręki nie przyłożę.

Oni tego chcą, on po to szedł, aby go męczennikiem uczyniono, król nim pogardził — masz skazówkę. Obrócił się do okna, zmilczał. Nie rzekł słowa.

— Ja króla lepiej znam, nikt go, tak jak ja, nie zna! zawołał Kochan obrażony — jemu nie przystało nie innego nad wzgardę, nasza powinność inna!! Ja wiem, co wiem.

Nie chcecie wy być z nami, obejdziemy się bez was.

Dobek kołpaczka na głowie poprawił, usta ściągnął.

— Właśniem chciał ci to powiedzieć, ażebyś się bezemnie obszedł — rzekł, ale dokończę dobrą radą; daj klesze żyć i nie porywaj się na niego...

Zdrów bywaj.

I Dobek z tą swą dumą spokojną, jaką mu dawała pięść i dusza silna, obejrzawszy się po izbie, zaświstał coś i wyszedł.

Zadorowie pozostawszy z Kochanem, zbliżyli się do niego. Tych on tak pewnym był, iż spełnią co każe i poleci, jak samego siebie. Gniew też jego podzielali...

Zaczęła się cicha we trzech narada, która dłużej trwała. To, co mściwi dworzanie zamierzali, nie było do wykonania zbyt łatwem, księdza napaść a choćby zarąbać, czy idącego z Wikarji na biskupstwo, czy powracającego nocą z jednym chłopcem i latarką, było łatwo, ale Kochan inaczej się go chciał pozbyć.

Uchwalono więc naprzód nie spieszyć z wykonaniem, aby zemsta doraźna nazbyt widoczną

nie była, potem starać się księdza sprzątnąć tak, aby tego mściwego wyroku spełnienie pozostało na wieki tajemnicą.

Kochan dopuszczał, że go o to będą posądzać, nie mu to nie wadziło, lecz nie chciał, by mu dowiedziono morderstwa.

Pogróżki jawne były przeciw niemu — tem się gotów był chlubić, zabójcą wytykanym być nie chciał, bo — duchowieństwo też ścigać go mogło.

W ciemnościach i tajemnicy miała się dokonać zbrodnia.

Gdy po więcej niż godzinnej naradzie Zadorowie wyszli od Kochana z pomarszczonemi twarzami i zagryzionemi wargami, poznać było można, iż ich nie lada brzemie gniotło. Pobrali zaraz kożuchy i szli oba na miasto, każdy w swoją stronę.

Ze dworu wiadomość o rannem wystąpieniu Baryczki wkrótce się na miasto przeniosła. Wierzynek zawsze najprędzej bywał uwiadomiony o tem, co się działo na Wawelu. Chciał natychmiast do króla pospieszyć z prośbą i radą, ażeby cierpliwym był, lecz nim się wybrał, doniesiono mu, iż Kaźmirz wyjechał na łowy.

Rozmowa więc odłożoną być musiała.

Ks. Baryczka, o którego wielkiej odwadze tegoż dnia po wszystkich klasztorach i probostwach szeroko rozpowiadano, bądź co bądź,

u znaczniejszej duchowieństwa części, znalazł pokłask i uznanie.

Ci nawet, co najmniejby go byli mogli naśladować, wynosili to męztwo pod niebiosa. Wychwalano biskupa Bodzantę, który go wysłał, rozprawiano szeroko nad tem, co król pocznie.

Odgadnąć tego nie umiał nikt. Znano go z pobożności przystojnej, ale umiarkowanej bardzo. Kościołów i klasztorów nie obdarzał tak szczerze, jak poprzednicy; zakładał ich mało. Wprawdzie świeżołożył na prędkie zbudowanie expiacyjnej świątyni Bożego Ciała — lecz wiadano, iż z Bogorją dobrami duchowieństwa frymarczył, i przypisywano mu zamiary oswobodzenia się od zbytnej duchowieństwa przewagi. Nie opuszczał nabożeństw, lecz nie trwał na nich długo, w pobożności jego gorącości i przejęcia się nią nie było.

W ogóle też zbytnej miłości u duchowieństwa nie miał, które śmiały krok Bodzanty i Baryczki witało, jako skuteczne usiłowanie przywrócenia dawnego stanu, dawnej powagi biskupiej, na równi z królewską stojącej. Bohaterem dnia stawał się ks. Baryczka, a że w istocie mężem był pobożnym, czystym i prawym, choć zbyt gwałtownego temperamentu, podnoszono go jako wyznawcę, jako już niemal męczennika za przekonania swoje.

Ażeby król, albo ci, co go otaczali, mścić się mogli na nim, nikt tego nie przypuszczał.

Oczekiwano zwycięstwa...

Po krótkim spoczynku w dworcu biskupim, Baryczka udał się do mieszkania swojego w domu wikariuszów.

Tu on szczupłych dwie celek zajmował.

Człowiek się zawsze maluje w gnieździe swoim, choćby je nie sam zbudował. Życie wyciska się na tem wszystkiem, co mu posługuje za narzędzie i podkłady.

Dwie cele ks. Baryczki były tego najlepszym dowodem. Nieopalone nigdy, ciasne, zaniedbane, nawet tych węgli żarzących, któremi inne, pozabawione jeszcze pieców i kominów mieszkania, bo te dopiero w możniejszych domostwach zaprowadzono, nie widywały nigdy.

Ks. Marcin prowadził życie umartwień umysłowych a nielitościwych. W pierwszej izdebce mieszkał ubogi chłopak, który mu wieczorem nosił latarkę i towarzyszył, gdy wychodził — w drugiej tapczan, licho i twardo zasłany, klęcznik, dyscyplina z drucianemi haczkami na ścianie, krucyfiks prosty, nieco książek, odzież na kołkach, składały całe mienie. Licha skrzynka niezamknięta, mieściła bieliznę i pomniejsze mienie. Syn zamożnego dosyć rodu, raz wdziawszy suknię kapłańską, dobrowolnie się stał ubogim. Co miał, dzielił z biednemi, dla siebie zostawiał tyl-

ko tyle, by mógł życie utrzymać. Żadnych wygod nie potrzebował.

Modlitwa, posty, biczowanie, nieustanne posługi duchowne, w których drugich wyręczał — utrzymywały go w stanie podniecenia duchowego, w rodzaju ascetycznej gorączki, z której nie ostygał nigdy. Nie czuł więc nawet umartwień, na które się skazywał, bo stan taki rodzaj anestezji sprowadza.

Zimno, głód, wyczerpanie, często dopiero wówczas dawały mu się uczuć, gdy na pół omdlały już upadał.

Surowy dla siebie, nie był też pobłażającym dla drugich — karmił, strofował, obchodził się z ludźmi bez litości, i ci nawet, co go szanowali, zdumiewali się, musieli być wdzięcznymi, — kochać go nie mogli. Zdawał się odstręczać umyślnie od siebie, aby mu miłość ludzka nie wynagradzała tego, za co chciał mieć w niebie zapłatę.

Jest to pewnikiem, iż najłagodniejsi ludzie, często przez samolubstwo świata się wdzięczą, aby uniknąć prześladowania i powolnością spokój sobie zakupić.

Ks. Baryczka postępował przeciwnie; ostrym i szorstkim był, aby go nie oszczędzano.

Widziano już w nim natenczas męża przeznaczonego do zajęcia najwyższych stanowisk w kościele, którego praw mógł być nieuleknionym obrońcą.

Wyjechał król na łowy... Przez dni kilka mówiono wiele o poselstwie Bodzanty do Kaźmirza, domysłając się różnie jego skutków. Ode dworu nie a nie słyszeć nie było.

Kłątwa, zawieszona nad głową króla, zdała się do czasu odwleczoną... Biskup Bodzanta w postanowieniu trwał, ale z wykonaniem go nie spieszył.

Ks. Baryczka, jak przed spełnieniem swojego poselstwa niespokojnym był, wyzywającym, niecierpliwym, tak po niem stał się dziwnie pokornym i milczącym.

Pobożność kazała mu po dokonaniu czynu, który on sam za wielki uważał i w życiu stanowił, nie chlubić się nim. Pan Bóg, wedle jego przekonania, skarał zarozumiałość, z jaką rzucił się na króla, odmawiając jej skutku. Włożył całą swą siłą i duszę w wysiłek — nadaremny.

Karcił się więc sam za zbytne nadzieje.

Życie jego szło trybem dawnym, niezmiennym, ustały tylko zbyt częste wprzód odwiedziny biskupiego dworu. Siedział w kościele, modlił się, spełniał swe obowiązki duchowne.

Ubogie chłopię, sierotka, z ulicy wzięty Janczyk, posługujący mu, który jak psiak w oczy mu patrzył i z oczów wypatrywał wszystko instynktem przywiązanych zwierzątek — powiadał często, iż ksiądz jego smutny był, że się biczował

dłużej, klęczał w nocy na podłodze zimnej i na modlitwie płakał.

Szpiegiem domowym był ten Janczyk, ale z dobrego serca, bo bał się równie ks. Baryczki jak kochał go. Wszystko też był winien jemu, począwszy od ciepłej odzieży i obóvia, aż do pożywienia, którem ksiądz, poszczący ustawicznie, z nim się dzielił. Janczyk, który wprzód z garnuszkiem od drzwi do drzwi chadzał, jak to było w obyczaju w Krakowie młodzieży, która do szkoły P. Maryi uczęszczała, nie mając żyć z czego; — teraz rumiano wyglądał, pyzato i rósł szybko.

Przywiązany też był do dobrodzieja swojego nad wyraz wszelki i żył tylko w nim.

Nadchodziła wigilia św. Łucyi. Ks. Baryczka ze mszą świętą zaproszonym był do Franciszkanów, a że modlitwy zawsze długie poprzedzały świętą ofiarę, którą rano bardzo miał odprawiać, wybrał się z domu o mroku jeszcze, a chłopcu za sobą iść nie kazał.

Zazwyczaj powracał na obiad wspólny z innymi kapłanami, na wikaryi z nim mieszkającymi, czekano go napróżno dnia tego, i domyślając się, że mógł u Franciszkanów pozostać, siedli inni do stołu, Janczykowi tylko kazawszy z kuchni jego porcyę wydzielić. Po południu nie było ks. Baryczki.

Gdy wieczór miał nadchodzić, Janczyk, wszystko co było potrzeba, przygotował, spodziewając

się pana z powrotem łąda chwilę. Nigdy się ks. Marcin nie spóźniał zbyt, bo codzień mszę św. odprawiając, wedle przepisów, przed północą, zasypiał, a długie wprzód odmawiał modlitwy.

Spóźnił się tego dnia bardzo, ogarek się dopalał. Janczyk coraz niespokojniejszym być zaczynał. Miarkował, jak inni, nawykli obchodzić się bez zegarów, iż godzina była północy bliska, a opóźnienie bezprzykładne.

Na łąda szelest w domu wybiegał z ogarkiem do sieni, przysłuchiwał się. Wszyscy księża z dawna już byli popowracali, ks. Baryczki nie było. Janczyk modlił się już ze strachu. Wypadek był tak nadzwyczajny, iż chłopiec ku północy, nie mogąc wytrzymać, zapukał do drzwi sąsiednich, do ks. kanonika Andrasza, który za zwyczaj do późna się nad księgami zasiadywał.

Ks. Andrasz był średniego wieku człek, wesołego usposobienia, umysłu swobodnego, lecz z chłopcami udawał zawsze surowego, łąjał i gderał, śmiejąc się razem. Nieobawiano się go najmniej i Janczyk poufalszym z nim był, niż z innymi, choć go za czuprynę i uszy targał.

Grubym głosem, gderliwym, ozwał się czuwający jeszcze ks. Andrasz, łąjąc już zawczasu, choć jeszcze nie było za co...

Janczyk wszedł.

— Czego się ty po nocy włóczysz, jak mara? Słów tych ledwie dokończywszy, ks. Andrasz

postrzegł taki wyraz dziecinnego przerażenia na chłopcu, i dodał, zbliżając się pospiesznie.

— Na rany pańskie! Co się stało?!

— Ks. Baryczki nie ma — nie powrócił.

— Nie powrócił!! — powtórzył kanonik — a gdzież był?

— U Franciszkanów ze mszą.

— A potem?

Janczyk płaczący poruszył ramionami — nie wiedział.

Zadumał się ks. Andrasz, lecz że nie zwykł był nic brać bardzo tragicznie — rzekł ustami przekręcając...

— Biskup pewnie mu robotę dał pilną, albo — ja tam nie wiem co. Już z północy być mnsi, kiedy go nie ma, to go nie będzie. Idź spać, o pacierzu nie zapominając, światło zagaś, drzwi pozamykaj... Jużci mu się nie stać nie mogło.

Tak chłopaka uspokoił ks. Andrasz, ale sam zadumał się głęboko. Trwało to tylko chwilę, póki natura i obyczaj góry nie wzięły. Spokojny i na wszystko zawsze zrezygnowany ks. Andrasz, powiedział sobie, iż złego nic nie było — a jutro wszystko wyjaśni.

Z tem począł krótką modlitwę i spać się położył.

Janczyk dopiero zasnął nadedniem. Ks. Baryczki ani od niego wieści i o świecie nie było.

Przebudziwszy, się ks. Andrasz przypomniał

sobie, co wczoraj zaszło, zajrzał do Janczyka, dowiedział się, iż ks. Marcin nie wrócił dotąd, i wybrał z ciekawością wielką śledzić, co się też z Baryczką stało.

Zaszedł naprzód do Franciszkanów. Tu, na zapytanie o wczorajszą mszę ks. Baryczki, Gwardjan mu odpowiedział z wielką żywością, że go ze mszą czekano wczoraj napróżno, ornat i ampułki w zakrystyi były gotowe... ale nie wiadomo dla czego zawód im uczynił, a nie trafiło się to mu nigdy — i choćby chorym się czuł, przecieźby chłopca mógł przysłać o tem dać wiedzieć zawczasu...

— Ale on chory nie jest, bo go od wczoraj rana w domu nie ma. Ot co! zawołał zaczynający brać do serca sprawę tę ks. Andrasz. Strach ogarnął obu księży.

Kanonik przyspieszonym krokiem pobiegł do biskupa. Sądził, że tu może jeśli nie ks. Baryczkę, to języka o nim dostanie.

Kapelan, którego w progu spotkał, na zapytanie odparł, że Biskup właśnie posłał po ks. Marcina, bo przez cały dzień przeszły nie widziano go tu...

Oba poszli do ks. Bodzanty...

Wypadek się wydawał już zagadkowym i groźnym. Biskup ręce załamał.

— Jezu! Marjo! — zawołał — miałżeby on paść ofiarą? ale nie, to być nie może.

Popłoch wielki stał się na biskupstwie, rozszło natychmiast na wszystkie strony... ks. Andrasz powrócił na Wikarję. Tu Janczyk tylko sam modlił się a płakał.

Niektórzy księży wpadali już na myśl, iż zbrodnia mściwą ręką popełnioną być mogła.

Po całym mieście rozniosła się w prędkie wieść o zniknięciu ks. Baryczki. Chociaż od wystąpienia jego do króla czas jakiś upłynął, i nie było najmniejszej poszlaki, aby dwór chciał się mścić na pośle biskupim, jednakże domysły różne i przypuszczenia rosły jak grzyby...

Śledzono najpilniej, czy się dnia tego nie pokazał gdziekolwiek. Wiadomo było, że bardzo rano wyszedł z domu na mszę do Franciszkanów, jeden z firtelników utrzymywał, że spotkał go w ulicy zmierzającego ku klasztorowi. Tu wcale go nie było... W tej porze dnia, w lutym, mało się co jeszcze w mieście poruszać zwykło, przechodniów bywa mało, i trochę życia tylko w pośrodku miasta i na głównych, do targów wiodących drogach, czuć się daje... Ranek był zimny, mroźny i mglisty... Szron okrywał drzewa, ale mróz nie zelżał, wzrósł jeszcze.

Na śniegu wśród miasta śladów szukać nie było sposobu.

Cały dzień upłynął w oczekiwaniu, w nadziei że ks. Baryczka mógł w drodze być pochwycony do chorego. Znało jego gorliwość, że w razie

gdy o duszę, o nawracanie, o ocalenie człowieka chodziło, chętną z siebie robił ofiarę. Spodziewano się więc jeszcze, że się zjawić może.

Biskup Bodzanta szczególniejszy okazywał niepokój wielki, i on pierwszy począł posądzać dwór o zemstę wywartą na ks. Baryczce...

Trzeciego dnia zaszła okoliczność, dająca wiele do myślenia. Chłop z Zagiewnik, jadący bardzo rano na targ z drobiem do Krakowa, rozpowiadać miał, jakoby w wigilię Ś. Lucji, przebywając Wisłą po łodzie, świadkiem był wypadku, który go wielkim nabawił strachem.

Niepostrzeżony, widział jakoby kilku ludzi, których ani twarzy, ani ubioru we mroku rozpoznać dobrze nie mógł, wlokących człowieka nie opierającego się im ku Wiśle... Tego oni w przygotowany już wór ogromny zawiązawszy, w oczach jego w przerebłę pod łód wrzucić mieli i sami natychmiast uciekli.

Posłano po włościanina do Łagiewnik i sprowadzono go na dworzec biskupi. Pod przysięgą zeznawał przed pasterzem, iż w istocie patrzył na to własnymi oczyma. Mówił, że ów utopiony złożone miał ręce jak do modlitwy, nie krzyczał, ani się wyrывał i że ubrany był czarno. Godzina i dzień dozwalały przypuszczać, iż mógł to być ks. Baryczka, lecz — pewności nie było. Rzeka zamarzła była jeszcze i ciała poszukiwać niepo-

dobieństwo, a do wiosny wody by je daleko uniosły.

Pomimo, iż przypuszczenie tylko dozwalało wnosić — że morderstwo popełnione zostało — po mieście mówiono już z pewnością, że ks. Baryczka został utopiony.

Po mrozie na św. Łucyę nastąpiła nagle odwilż gwałtowna, spadł deszcz, powietrze się nadzwyczaj ociepliło i przedwcześnie, nadspodziewanie, lody puszczają się, łamać, kra płynąć poczęła.

Prawdziwym cudem ludzie około brzegów rzeki mający coś do czynienia, postrzegli wór spływający po wodzie. Spodziewali się w nim zdobyczy jakiegś, bo go z niebezpieczeństwem życia, drogami i hakami pochwycili i na brzeg wyciągnęli.

W gorze tym, ze złożonemi jeszcze do modlitwy rękami, z twarzą spokojną i wyrazem ubłogosławionym jaśniejącą, leżały zwłoki ks. Baryczki.

Poznał je zaraz ktoś z gromady ciekawych, stojących u brzegu, a że trup wcale nie był w wodzie nadwerężony i zachował postać swą dziwnie poważną a piękną — krzyknięto na cud, poklękali ludzie, dano znać do Biskupa.

Niewysłowne poruszenie umysłów objawiło się w mieście. Biegli wszyscy oglądać zwłoki męczennika, cisnęli się, płakali, klękali, okrzyki zgrozy i oburzenia dawały się słyszeć w tłumach.

Odebrawszy o tem wiadomość, biskup natychmiast sam z duchowieństwem, rozkazawszy krzyż przed sobą nieść i chorągwie żałobne, a po kościołach we dzwony uderzyć — udał się nad brzeg rzeki, trumnę z kościoła, służącą do odprawiania ekzekwii, wzięto, dla złożenia w niej zwłok, Duchowieństwo ze wszystkich klasztorów, z kościołów, powychodziło też z chorągwiami i niemal cała ludność zbiegła się oglądać trupa ks. Baryczki.

Gdy go z woru, w którym był zawiązany, wyjęto, nie uszedł i on baczności ludzi, bo szukano poszlaki jakiejś, ażeby sprawców dośledzić. Worek był z prostego płótna grubego jak inne, do sypania zboża używane, niepomieranie tylko wielki i może naumyślnie ze dwu uszyty.

Okolo zwłok znaleziono sznur i pasek, który jeden mógł na ślad jakiś naprowadzić. Był on rzemienny, z klamrą żelazną, a podobnych właśnie czeladź zamkowa używała.

Nie ona jednak sama nosiła je — posądzenie tylko urosło....

Przeprowadzenie uroczyste zwłok do kościoła nabożeństwo, kazanie, które młody duchowny do ludu miał, wszystko to razem umysły niezmiernie rozgorączkowało — przejęło wszystkich grozą, usposobiło do skrucy i pokuty.

Ze dworu i otoczenia króla, co zauważano, nikt się nie pokazał w kościele, ani na pogrzebie,

ani nawet w ulicach. Głośno więc już powiadać zaczęto, że zabójstwo nie czyją inną było sprawą, tylko królewskich służalców, i dopełnione z rozkazu jego.

Biskup we łzach powróciwszy od ciała, które przez dni kilka rozkazał w kościele wystawić, aby widok jego tem mocniej ludzi poruszył i przeciw królowi usposobił, już stanowczo mówił, że kłątwe rzuci.

Lecz dowodu, kto i z czyjego rozkazu popełnił zbrodnię, nie było... *For populi*, prawnicze argumenty jurystów *is fecit cui prodest* i t. p. nie starczyły na potępienie prostego winowajcy, cóż dopiero króla.

W ciągu dni kilku, gdy zwłoki ks. Baryczka na widok publiczny wystawione były, a głoszone już, że cuda się przy nich działy, że światłość je nocami otaczała, że całe niezepsute trwały i wydawały woń przedziwną — lud coraz więcej grozą się przejmował i na duchu podnosił...

Zastarzali grzesznicy biegli do spowiedzi, nawracali się bezbożni... — trwoga przychodziła jak na wszystkich.

W domu Świniagłowy, w którym Baryczka bywał często, stary Kuba, mimowolny świadek rozmowy Kochana czasu wesela z ks. Marcinem, głośno zaczął opowiadać, iż na uszy swe słyszał, jak mu Rawa śmiercią groził.

Nie mógł więc tego dokonać nikt inny, tylko on.

Tak, obok imienia króla stanęło zaraz ulubienca jego imię, jako posłusznego narzędzia.

U ludu tworzyła się z domysłów legenda, mająca wszystkie prawdopodobieństwa cechy — przyjęte za prawdę — lecz niedowiedzione niczem.

Ks. Suchywilk widząc, jaką ona królowi krzywdę czyniła i jaką płamę nań rzucała, przekonany, iż Kaźmirz ani mógł, ani myślał podobnego wydawać rozkazu, zapytał króla i zaklął o wyjaśnienie mu prawdy.

Uroczyście król mu zapewnił, że w zbrodni tej żadnego nie miał udziału.

Ks. Jan poszedł z tem poprzysiężonem zapewnieniem do Biskupa, lecz ten ani chciał słuchać nawet, a krok uczyniony wziął jako oznakę niepokoju i zakłóconego sumienia. Dla niego był to owszem dowód jeden więcej, iż do winy zbrodni tej dwór się poczuwał.

Gdy dnia ostatniego ciało męczennika w kościele było wystawione jeszcze, a matka, która przyszła z chorem dziecięciem, przez dotknięcie zwłok cudownej doznała pomocy, — powszechny już głos obwołał świętym Baryczkę. W tej samej chwili człek odarty dość, z włosem rozczochranym, z twarzą przerażoną, oczyma obłąkanemi, wpadł do zakrystyi i żądał gwałtownie spowiedzi. Chciano go do jutra odłożyć i zbyć się, lecz począł na kolanach błagać, bić się w piersi, wołać, że jest grzesznikiem wielkim, i jeden z ducho-

wnych ulitowawszy się, wziął stulę i siadł z nim do konfessyonału.

Chwila zaledwie upłynęła, gdy i on powstał, i spowiadający się z nim, we łzach cały, szedł do dworca Biskupiego.

Był to stajenny parobek zamkowy, Wargą zwany, z powodu, iż miał rozciętą wargę spodnią od dzieciństwa. Ten, do skruchy pobudzony, na kolana przed biskupem padłszy, zeznał, iż topiącym ks. Baryczkę był pomocą, nazwał po imionach dwóch Zadorów i dodał, że wprzód ich widział z Kochanem się naradzających.

Zeznanie to spisano zaraz przy świadkach, a że nieostrożnie w pierwszej chwili mnóstwo się osób nacisnęło za księdzem i Wargą, w jednej chwili miasto całe wiedziało, że sprawcy zbrodni odkryci byli.

Głoszono tedy z pewnością już największą, iż król sam wydał rozkaz Kochanowi, aby uto-
piono Baryczkę, że Zadorowie spełnili jego polecenie.

Na zamku przez te wszystkie dni niepokój był wielki.

Król domyślał się sam i posądzał, że Kochan przez przywiązanie do niego mógł się ważyć na tę pomstę, nie pytał go jednak — nie chciał wiedzieć o tem.

Rawa chodził zmieniony i niespokojny, tak, że po nim poznać było można obawę i niepe-

wność o przyszłość. Królowi jednak nie mówił nie — unikał nawet doniesień wszelkich o ks. Baryczce.

W dniu, gdy chowano zwłoki, oba Zadorowie znikli, jakby przeczuwając, że Warga ich zdradzi. Było to poszlaką wielką.

Wieczorem ks. Suchywilk pośpieszył z miasta i mimo spóźnionej godziny, domagał się widzenia z królem. Kochan niespokojny poprowadził go i sam przy drzwiach pozostał.

— Miłościwy panie — odezwał się ks. Jan wchodząc — ze złą wieścią i sercem zranionem przychodzę. Jeden z tych, którzy się morderstwa dopuścili, skrnchą tknięty, wyznał wszystko.

Spojrzał na Kochana.

Ten stał blady ale mężny, podniósł głowę — czekał.

— Przedbor i Pakosław Zadorowie są obwinieni — dodał ks. Suchywilk, a parobek Warga, który im miał pomagać, oskarża i Rawę, że go z niemi przedtem na naradzie widział.

Ztąd posądzenie na was, miłościwy panie.... Biskup gotuje się rzucić klątwę, nie go już od niej nie strzyma.

Król słuchał dosyć spokojnie, przy stole stojąc na wpół już rozdziały, bo miał iść na spoczynek. Rzucił okiem na Rawę, który milczał.

— Lepiejby było, ażeby klątwa biskupia Was tu, miłościwy panie, w Krakowie nie zastała.

Jedźcie do Poznania lub Gniezna, do wuja mojego, tymczasem.

Król skinął głową i przerwał krótko.

— Dziś? jutro?

— Z rana jedźcie, rzekł Suchywilk.

— Wy ze mną? — dodał król, pytając i prosząc razem.

— Jadę — odparł ks. Jan.

Kochan milczał, nieustępując.

Każmirz się zwrócił ku niemu.

— Rozkaż natychmiast, aby się gotowano do podróży...

Była to odprawa dana ulubieńcowi, który wyjść musiał.

Gdy się oddalił, królowi jakby ciężar spadł z serca.

— Nie darmo przysłowie powiada, że Boga prosić trzeba, by nas od przyjaciół bronił, a od wrogów człowiek sam łatwiej się uchroni. Kochan uczynił to z miłości ku mnie, pewien jestem, innej nie miał pobudki, i oto ja... brzemię tego występku dźwigać będę musiał.

Westchnął.

— Wicie — dodał łagodnie — iż krwi chciwym nie byłem i nie jestem i pogardą zbywam tych, co mi szkodzić chcą... Nie dalem ani półsłowem żadnem poludki do tego... nie winien jestem. Mamże dla popełnionej zbrodni wyrzec

się jednego człowieka, któremu zaufać mogę, w którego wierzę serce?..

— A zatrzymacie go przy sobie — odparł Suchywilk — to was o współnictwo czynu obwinia.

Król zmilczał dumnie.

Wkrótce potem ks. Jan odszedł, a Kaźmirz pozostał sam, oczekując na Kochana, którego powrotu się spodziewał.

Nadszedł winowajca z pokorą rzucając się do nóg królewskich, objął je wzruszony.

— Przebacz mi, panie najdroższy... złem usłużył, złym jestem sługą! Przyznaję się... tak, jam sprawcą. Zadorowie spełnili, com im polecił... Nie odpędzajcie mnie od siebie, panie, bo bez was życie dla mnie nie warto nic... Nie odpędzajcie!

Król mu rękę, milcząc, na ramieniu położył.

— Będę pokutował, zmażę tę winę — wołał Kochan — odprawię pokutę, jaką włożą na mnie. Mężobójcą zostałem... tak, lecz człowiek ten ostrzeżonym był, na was się rzucił — poniósł karę, na jaką zasłużył...

Drżący głos Kochana ucichł.

— Jutro do Poznania w drogę — odezwał się król, swym zwyczajem nie chcąc odpowiedzieć ani rozprawiać o tem, co mu dolegało.

Kochan wiedział już, iż odpędzonym nie bę-

dzie, podniósł się z ziemi uradowany, pocałował kolana królewskie, twarz mu się wyjaśniła...

Nie było mowy ani o Baryczce, ni o kłatwie...

Wybierano się, nie śpiąc noc całą, w podróż; król zabierał znaczniejszą część dworu swojego, łowiectwo całe, choć miał drugie w Poznaniu, mnogich komorników, konie, wozy i oddział znaczny rycerstwa.

Na biskupstwie tymczasem gotowano się uroczyscie, z całym ceremonjałem kościelnym, w katedrze na Wawelu wyrzec to anathema na króla, które w rozumieniu biskupa od narodu go miało oddzielić, zmusić do pokuty i pokory...

Bodzanta, pod świeżem wrażeniem męczeństwa swojego ulubieńca, nie chciał ani zwlekać z tem, co za konieczne uważał, ani sobie dawał odraźnić... Niektórzy kanonicy pokornie mu przedstawiali skutki tego kroku wątpliwe, a dla kościoła mogące być uciążliwemi. Biskup słuchać ich nie chciał. Sam on, otoczony duchowieństwem, miał wyrzec to straszne — anathema na pomaźca bożego.

Dzień trzeci po tym był wyznaczony; jak gdyby królowi dano jeszcze jedną dobę do opamiętania.

Bodzanta gotów był miłosiernym być, lecz warunki zakreślał ciężkie i upokarzające...

Wiedział, iż na Wawelu nic nie jest tajem, co się u niego uchwała, bo nawet najskrytsze

radę natychmiast tam jakimiś nieodgadnionemi drogami przechodziły. Tak samo on miał sługi swe na dworze, i nazajutrz rano, gdy cały zastęp rycerstwa, dworzan, wozów, czeladzi, komorników, ciągnął jeszcze na pół uśpionemi ulicami Krakowa, kapelan przybył oznajmić ks. Bodzancie, iż Kaźmirz do Poznania wyjechał.

Dodawano, że Kochan, który się nawet nie schronił i od dworu nie został odepchnięty, jechał z królem razem... Było to jeszcze jedno wyzwanie, jeszcze jedno więcej lekceważenie. Gniew się wzmógł.

— Chciał sam tego! — zawołał biskup, podnosząc się z łoża, niech się spełni wola Boża i jego żądanie. Kłątwa nieuniknioną jest. Zobaczymy, kto w Rzymie mocniejszym jest, król i ks. Arcybiskup, czy Pasterz krakowski...

Nazajutrz znowu tłumy ludu, zwabione rozpuszczoną wieścią zawczasu, że biskup króla kląć będzie za utopienie Baryczki, cisnęły się do kościoła, zalegały ulice i podwórza.

Z okazałością wielką, z krucyferem, z dostojnikami kapituły, poważny starzec wyjechał z dworca swego do katedry na Wawelu...

Kościół był przepełniony, lecz ani jeden z wyższych urzędników królestwa, ani jeden ze dworu Kaźmirza nie ukazał się w nim. Czeladź nawet, na zamku pozostała schroniła się do swoich szop i komor. W dziedzińcach pusto było

i jak wymarło... Drzwi zamkowe pozamykane na kłody, żywej duszy przy nich.

Neorża tylko, Otto ze Szczekarzewic, Pszonka, Janina i ludzie tego obozu przyszli słuchać okrutnej klątwy kościelnej i patrzeć na rzucane i łamane świece, na ten obrzęd straszny, jak spełnienie śmierci wyroku, groźny, jak katowanie zbrodniarza...

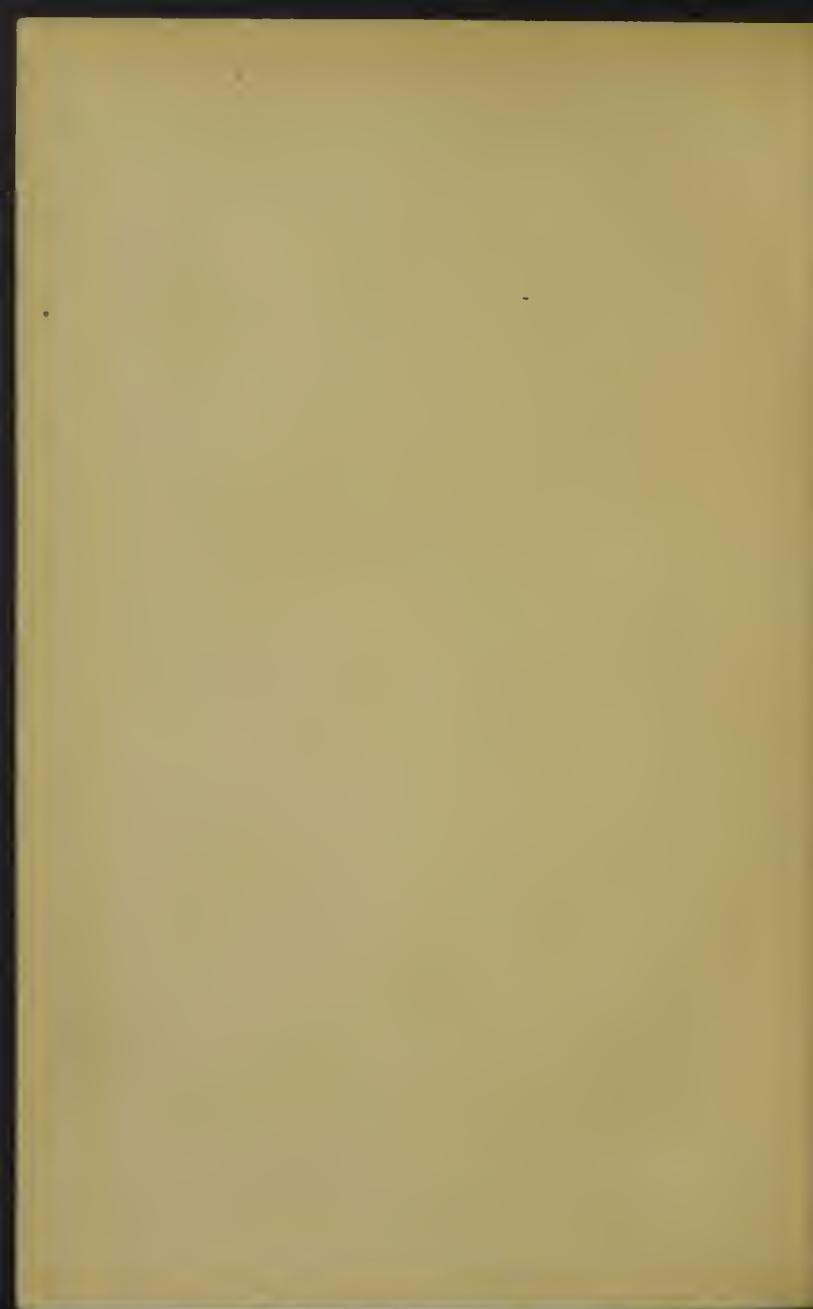
Rozległo się — anathema... zaparto drzwi kościelne, biskup powrócił do dworca swojego.

Zdawało mu się, że wszelkie życie ustać powinno było w Krakowie, że płacz i jęki rozleź się po nim miały, że kirem i popiołem ludzie się pokryją... Tymczasem powszedni żywot bez żadnej zmiany widocznej, płynął trybem swoim dalej, a Wierzynek zagadywany przez ciekawych, odpowiadał, głowę spuszczać — że, sprawa między królem i biskupem w Rzymie się rozsądzi i zagodzi.

Dziś więc nie była to już walka między kościołem i władzą świecką, lecz prosty spór Kaźmirza z ks. Bodzantą.

Za taką ją uważano. Czasy się wielce zmieniły...

KSIEGA CZWARTA.



Biczownicy.

Lat trzy upływało od opisanych wypadków.

W domu niegdyś Kuby Swiniagłowy, a dziś, po zgonie jego i niegdyś pięknej Agaty z Opola — należącym do piękniejszej od niej Baški, żony Fryca Matertery — wiele się rzeczy zmieniło nie na lepsze.

Była to niegdyś gospoda wesela, gniazdo dostatków, miejsce ulubione tych, co się zabawiać lubili i ochoczo spędzać wieczory przy dźwięku muzyki, w płasach, a często zabawnej paplaniu miejskich trefnisiów, dla których tu drzwi stały otworem.

Żywot, już obfity w wypadki, pięknej Baški, od ożenienia. po którym ona sobie obiecywała królowanie nad mężem i domem, a używanie

świata po swej myśli — uległ niespodzianej przemianie, równie jak ona sama.

Dziewczęciem była trochę szaloną i lekko-myślną, zdało się, że zameężna niewiasta spowadnieć mogła i uspokoić się. Lecz zamażpójście za Fryca zupełnie nadzieje jej zawiodło. Za życia rodziców jeszcze jakokołwiek godziło się i porozumiewało małżeństwo młode, chociaż między niem miłości nie było. Fryc żenił się dla pieniędzy, Baśka szła za męża, aby światu okazać, że piękny, młody chłopak mógł się z nią ożenić, choć ją ludzkie, niełitościwe szarpały języki.

Okazało się wkrótce, że Fryc ów, którego przeznaczeniem było ulegać i słuchać, wcale nie miał ochoty pani swej zachcianek spełniać, że miał swoją wolę, a przebiegłość niezmierną. Nim wybuchnął z buntem otwartym przeciwko Baśce, zaplątał naprzód tak jej majątek, domy, dworzyszczu i summy, które miał Swiniagłowa u różnych ludzi, tak mienie żony umiał zręcznie na swoje poprzerabiać, iż, co on miał przez nie być jej niewolnikiem, ona w jego zależności się znalazła.

Oprócz tego, piękny Fryc, sam bałamut, mający miłośnice z dawnych czasów, żonie ani się bawić tak swobodnie, ani białych ząbków wyszczerzać nie dawał. Gdy wkrótce jakoś po śmierci jej rodziców obojga, dawny domu i Baški przyjaciel Sreniewita, zajechał do nich i gospodą

chciał stanąć, Fryc, który o przeszłości żony swej dobrze snąć był uwiadomiony, okóniem stanął.

Rozparł się, w boki wzięwszy, we wrotach i wręcz pięknemu panu powiedział, że go w domu swym znać nie chce

Baśka z okna wołała na przekorę, że dom do niej należy i ona gospodę w nim ofiaruje, on śmiejąc się przeczył i chciał sam panem w domu być.

Sreniewita, wpadłszy w ten spór małżeński, z początku śmiać się chciał, potem splunął, Baśce całusa od ust posłał, zawrócił od wrót i gdzieś indziej na miasto pojechał. Miał tam przyjaciół dosyć.

Miedzy małżeństwem rozpoczęły się kłótnie i spory nieustające. Fryc zawsze wesół, dobrej myśli, żonie prawil niemile prawdy, ona go od ostatnich słów lajała i płakała.

Więcej daleko brała do serca to wszystko, niż małżonek.

Ten zdawna mieć mnsiał osnute plany i szedł z obrachowaniem do celu. — Babę, powiadał, krótko trzymać potrzeba, ona zaś wcale być trzymaną nie chciała.

Powstała wojna otwarta, z której piękna Baśka wyszła zwyciężoną. Świat jej zbrzydlł, ale i ona nagle jakoś brzydnąć zaczęła i długa jej młodość od razu, jakby cięciem jednym się zawarła. Włosy naprzód wypadać zaczęły, potem

zęby, pośliznęła biała twarzyczka, a im ją mocniej malowała, tem okrutniej ciemniała i marszczyć się zaczęła brzydko.

Oczy gasły, schudła... Świat, jak zawsze, rachujący się tylko z teraźniejszością, zobaczywszy ją tak zbiedzoną, odsuwać się począł. Prawda, że Fryc gościnnym nie był do zbytku. Muzyki ani chciał znać, trefnisiów kolanem za drzwi wypędzał, a próżniakom próżne kubki stawiał.

Osamotniona biedna Baśka, której pan Bóg odmówił jedynej pociechy, mogącej osłodzić życie, bo dzieci jej nie dał — płakała po dniach całych. Fryca te łzy gniewały, a nie rozczulały.

Miał czasem takie szyderskie pogadanki o skaczącej kozie i tym podobne, które gniew żony i łzy podwajały...

Sam zaś on był jak z kamienia. W mieście się zabawiał, nic sobie powiedzieć nie dawał, wesół był, obojętny, i w domu, do którego wciśnął się przybyszem — panował...

Nic też dziwnego, że napróżno szukając sobie pociechy, piękna Baśka znalazła ją dopiero w nabożeństwie i modlitwie. Jak we wszystkim i życiu całem namiętną była zawsze, tak i pobożność jej, gdy raz się na nią zaniosło, stała się niepomahowaną a gorączkową. Dawniej ludzi brała przebojem, teraz tak samo cisnęła się do Boga.

Rozpocząwszy pokutę, nie miała w niej miary.

Zmieniły się zaraz suknie owe szyte i bramowane na długie czarne, szare i brunatne, prawie mniejszego kroju.

Miała klejnotów dosyć, które jej własne były, a Fryc na nie zęby ostrzył; na złość jemu, jedno pooddawała do kościołów, drugie posprzedawała na ofiary, a perłami najśliczniejszymi ornaty szyła do dominikanów. Może też na przekór mężowi, mnichów zaczęła zapraszać gromadnie do domu, a że tych mąż jej, bez narażenia się całemu duchowiestwu, pozbywać się, ani źle przyjmować nie mógł — było ich zawsze kilku przy obiedzie i wieczorem... Resztę dnia sama Baśka spędzała po kościołach.

Było to jej jedyne nad Frycem odniesione zwycięstwo, i, przyznać potrzeba, że plac boju wybrała tak, iż mąż na nim całą swą siłę stracił.

Wprawdzie niekał z domu, lecz tym sposobem jej oddawał nad nim władzę. Rozpuścił się w końcu Fryc i powiadano, że się napijał. Ona teraz mu nauki moralne dawała, nietylko sama, ale umiała tak swych dominikanów nasadzić nań, że choć mówili zawsze o rzeczach niby obcych, dalekich, Frycowi do żywego dopiekali.

Jak dawniej uczyły, tanów i wesela, piasów i muzyki bez Baśki nie było, tak teraz nie obeszła się bez niej procesja żadna, odpust, nabożeństwo, żadne śpiewy kościelne, żadna uroczystość doroczna. — W domu najściślejsze posty, przeciw

którym się Fryc obawiał występować, szczególnie dla niego były zachowywane.

Matertera, który jej wszystko zagrabił, życie zatrul, w końcu i sam zaczął na duchu upadać, życie mu obmierzło.

Jej zaś z tym nowym jego trybem wcale znośnie było.

Przekonała się naprzód, iż w czerni do twarzy jej było i trochę dawnego wdzięku wróciło, potem ludzie nawrócenie jej, terazniejszy jej statek i pobożność oceniając, co wprzód stronę męża brali, teraz wszyscy mówili za nią, Fryca, znajdując winnym... Przodowała też gorliwością swoją innym kobietom, a pobożność jej była dla drugich przykładem, którego doścignąć nie mogli.

Codziennie leżała krzyżem w kościele przynajmniej w czasie jednej mszy, w czasie innych klęczała... W czasie procesji najcięższy krzyż wypraszała sobie na ramiona, pod którym się ugiwała. Wdziewała suknie różne tercjarskie, pielgrzymowała od kościoła do kościoła w zimie boso, stacje w post odbywała na kolanach...

Wszystko to jeszcze jej nie starczyło, raz wszedłszy na tę drogę, znajdowała, że ciało swe jeszcze powinna była srożej kaźnić, że ludzie wszyscy nadto światowymi sprawami byli zajęci, a Bogu służyli chłodno i opieszale.

Nawet mniszki, które odwiedzała w Nowym

Sądczu i po innych klasztorach, wprasząc się do nich na dni czasem kilka, żywot ich ascetyczny, surowy, jeszcze jej nie zaspakajał.

Wymyślała osobliwe męczarnie, biczowała się krwawo codziennie, ścisnęła paskiem wpijającym w ciało, nie zrzuciła włosienicy.

Te religijne praktyki wprowadziły ją w stan odurzenia, upojenia jakiegoś, zapалу, który czasem łzami, niekiedy śmiechem dziwnym, serdecznym wybuchał.

Nigdy pokuta za grzechy nie była jawniejszą i przykładniejszą...

Sama ona spowiadała się z przeszłości swej, opowiadała, bijąc się w piersi, sprawy, o których nikt nie wiedział, a że to przy mężu czyniła, nieraz boleśnie go temi spowiedziami publicznymi raniła i upokarzała.

Dom przybrał wcale nową postać. — Znikły z niego powoli kosztowniejsze i piękniejsze sprzęty, rozdane kościołom, posprzedawane, wyrzucone, jako grzeszny zbytek. Natomiast ściany się przybrały w rozmaite godła, obrazki i wyobrażenia religijne. U każdych drzwi wisiała kropielnica, w każdej izbie stał krucyfiks, a w sypialni jawnie rozłożone były narzędzia do poskramiania i trapienia grzesznego ciała, rozmaite dyscypliny, pasy i t. p. Klęcznik był umyślnie tak urządzony, ażeby kolana ranił.

Fryc na to wszystko patrzeć nie mógł i życie

mu coraz bardziej brzydło, tak, że z domu uciekał. Nie mógł jednak żonie zabronić starać się w ten sposób o zbawienie duszy i odpokutowanie za grzechy.

W tem wszystkim więcej było pewnie fantazji, niż skrucy, i ta sama chęć popisu z pobożnością, jaka dawniej piękność Baški głośną czyniła.

Zwolna jednak te namiętne praktyki wpłynęły na ducha — i, co było zrazu dziwactwem może, stało się potrzebą dla nieszczęśliwej, która znajdowała pociechę i uspokojenie w tej pokucie.

W końcu trzechlecia tego, nietylko piękna Baška uległa wpływowi ducha czasu, który powoływał do tak surowego kajania się za grzechy.

W krajach sąsiednich i w Polsce prąd ten, religijna egzaltacja, dawała się czuć ogólnie.

Wielkie klęski, które tysiącami trupów zasypały cmentarze, głód, mór straszliwy, wylewy wód, dziwaczne zmiany w powietrzu, zdające się kolej pór roku zmieniać i grozić ludzkości zagładą — duchowieństwo wszędzie ukazywało jako karę za grzechy, jako przestrozę i napomnienie ku poprawie i pokucie.

Ziarna religijnego zapалу, egzaltacji, w przeszłych wiekach zasiane, na nowo bujnie kiełkować zaczęły.

Nadzwyczajne klęski wymagały nadzwyczajnych środków prześlągnięcia zagniewanego bóstwa.

Trwoga niemal obłąkiwała umysły. Niektóre z nich miały widzenia, objawienia, natchnienia jakieś, które zdawały się odpowiadać powszechnej ducha potrzebie.

Kościelne procesje błagalne, z pokutnikami w kapach i kapturach, biczującymi się publicznie, zrodziły wkrótce dobrowolne gromady biczowników, które znalazły wodzów, i wyrzekając się życia, rodzin, wszystkich węzłów, łączących je ze społeczeństwem — poszły, krwią się oblewając, wołać świat do nowych apostołów jakichś, mających go odrodzić.

W Polsce klątwa rzucona na króla, chociaż nie sprawiła może tak piorującego wrażenia, jakiego się spodziewano — bo nie rozciągnęła się pono dalej nad krakowską diecezję, także umysły zaniepokoiła.

Kościół stały pozamykane, obrzędy uroczyste umilkły — ludzie się trwożyli, obawiając za ten brak chwały Bożej kary Boga. Obwiniano króla, oskarżając go o morderstwo, duchowni nie oszczędzali go, przepowiadając nowy mór, głody, szarańczę, która już była nawiedziła Czechy, najścia pogan i t. p.

Król — czynił wprawdzie kroki do pojednania z pomocą Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, lecz Bodzanta więcej się domagał, niż powaga Majestatu mogła ofiarować — przedłużał się więc

spór między kościołem a Kaźmirzem, nie hamując całkowicie życia, ale je łamiąc i utrudniając.

Wierni i pobożni za grzech króla codzien pokutować musieli, nabożeństwa odprawiały się wyjątkowo, cicho, — na każdą posługę duchowną, wyjednywać było potrzeba osobne pozwolenie, jako łaskę.

Trwało to zbyt długo, a sprawa w Rzymie, popierana ze stron obu, dotąd rozwiązuć nie mogła. Sam król był nią znużony i rad był ofiarą znaczną przejednanie zyskać. Lecz zajątrzył się spór, a ludzie korzystali z niego dla siebie i zgodę utrudniali.

Znaczna część duchownych z innych diecezji nie opuściła wprawdzie Kaźmirza, kapelani odprawiali nabożeństwo na zamku — lecz gdziekolwiek zetknąć się musiał z władzą biskupią król — odpychano go, znać nie chciano, jako wyłączonego i wyklętego.

Arcybiskup i siostrzan jego pracowali gorliwie nad przejednaniem, król znużony był, a Bodzanta czując, że stał się potrzebnym, coraz bardziej był wymagającym.

Łatwo pojąć, iż stan ten kraju przyczynić się musiał wielce do religijnej egzaltacji.

Te milczące dzwony, te zaryglowane wielkie drzwi kościelne, pogrzeby bez śpiewów, chorągwi, obrzędów wszelkich, ciche msze odprawiane po

ustronnych kaplicach, utrudnienie chrztów i wesel — trwożę siał w sercach.

Ostyglejsi ludzie mogli się wprawdzie nauczyć obchodzić bez tego, czego im odmawiano, lecz gorętsze duchy tęskniły, niepokoiły się — trwożyły o zbawienie.

Niedawno przebyty w Krakowie mór, który, jak miecz mściwego anioła przeszedł, tysiące zabierając ofiar — stał jeszcze na myśli i w pamięci, jakby znowu miał powrócić. Rozsiewano wieści, iż się wznowił w niektórych miastach.

Niepokój więc panował wszędzie, z każdą chwilą rosnać. Jedną z prorokiń zagłady i pomsty Bożej była ta niegdyś płocha, dziś w gorączce coraz się potęgującej pokutująca Baśka.

Z rozplómieniem religijnem łączyło się w niej męztwo wielkie, — z którem porywała się na najśmielsze kroki, — wciskając się wszędzie, i wywołując to, do czego, jak mówiła — czuła się natchnioną.

Wpadła tak raz na zamek, do Kochana, potem do króla, ubrana w habit terejarski, z paciorkami i krzyżem, grożąc im, wyrzucając zbrodnię i opowiadając, że posłaną była do nich, aby do pokuty ich nawoływała.

Wiek to był pobożności jeszcze nie nadwreżonej niczem; ci nawet, co mniej byli usposobieni do niej, mieli ją w głębi duszy, wiara zachwianą

nie była — więc i taki głos niewieści zostawiał wrażenie po sobie.

Król wysłuchał napomnień milcząco... posmutniał, Kochan przez długi czas chodził strwożony, i ofiary na kościoły, jakie czynił od śmierci Baryczki, podwoił.

Jednego wieczora w domu Fryca Matertery, w którym on się mało pokazywał, — gospodyni sama przyjmowała zwykłych swych gości. Siedział za stołem tylko co przybyły przeor ks. dominikanów Tomasz, pobożny tegoż zakonu kapłan Irencusz, a tuż obok jeden z wikariuszów kościoła panny Marji, młodszy od nich, lecz wielkiej pobożności i nauki ks. Paweł z Brzezia. Gospodyni, która siebie karmiła najsrońszemi postami, dla ojców duchownych nie tylko była pobłażającą, lecz starała się ich jak najlepiej ugościć. — Przynoszono więc misy i flasze, a Baśka, nie siadając do stołu, posługiwała ojcom, podając im w miejscu sługi wodę do umycia rąk i ręczniki, gdy ks. Paweł, suchy, wysokiego wzrostu, twarzy pociągłej i długiej mężczyzna, wyciągnął dużą, białą, z kościstemi palcami rękę i odezwał się do przeora Tomasza.

— Słyszeliście ojcze, o biczownikach?

Ks. Tomasz, siwy, otyły, ciężki, z twarzą okrągłą, dosyć wesołego wyrazu, ocierał właśnie pot z czoła, bo się to działo na początku lata i dni były gorące.

Spojrzał na mówiącego zdziwiony nieco i zapytał:

— O jakich?

— Głośno już o nich po całym świecie — odparł ks. Paweł — a mówią, że i u nas już od granic się zjawili, i w niektórych miastach gmin za sobą wielki ciągną. Tylko co ich nie widać w Krakowie.

Ks. Ireneusz. blady i chudy, pokaszlujący mnich, którego oczy, żywo biegające, bystry umysł zdradzały, pokręcił głową, jakby wątpliwość pewną okazać chciał i niewiarę.

Baśka, trzymająca jeszcze nalewkę i ręcznik, mając już odejść, zatrzymała się ciekawie. Wejrzenie jej skierowało się ku ks. Pawłowi z prośbą gorącą.

— Biczownicy? — zapytała.

— Tak, pokutnicy biczujący się... i przebiegający świat o żebranym chlebie, a wołający grzesznych do pokuty...

Wszyscy uwilkli — ks. Paweł zamilkł też na chwilę.

— Zjawisko to wielkiego znaczenia — dodał zadumany. — Przebrała się grzechu miara, czują wszyscy, że życie zmienić potrzeba. Bóg zsyła natchnienie na małych, ubogich, biednych tak, jak apostołów swych z gminu wybierał...

Cuda o nich opowiadają.

Baśka postawiła dzban, rzuciła ręcznik, i ze złożonemi rękami zbliżyła się do ks. Pawła.

— A! mówcie! mówcie! — zawołała — Serce mi uderzyło. To palec Boży... Pokuta publiczna, chłosta dobrowolna... nędza i głód. — nowy zakon... nowi apostołowie!!

Ks. Paweł się zmarszczył.

— Nowego zakonu być nie może, ani nowych apostołów potrzeba — zawołał kwaśno — całą prawdę i wszelką naukę przyniósł Chrystus... ale myśmy jej do serca nie wzięli ani cząstki, nie spełniamy z niej tylko to, co najłżejsze.

Przeor i ks. Ireneusz milczeniem to potwierdzali.

— Gdzież są? zkąd idą? będę szukać tych świętych pokutników! — zawołała gospodyni, żywo następując na ks. Pawła.

W tem Ireneusz się cichym głosem, prędko płynącemi z ust słowy, odezwał.

— Powoli — powoli! — Niechno kościół się w tem rozpatrzy i przekona, czy w tej pobożności nie tkwi herezja jaka.

Baśka stanęła zdumiona.

— Ojczy mój! — poczęła — a jakże może być herezja, co grzesznego w pokucie? Im ona sroższa, tem Bogu miłsza.

Ks. Ireneusz ręką przebierał po stoliku.

— Ciemno w tem, ciemno — rzekł — a póki się to nie zbada, nie rozpatrzy, ostrożnym trzeba

być, aby zamiast Bogu służyć, nie poszło się w więzy szatańskie.

Groźnie podniósł palce i gospodyni zamilkła, lecz widać było, że gorączkowa ciekawość paliła ją.

Ks. Paweł z Brzezia usiadł tymczasem przy stole... Miał widać litość nad niewiastą.

— Gdzie się to zrodziła ta pokutnica...

— Sekta — poddał ks. Ireneusz.

— Sekta, czy towarzystwo, Bóg to wie — ciągnął dalej Paweł — lecz razem gruchnęło o niej i z nad Renu, i z Węgier i od Włoch... Gromady ich przebiegają sąsiednie kraje, weszły i do nas. Niektórzy duchowni otwierają im kościoły, inni podejrzenia mają.

— O co? — spytała gospodyni.

— O to, com rzekł — wtrącił ks. Ireneusz — że sekta są. Nasz zakon właśnie powierzone ma sobie badanie herezji wszelkiej, tej zjadliwej rdzy, która się czepia łatwo umysłów słabych a żywych... Inkwizytorowie o tem wyrzeką.

Przeor, który zmęczony nie dotąd nie mówił, rzekł głosem cichym, przerywanym oddechem ciężkim.

— Tak... tak... wszystko trzeba bacznie roztrząsać... Djabeł nie śpi.

Gospodyni słuchała z uwagą wielką.

— Przebaczenie mi, ubogiej na duchu — ode-

zwala się — ale jakiż błąd być może w surowej pokucie?

Ks. Ireneusz z uśmiechem odparł:

— Wieleby o tem mówić trzeba... a ja, duszyczko pobożna, jedno tylko powiem. Gdzie kapłana nie ma jako przewodnika, tam się łatwo ludzie obłąkać mogą. Tu zaś, pomiędzy tymi Biczownikami, o kapłanach nie słybać. Jacysź nieznajomi, nieświęceni, samozwańcy wodzowie, prowadzą te gromady.

Niewiasty i mężczyźni różnego wieku idą pospolu, żyją pospolu... hm! hm! nie zdaje mi się, by to czysta sprawa była...

Gospodyni zadumała się nieco.

— Grzesznicą jestem — rzekła — wielką i niegodną łaski Pana... nieświadomą rzeczy wielu, ale mi się ta pokuta publiczna, to życie jej oddane całe, ta krew brocząca goścince nieprawości, wydaje tak piękną! tak piękną!

Przeor się zmarszczył.

— O! o! — przerwał — gotowaś sama pójść z niemi!

Baśka chwyciła się z siedzenia, i krzyknęła...

— A! tak... niech się zjawią tylko — rzucę wszystko... nie wytrzymam, pójde!!

Księża spojrzeli po sobie, ks. Paweł zamilkł, i chcąc rozmowę odwrócić, wtrącił, iż wieść chodziła, że wkrótce król miał uleść i klątwa zdjęta

będzie, a kościoły otwarte i dzwony zabrzmia znówu.

Gospodyni słuchała dosyć obojętnie.

— Król? — rzekła, bynajmniej nie okazując sromu. — Znam go dobrze, wszak ci szatan mnie był zawiódł ku niemu, a raczej ten człek, zbójca, który tyle dusz niewinnych pogubił, zausznik jego Kochan... Znam ich obu. Król w duszy dobry jest, litościwy, ludzki, ale do Bożych rzeczy chłodny... Nawrócić by go można, gdyby się dał poruszyć... Jemu życie i wszystko obojętne...

— Bo nadto używał — rzekł ks. Ireneusz.

— Wszystko z tego popłynęło — dodała Baśka — że syna nie ma i nie spodziewa się, to mu życie struło i odebrało do niego ochotę.

— Właśnie tą bezpotomnością karze go Bóg — rzekł ks. Paweł — za to, iż sromotny żywot prowadzi...

Gospodyni ze spuszczoną głową słuchała tych wyroków, leciuchny rumieniec przesunął się po twarzy zwiędłej, jak jakieś przeszłości wspomnienie.

— Winien on, tak, tak — począł otyły przeor — ale zausznik winniejszy. Ten jest kamieniem obrażenia, ten wszego złego sprawcą... ten...

Baśka już myślą być musiała gdzieindziej i spytała.

— Sąż już u nas gdzie ci Biczownicy?

Ireneusz się uśmiechnął.

— Bądź spokojna, duszyczko moja, rzekł trochę szydersko, nie miną oni Krakowa...

— Bogdajby — westchnęła Baśka.

Gdy to mówili, półmiski stygły — i ks. przeor okazał ruchem ręki, że radby począć wieczerzę. Gospodyni przybliżyła mu mięsiwo i wychudłemi rączkami poczęła kubki nalewać.

Ks. Paweł, oczyma się porozumiewając z towarzyszami, zagaił inny przedmiot. Z poszanowaniem go słuchając gospodyni, widocznie o czem innem myślała. Zatopiona w sobie, roztargniona, machinalnie posługując gościom, dumiała, nie odzywając się prawie — biczownicy ci z myśli jej nie schodzili.

Wśród tego milczącego Krakowa, który klątwą przez Biskupa rzuconą, okryła żalobą — jednego dnia letniego powstał ruch nadzwyczajny...

W rozmaitych miasta dzielnicach — z niewiadomej przyczyny, ludność, rzuconem słowem jakimś poruszona — wybiegała z domostwa, wyglądała z wrót, szła ku czemuś niewidomemu i pierzchała strwożona.

Niektórzy palcami ukazywali w dał, inni bojaźliwie poszeptawszy z przechodniami, do domów

zbiegali, zamykali wrota. Ciekawość i trwoga malowały się na twarzach wszystkich.

Przed kościołem ks. Dominikanów stał ks. przeor w towarzystwie Ojca Irenusza. Oba mieli na sobie płaszcze jak do wyjścia, lecz zdawali się wahać — czy wyruszą lub zatrzymają się w miejscu...

— Nie mamy po co śpieszyć, ani iść przeciwko nim — mówił ks. Irenusz. — Grzeszna to sprawa, której z miasta i z kraju potrzeba się pozbyć co najprędzej. Chociaż naszemu bratu Ojcu Rainierowi przypisują, że on pierwszy do tej pokuty wołał, i onych Biczowników stworzył — ja nie wierzę, aby Tomaszowe dziecię herezję taką uknuło... Ludzie źli, wzięli myśl dobrą i wypaczyli ją.

Przeor zamruczał coś, niespokojnie się ogłędając.

— Rajnier nie Rajnier, przemówił wzdychając, jakby mu ta cała sprawa wielką przykrość sprawiała — niedorzeczność jest...

Ludzie się tego morowego powietrza ulękli...

— Juści, niezaprzeczenie to kara Boża — odparł Irenusz — ale i to kara, gdy herezja nowa wyrasta... Nową sobie wiarę chcą tworzyć! kto? szaleńcy jacyś... Już lat bodaj trzy temu, gdy Ojciec święty potępił ich.

— Myśmy się dopiero o tem dowiedzieli, no

i Biskup też wie..., rzekł przeor. Nie dadzą im tu popasać, rozpędzą.

— Oni sami dłużej nigdzie nad dzień nie popasają — odparł ks. Ireneusz...

— Chodźmyż popatrzeć na to dziwowisko. rzekł przeor wzdychając. Wczoraj oznajmiono, że się tu wloką.... już powinni być.... Staną pewno w rynku...

— Chodźmy, dodał Ireneusz, ale wnijdźmy gdzie do kamienicy. Dosyć będzie patrzeć zdala, aby znowu nie powiedziano, że to dominikańska robota, a my z nimi trzymamy.

— Do Wierzyńka, rzekł przeor, tam nas przyjmą. Okien ma dosyć. Mówiąc to, wolnym krokiem poruszyli się, idąc ku rynkowi i przed się patrząc ciekawie. Ulice pełne były ciekawego ludu, lecz nie sama ciekawość tylko malowała się na twarzach, trwoga, niepokój, nieokreślone to uczucie, które opanowuje na widok spraw niezwykłych i niewytlómaczonych.

W naturze ludzkiej jest coś, co ją czyni podległą wpływowi szczególniejszemu uczuć gorących i wielkiego zapалу. Są one w całym słowa znaczeniu zaraźliwe. Człowiek od nich częstokroć broni się z razu szyderstwem, zasłania niewiarą, ale w końcu siła dla niego nie zrozumiała opór ten łamie, zwycięża, i gdy tłumy przejmie ten ogień a porwie i pochłonie, jednostki uleżą muszą i dać się porwać prądowi.

Zapowiedź tego widowiska. o którym już dźwię wygłosili, ci co się z niem spotkali, a większe jeszcze ci, co tylko słyszeli o niem, słabszych napełniała bojaźnią, zwiastującą, że ono ich pociągnie i pokona, że mogą, nieświadomi tego co czynią, rzucić domy i iść z temi pokutnikami.

Chronili się więc i zamykali, lecz ciekawość górę brała.

Wszystek ten tłum, który umyślnie około P. Maryi i na rynku się gromadził, miał pozór wystraszonego, milczał. Sciskano się i kupiono jakby wzajem w sobie szukając obrony. Trwożliwe oczy zwracały się w stronę, z której się biczowników spodziewano i zamykały z trwogą. Cicha grobowa panowała w ścisku, ledwie szeptami i mruczeniem przerywana.

Nietylko wiodące do rynku ulice, chodniki pod ścianami były przepełnione, ale okna wszystkie głów naciśniętych w nich pełne.

Niewiasty i dzieci przeważały.

Dzień był skwarny, powietrze duszne chmury cienne, ciężkie, przeciągały po niebiosach zamglonych jakby oparem, a słońce, choć się rzadko przebijało przez obłoki, piekło okrutnie.

Gawiedź, która w ulicy się nie mogła pomieścić, gdzie nigdzie powdrapywała się na drabiny, przylegała do kominów na dachach.

Ks. Przeor z Irencuszem ledwie mogli się przebić przez ściśnięte gromady do kamienicy Wie-

rynka, a że im z miejsca ustępowano, winni byli tylko sukni swej, którą lud szanował. Po przejściu ich natyebmiast znowu, jak rozpruta fala, lud się skupiał, a stojący w pierwszych rzędach, z obawy stracenia miejsc, z których lepiej widzieć mogli, bronili się milcząco całą siłą.

Przeor, który znużony był pochodem niezmiernie, oczy ociężałe podniósł ku oknom kamienicy, do której dążyli. Nie zwiastowało się tu nic pomyslnego, wszystkie były zajęte.

Pominio to szli oba duchowni, nie mając już nic lepszego do czynienia, jak tu bezpiecznego szukać miejsca.

W sieniach domostwa natłoczono było nio mieszczanami, ale rycerstwem i ludźmi, z których ubrania wnieść było można, iż do dworu należeli. Pozuawano między nimi twarze królewskich sług.

Szeptali z ulicy patrzący, iż pono sam król się tyłami przesunął tu, aby też widzieć tych pokutników, o których tyle rozpowiadano.

W istocie, pilniej się przypatrując oknom izb przednich mieszkania Rajcy, po za zasłoną na wpół spuszczoną dostrzedz było można strojów, twarzy, jakie w otoczeniu Kaźmirza znano. Ale król, jeśli tam był, widzianym być nie chciał pewnie, stał zakryty, chociaż oczy ludzi, wznośzące się ku oknu temu, czuły go i odgadywały. Niekiedy zasłona drgała, ręka biała wysuwała się z za niej i nikła. Szeptano, potracając się — król.

W tłumie dwojakie panowało usposobienie, i względem króla i dla spodziewanych pokutników. Wszystko, co trzymało z biskupem i ocierało się o niego, szemrało i niechętnie spoglądało ku Kaźmirzowi. Wyrzucano mu wszystko złe, wszelkie klęski. Gorzej jeszcze, niż przeciwko niemu, mruczano przeciw dworakom i Kochanowi, piętnując go mordercą.

— Tam, tam, szemrali biskupi słudzy... przyszli patrzeć... zbóje, jak za ich grzechy musi lud pokutować... A co im?

Biskup wszakże, choć nie uczynił żadnego kroku ze swej strony jeszcze przeciwko biczownikom, wiadomo było, iż zamierzał co rychlej się ich pozbyć z Krakowa.

Z tego, co tu przyszło już na biskupstwo o popokutujących z Niemiec i z Węgier — źle ich sądzono i duchowieństwo w ogóle potępiało, mając po sobie bullę papieża Klemensa. Ze Szwabii, ze Spiry, ze Strassburga ich powyganiano, starano się ustraszyć, lecz tłumy, mimo wyroków kościola, chciwie się łączyły z tymi, których dobrowolne męczeństwo urok miało dla nich nieprzewyciężony. W każdym zadrgało coś na widok tych krwią obluzganych, bezdomnych, nędznych pokutników nie za swe, ale za grzechy świata całego.

Obawiano się, ociągano z gwałtownem wystąpieniem. Snuli się oni już po Polsce, a nigdzie

nie ścigano ich inaczej, tylko słowem z ambony i to dopiero naówczas, gdy już ich nie było.

Nieopodal od kamienicy, w której król się miał znajdować i księża do niej wniść się kusili, na chodniku, stała w pierwszym rzędzie z twarzą rozognioną, poruszona, niespokojna, nie mogąc chwili w miejscu wytrwać, znana miastu całemu Baśka Świniagłowy. Na ten dzień odziała się stosownie w brunatną suknię, krojem zakonnym, podpasaną prostym sznurem, z pacierzami wielkimi drewnianymi u pasa, zakończonemi trupią głową i krzyżem.

Na głowie, krótko postrzyżonej, miała zarzuconą zasłonę, niegdyś białą, lecz długiem używaniem zbrukaną i pożółkłą. Nogi bose, zapylone, poranione, wystawały z pod kraju sukni. W rękach miała dyscyplinę i krzyżyk. Stała już jakby w gotowości połączenia się z tymi, o których od dni wielu marzyła dniami i nocami.

Nie samą była, bo zdawna miała swój dwór, który chętnie wszędzie jej towarzyszył. Były to babki, żebraczki z pod kościołów, ubodzy, kalecy i kilka kumoszek tak pobożnych jak ona, które karmiła i obdarzała, wymagając od nich nawrócenia i pokuty.

Cała ta gromadka, jakby wydzielona z tłumu, bo się do niej niechętnie mieszcali obcy, zwracała teraz oczy ciekawe. Szczególniej roznamiętnioną, głośno wykrzykującą Baškę, pokazywano sobie

palcami, poszeptując kto była, zwierając sobie życia jej przygody.

— To ta od Swiniagłowy, co za Matertera ją wydali, za Fryca, szeptali niektórzy. Nażyła się ona, nażyła dopóki jej księża nie nawrócili do pokuty. Jeździł do niej Sreniawita, była i u króla, skakała i śpiewała aż się na łzach skończyło.

— O piękna była! dodawali drudzy.

— Jeszcze teraz nieszpeta, choć tak zestarzała rychło, mówił inny. Ale jej teraz ani poznać... wszystko słyszę, zmarnowali. Fryc pije, a ona co ma, to do kościoła za grzechy wynosi.

Każdy jej ruch i słowo podawali sobie ciekawie.

— Patrzajcie ino, a to nie jak pokutnica, ale jak opętana się rzuca!!

Poruszenie w tłumie od strony ulicy Grodzkiej w całym tem się zbiegowisku odbiło. Zaledwie zadrgał ścisk ten z jednej strony, jakby prąd przebiegl po wszystkich... Jedni w tył się cofali, drudzy naprzód parli, przypierano do ścian, do wrót, kilka wykrzyków się wyrwało z różnych miejsc, głowy i ręce falować zaczęły jak woda wiatrem rozkolysana.

— Idą, idą! patrzajcie! idą.

Na palce podnieśli się ciekawi, inni naprzód powyrywali.

Zdała jakby śpiewy i jęki słyszeć się daly,

głosy przeciągłe, stłumione, których boleściwy wyraz przejmował skargą i płaczem. Lecz nie widać było nic jeszcze, nic, oprócz po nad głowami tłumów tych gwarnych, na wysokim drągu powiewającej krwawo czerwonej chorągwi. Nie miała ona kształtu rydwanu kościelnego, była to płachta, spłowiała już, na której tle trudno było rozpoznać znaków jakichś malowanych.

W dali za nią mniejsze szły kościelne chorągwie żałobne z trupiami głowy i narzędziami męki Chrystusowej.

Zwolna musiał się posuwać pokutniczy ten orszak, gdyż nierychło tłum się rozdarł na dwoje i szeregami idący ukazali się biczownicy. Przodem postępował mężczyzna atletycznej postawy, obnażony do pasa, z głową i twarzą kapturem brunatnym okrytą.

Szedł wolnymi krokami i biczem, który w ręku trzymał, o czterech sznurach i żelaznych hakach, smagał się nielitościwie po plecach, już krwią zaschlą i świeżo rozlaną spływających.

Ta postać beztwarza, straszna, katowska, krocząca powoli i w takt pieśni chłoszcząca się nielitościwie, — była zjawiskiem tak przerażającym, iż ludzie bliżej stojący cofnęli się krzycząc, jakby się lękali, ażeby ich nie pochwyciła...

Tuż za tym wodzem szedł drugi mężczyzna, równie zakapturzony, obnażony do pasa, bosy, z biczem w ręku jednym, w drugim niosący

zwitek pergaminu. Ciało jego, jak pierwszego, było smaganiem pokrajane...

Za nimi dwoma rzędami postępowali zmieszani z sobą mężczyźni i niewiasty, wszyscy prawie z nakrytymi głowy, niektórzy z twarzami na pół odsłoniętymi, wpół nadzy i biczujący się przy śpiewie jakiejś pieśni.

Brzmiała ona jak kościelna, jak psalm wielkopiątkowy, jak żale gorzkie u Chrystusowego grobu, lecz niezwońne głosy, jakimi ją nucono, ze śpiewem zmieszany płacz i jęki, chrząst dyscyplin, szelest chorągwi powiewających nad głowami, zmieniały ją w jakąś wrzawę dziką i odrażającą.

Nie było też powagi w tym pochodzie pokutnym, ani pokory, jakaby ludziom skruszonym przystała. Niektórzy z nich rzucali się jak opętani, rękami wywijali w powietrzu, nogami podrygiwali, — wykrzywiali się i całym ciałem jak bólu miotali.

Z pod zasłon i kapturów gdzieś podkrywane twarze, miały wyraz osobliwego rozpamiętania, zuchwałości, szyderstwa, upojenia... kobiety przechodząc, groziły ścisniętymi pięściami, mężczyźni dla uczynienia popłochu zataczali się ku gminowi, który z krzykiem od nich się cofał...

Razem jednak wzięty ten tłum w lachmanach brudnych, katujący się, pijany jakimś szaleństwem, jęczący jakimś bólem, czynił wrażenie, któremu oprzeć się trudno było.

Nie byli to pospolici ludzie, w stanie powszednim, w zwykłego życia pojęciach i nawykniemiach, ale coś wyższego nad nich, a przynajmniej wyrzuconego z kolei spraw i uczuć wszystkim wspólnych. Z lekceważeniem jego obyczajów, szli nie lękając się męczarni, śmierci, niepomini na nic, wyłsi nad to, co drugim drogiem było i niezbędnem.

Pokrwawione ciała, poszarpane nogi, ręce zbroszone, same ich twarze zdziczałe, ziejące ogniem, ryczące pieśnią, strach obudzały i podziwienie.

Z tłumów kilka krzyków się słyszeć dało... kilku odartych żebraków zaczęło się rwać ku nim, zdzierać z siebie odzież i łączyć z zastępem, który zwolna zmierzał ku środkowi rynku, ciągle śpiewając i chłoscząc się ciągle.

Naówczas można było się lepiej rozpatrzeć w zbiorowisku tem, liczącem paręset głów, a składającym się z najróżnorodniejszego żywiołu ludzkiego. Chociaż twarze w większej części były pozasłaniane, na ciałach nagich czytać było można wiek, płeć i pochodzenie. Począwszy od zgarbionych starców, których barki kościste, z pomarszczoną skórą i żyłami nabrzmiałymi oplątane, zdawały się, gdyby nie krew, wykopanemi z dołów cmentarnych, do białych plecu niewiast młodych, do chudych i szczupłych ramion wyrostków, wszystko się tam razem mieszało w nieładzie

jakimś, upojeniu i rozognieniu, które nikomu nie dawało trzymać wyznaczonego miejsca, — pchali się, wywijali, smagali wzajemnie, cisnęli, rozszarpywali... Niektóre z niewiast, obnażone zbyt i jakby umyślnie odarte z odzieży, chlubiły się równie krwią na plecach i młodei kształty ciała.

Wśród pochodu z pieśnią do środka rynku działały się rzeczy niespodziane a gorszące. Idący na końcu szeregów chwytali ze straganów żywność, porywali co napadli, inni rykiem straszili dzieci, inni za suknie ciągnęli stojących bliżej, chcąc ich zabrać z sobą.

Pierwszy tylko rząd idących zachowywał się z pewną powagą... reszta rozpasaną była i swawolną...

Zakapturzony wódz stanął wreszcie w rynku, około niego poczęły się ustawiać chorągwie... Człek, który zwitek trzymał w ręku, odrzucił kaptur zupełnie, i z pod niego ukazała się głowa ogolona, z oczyma wypukłemi, z twarzą żółtą, nsty niepomierne szerokiemi. Gdyby nie strój i nie miejsce, jakie zajmował, najłatwiej by go wziąć było można za jednego z tych wierszokleatów weselnych lub trefnisiów do których był podobny. Zarazem jednak klechę przypominał i bakałarza.

Na policzkach koloru żółcią zaprawnego, dwie ceglaste plamy odbijały jak malowane.

Na dany znak podniósł on rękę do góry,

w której papier trzymał, potrząsł nią i zakrzy-
czał.

— Słuchajcie! Słuchaj ludu pobożny!

Ze wszystkich stron ciekawi zaczęli się zbliżać i naciskać ku niemu, popychając i wyprzedzając. Szmer i wrzawa ustały, pokutnicza pieśń powoli ucichła, skończył się jej ostatni, a wielu z tłumu poczęło padać na ziemię, jedni na kolana, drudzy twarzami w proch, inni jakby do snu się układając, a nagiemi poranionymi plecami uderzając o kamienie. Boleu nikt z nich czuć się nie zdawał.

Gdy cisza się stała dookoła... ten, który zwitek trzymał w ręku, rozsunął go, przybrał postawę naśladowującą księdza na kazalnicy, i głosem to jęczącym, to krzykliwym, to podniesionym bezmiernie, mówił, patrząc po stojących dookoła:

— Słuchaj ludu pobożny! Słuchajcie wierni Chrystusowi! Oto do was przychodzimy jak niegdyś apostołowie z nowiną dobrą, z ewangelią nową. Albowiem świat miał być ogniem zniszczony, morem wytępiony — za grzechy straszne, za winy mnogie, aż oto, widząc Chrystusa zagniewanego i pomstę zawieszoną nad ziemią, przypadła doń matka Jego, przyszli z błaganiem święci pańscy i prosili o miłosierdzie...

I jęczeli a łzy leli trzy dni i trzy noce całe, aż ulitował się Chrystus i przez anioła, posła swojego, zanieść kazał list do kościoła Ś. Piotra w Jeruzalem...

To mówiąc, kartę nad głową rozwinał, podniósł i potrząsał nią.

Wziął ją potem przed się do oczów i znowu mówił, jak gdyby z niej czytał:

— Ja, który jestem żywotem i śmiercią, panem i sędzią, stworzycielem i odkupicielem waszym, prawem i słowem prawdy — mówię do was, abyście się kajali, a krwią waszą, która z moją połączoną zostanie na zagładę grzechów, zmazali przewinienia.

Rzućcie domy i rodziny wasze, dzieci swe i rodziców, małżonków i żony, wyrzeczcie się mienia wszelkiego, weźmijcie bicz w dłonie wasze i idźcie głosić pokutę i wyzwolenie światu po gościńcach, po osadach, po wsiach i gdziekolwiek ludzie w grzechu leżą...

Będziecie się bez litości i bez przestanku biczowali przez dni trzydzieści i cztery, tak, jakom ja lat tyle w mizernem ciele ludzkim żył dla was... A nie będziecie mieszkać pod dachami, ani spoczywać, ani dłużej trwać nad jeden dzień na każdym miejscu.

I stanie się, że ktokolwiek z was przed drugim z grzechów się swych wypowiada, temu odpuszczone będą, albowiem wszyscy krwią swą namaszczeni będziecie na kapłaństwo, i co rozwiążecie, rozwiązaniem rostanie.

Gdy tych słów doczytywał, czy domawiał pokutnik, pomiędzy słuchaczami, wśród których

byli duchowni i klerycy, powstał cichy ale wyraźny okrzyk zgrozy i podziwu...

Szmer ten nie dał mu czytać dłużej, — i wkrótce potem zakapturzony wódz zanucił pieśń, a za nim porwawszy się z ziemi inni spiewać zaczęli, cisnąć się znów i iść, chociaż prowadzący nie wiedział jeszcze, dokąd się skieruje.

W wielu miejscach duchowieństwo naprzeciw nich wychodziło z procesjami i chorągwiami, prowadzono ich do kościołów, spodziewali się może i tu tego samego przyjęcia, lecz rozkazy były wydane, podwoje kościołów pozamykane, duchowni nie chcieli brać udziału w praktykach tych sekty nowej.

Zakapturzony rychło zrozumiał, iż miał do czynienia z tłumem ostyglym, ostrzeżonym, mało-wiernym. Niewielu prostaczków dało się uwieść listem tym przyniesionym przez anioła...

Ten, który czytał z karty, i ten, co szedł przodem, naradzili się wejrzeniami z sobą, dali znaki tym, co szli za nimi.

W tłumie tym, przewodzcy pomieszani z nim, natychmiast, biczami smagając, zmusili powstawać tych, którzy legli i odpoczywali... na skinienie ich ustawiono się w szeregi, bice się podniosły do góry, padli wszyscy na kolana i zanucili pieśń żalosną głosem boleściwym.

Smaganie to i śpiew ze snu i odrętwienia obudziło biczowników. Stali się jakby innemi,

z chłostą razem, coraz zapamiętałą, coraz nie-
litościwszą, coraz szybszą, śpiew się podnosił —
głosy stawały wyrazistsze, szął święty ich npajał
— zdawali się doznawać rozkoszy jakiejś, w szmaty
drąc ciało, dobywając z niego krwi, która ście-
kała strugami.

Czego nie uczynił list anioła i opowiadanie
ewangelii nowej, widok biczowania sprawił na
ciężbie. — Zapal biczowników przechodził do
tłumu... wyrywali się ludzie ku nim... jęki
i płacz dał słyszeć. Ci, co przyszli tu z niedo-
wiarstwem, ze zgrozą, zaniepokojeni w sumieniu,
żegnali się, modlili, płakali, — serce ich biło.

Cóż dawało im tę siłę do zniesienia razów,
które sobie zadawali z rozkoszą? Kto sprawiał
ten cud, że dla nich boleść była pożądaną i bło-
gosławioną?... Duchowni nawet doznawali tego
wrażenia, i kilku z nich odwracało się od bi-
czowników, jak od pokusy, której się uledz lękali.

Śpiew schryplemi i znużonemi w początku
nucony głosami, rósł, potęgował się, podnosił,
płynął coraz zgodniejszy, a miał w sobie jakąś
siłę straszną, która przeszywała serca.

Kobiety zachodziły się od płaczu spazma-
tycznie...

Tłum w rynkn stojący cały, uląkł się tej po-
kuty... wahając, czy nie ma pójść z nim także
i nowej ewangelji stać się wyznawcą.

W chwili takiego podniesienia na duchu...

naprzód kleryk jeden, chłopak młody, wybiegł z pomiędzy patrzących, szarpiąc na sobie odzież, jak szalony pognał do zakapturzonego i padł przed nim na kolana...

Ten, który kartę niósł, wnet począł snknąć z niego zdzierać, która kawałami zwisała i podał mu własny bicz... Z wściekłością uderzył się nim kleryk po białych ramionach i krew trysnęła.

Na widok jej, ciżba dokoła odezwała się głuchym wykrzykiem.

Za tym razem pierwszym posypały się inne, plecy całe spłynęły krwią, a nowy pokutnik podniósłszy głowę do góry zwycięzko, z wyrazem ubłogosławienia na twarzy, z uśmiechem na ustach, pieśń nncić począł...

Widok ten był jakby hasłem i przykładem. Ze wszystkich stron wybiegali ludzie. Jednych rodzina powstrzymywała, inni sami wahali się niepewni, niektórzy stawali w pół drogi... lecz wielu dobiegło do miejsca, gdzie stał przewodnik, i biczować się zaczęło.

Baśka która drżąca patrzała na to i płakała, zrywała się kilka razy — naostatek jakby pchnięta siłą jakąś przeważną, skoczyła, w rękę niosąc gotowy bicz... a drugą obnażając się z sukni, która jak wór nszyta, rozerwana u szyi, opadła z niej.

Białe jej ramiona, na których widać było

zaschłe blizny dawniejszej dobrowolnej chłosty, krwią się świeżą zarumieniły.

— Baśka! — zaczęto wołać w tłumie.

Fryc Matertera, mąż, który dotąd mało dbał o nią, poruszony wstydem jakimś i trwogą, rzucił się zapóźno, aby ją nazad odciągnąć... tłum go zatrzymał w miejscu...

Gdy się to działo w rynku, w oknach kamienicy Wierzynka stał, tajemnie przybywszy, król, otoczony kilkunastu osobami swojego dworu. Odradzano mu to widowisko, które na posępnym i tak usposobieniu mogło przykre uczynić wrażenie. Kochan osobliwie sprzeciwiał się wycieczce, więcej się starając o roztargnienie dla niego, niż o to, co mogło spowodować smutek i rozdrażnienie. Łatwo było przewidzieć, że król ztąd przyniesie na zamek gorycz i zadumę.

Nie mogąc przełamać woli Kaźmirza, Kochan sam mu towarzyszył, i powołał innego jeszcze, w łaskach znajdującego się od niejakiego czasu ulubieńca, człowieka wcale niepospolitego, który, pomimo sukni swej duchownej, w godzinach czarnych był najlepszym na nie lekarstwem.

Był nim ks. Jan, opat benedyktynów z Tyńca, pomimo godności, jaką piastował w zakonie, mimo reguły, do której należał, więcej dworak i człowiek światowy niż mnich i kapłan.

Z ubogiej dosyć rodziny panoszków krakowskich pochodzący, ks. Jan w nadziei, że go sto-

sunki i opieka możnych, spowinowaconych z nim, dźwignie na wyższe stanowisko duchowne, stan ten obrał sobie... W początku kapłan świecki, udawszy się dla studjów do Bononii i Rzymu, młodzieniec nabrał tam włoskiej lekkomyślności w rzeczach religijnych, i z nią powrócił do kraju, z wielką oglądą powierzchowną z zasobem wiadomości, ze znajomością świata, i z zepsuciem, któremu rzadko ówczesne duchowieństwo polskie miejscowe ulegało.

Nie stworzonym on był wcale na duchownego, pierwsze lata młodości spędził jak wszyscy ziemianie, usposabiając się do powołania rycerskiego, na koniu, na łowach i w wesołych towarzystwach. Wielkie zdolności, umysł żywy i pojętny doradziły opiekunom, aby go skłonili do wzięcia sukni duchownej. Suknia ta i reguła zakonna nie zmieniła natury człowieka namiętnej. Zostawszy benedyktynem, wysadzony na opata, ks. Jan pozostał czem był — ziemianinem z krwi i kości, a w dodatku włoskim *cortegianem*, przekładającym towarzystwo wytworne dworskie, zabawy, myśliwstwo, uczty dowcipem zaprawne, muzykę i śpiewy, nad nabożeństwo w chórze i ślęczenie nad księgami. Pięknej bardzo powierzchowności, młody, zdrów, silny, wesół, opat Tyniecki często na łowach i w podróżach ledwie się dawał poznać, iż mógł do zakonu należeć.

Dawna surowa reguła benedyktyńska, pomimo

usiłowań obostrzenia jej na nowo i reformy — wielce rozwolnioną została. Bogactwo zakonu, napływ do niego cudzoziemców, przynoszących z sobą obyczaj obcy, daleko mniej wymagający a pobłażający do zbytku, zmieniły zupełnie charakter zgromadzenia, dawniej pracy i nauce oddanego.

Benedyktyni zabawiali się na wszelki sposób, namiętnem myśliwstwem, muzyką — ucztowaniem, sztukami pięknymi, a nauka ledwie kilku starych do księgarni, pobożność kilku gorliwszych do chóru napędzała.

Ks. Jan żył po pańsku na Tyńcu, a że życie to dzielił z innemi braćmi i na wszystko, co się działo w klasztorze, patrzył przez szpary — lubionym był i wszystko mu uchodziło bezkarnie.

Rumiany, z uśmiechem na ustach, postawą zręczną, w stroju wykwiutnym zawsze, doskonały jeździec, niezmordowany łowiec, Opat dowcipny był i w towarzystwie zupełnie zapominał, że duchowne miał obowiązki.

Dwór trzymał książęcy, przyjęcia na Tyńcu służyły z wystawnej gościnności. Działo się tam dobrze wszystkim, a ogromne bogactwa zakonu nie dawały mu uczuć rozrzutności, z jaką szafowano niemi.

Każmirz, któremu najmiłszem było towarzystwo europejsko ogładzonych i z życiem zachodniem oswojonych ludzi, przy pierwszym spotkaniu

z Opatem polubił go bardzo. Przyjaźń niemal związała ich z sobą, ks. Jan mu towarzyszył na łowy, dosiadywał z nim do późna u stołu, opowiadając o Włochach, Rzymie, Francji i Niemczech, w których przebywał. Król słuchał go, ożywiał się rozmową i ściągtał do Krakowa, lub do Tyńca zjeżdżał często.

Wielkie pobożanie wszystkim króla słabościom, a nadzwyczajne uwielbienie dla wielkich pomysłów monarchy, który kraj swój chciał na równi z innemi europejskiemi postawić — czyniły Kazimirzowi Opatu najmiłszym.

On jeden nie naganiał go nigdy, tłumaczył wszystko, usprawiedliwiał, pocieszał i bawił rozumnie, zręcznie, trafnie dobierając środków.

W sporze z biskupem krakowskim w sprawie kłątwy, Opat był naturalnie po stronie króla i pomagał mu chętnie do wyłamania się z pod surowości interdyktu. Nie zważając na nic, ks. Jan odprowadzał msze, sprawował obrzędy wszelkie i dowcipnie nawet żartował z anathemy.

Gdy król pogrążony był, smutny, znużony, Kochan, niemający już nad nim wielkiej przewagi, powoływał na ratunek ks. Jana, który znalazł zawsze nową jakąś rozrywkę, opowiadanie, zabawkę, rozpędzającą chmury z królewskiego czoła. Samo ukazanie się Opatu, którego na dworze lubili wszyscy, bo i hojnym był i chętnie poufal-

szym niżby przystało z dworzany — rozweselało wszystkich.

W rzeczach poważnych, gdzie szło o nowe prawa, reformy, o instytucje — rządził ks. Suchywilk, w którym król zaufanie pokładał; gdy potrzeba było ład zaprowadzić w żnpach wielkich, w mennicy, w zarządzie miast, w stosunkach handlowych, służył Wierzynek; do spraw miłosnych był Kochan pośrednikiem — dla rozjaśnienia czoła, przy biesiadzie, na łowach, w urządzaniu świetnych zabaw rycerskich, ks. Jan przewodniczył.

Król nie miał tajemnic dla niego. Nikt nadeń więcej nie bolał nad nieszczęśliwem małżeństwem z Adelaidą Hesską, a nawet Opat gotów je był, z pewnych kanonicznych pobudek, uważać za nieważne.

Gdy król ubolewał przed nim nad bezpotomością swą — ks. Jan głosował za nowem małżeństwem pomimo życia żony, utrzymując, że w Rzymie da się, wyrobić rozwiązanie węzła źle skojarzonego. Przywodził przykłady... król jednak wstrzymywał się obawiając nowej walki z duchowieństwem, gdy pierwsza jeszcze nie była skończoną. W sprawie ks. Baryczki Opat utrzymywał, że on sam winien był swej śmierci porwaniem się na majestat królewski, uniewinniał zabójców i t. p.

Słowem, powolniejszym nikt być nie mógł dla

Każmirza, ani wymowniej i zręczniejszemu przekonywać, iż nieprzyjaciele jego wcale po sobie słuszności nie mieli.

Mówiono, że na Opata Bodzanta kilkakroć słał skargi do Rzymu, lecz ks. Jan oszrzeżony, posyłał podarki i umiał się zawsze uniewinnić.

Dnia tego, gdy król uparł się iść przypatrywać Biczownikom, Kochan ściągnął umyślnie ks. Jana, rachując, iż przykre wrażenie, jakie oni na nmyśle króla wyrzucić mogą, zręczność i dowcip Opata rozproszą.

Ks. Jan wiedział o biczownikach w Perugii, we Włoszech i odzywał się o nich z szyderstwem, utrzymując, że dla tego we dnie się biczowali, aby po nocach najrozpasańsze orgie odprawiać...

Oprócz księdza Jana, w orszak króla był Kochan i znowu na dwór z chwilowego ukrycia wróceni, Przedbór i Pakosław Zadorowie.

Dwa te giętkie i posłuszne narzędzia w ręku Kochana, pokutowały za swą bezwstydną powolność dla ulubieńca. Rawa miał w oczach króla znaczniejszą część winy na nich spędzić — dobroci tylko Każmirza zawdzięczali, iż im przy dworze zostać dozwolono. Biedni młodzieńcy, którzy nierozumnie, pod silnem naleganiem Kochana, dopuścili się zbrodni, teraz i przez ludzi za nią prześladowani i w sumieniach byli niespokojni. Pobożni jak wszyscy owego czasu, chodzili wszędzie, domagając się rozgrzeszenia, ofiarując

na pokutę, żaden duchowny nie ośmielił się im dać absolucyi. Radzono do Rzymu... chciano, aby oba przyoblekli suknie zakonne. Zadorowie byli najnieszczęśliwsi. Oprócz tego musieli pilno baczyć, aby ich biskup nie pochwycił i do więzienia nie wtrącił, z czem się odgrązał.

W takim razie i ukaranie śmiercią, przy gwałtownym charakterze ks. Bodzanty możliwem było. W Polsce samej przykłady się znajdowały takiego wymiaru sprawiedliwości przez władzę duchowną.

Stał w otoczeniu króla i sługa jego a gospodarz Wierzynek... Widok pokutników na każdym tu inne czynił wrażenie, z każdego inne wywoływał sądy.

Król patrzył na nich ze zdumieniem, z podziwieniem, niespokojny, nieumiejąc może wytłumaczyć sobie tego stanu ducha — który takie objawy rodził.

Czoło jego powlekało się chmurami, brwi ściały — wzdychał...

Ks. Jan ramionami ruszał i oburzał się, wyrzekając, że takiej zgrai dzikiej pozwalano po świecie błądzić bezkarnie.

Wieczynek nie mówił nic, lecz widać było, że spokojnemu kupcowi a przemysłnemu gospodarzowi to naruszenie powszedniego porządku i spokoju — nie smakowało...

Drgnął król i rzucił się ku oknu, gdy zoba-

czył Baškę wybiegającą z pod domów, i z krzykiem a szaleńcem przypadającą do pokutników. Spojrzał na króla ruszającego ramionami i Rawa zbliżył się do królewskiego ucha.

— Zawsze była szaloną, rzekł — co dziwnego!!

Inni z pospólstwa, którzy poszli za przykładem Baški — wywołali szyderską nwałę opata.

— Jużciż lepiej im będzie u biczowników za trochę podrapanych pleców mieć wszystkiego do woli, bo ich głupstwo ludzkie obficie karmi i poi, a młodych dziewcząt dosyć jest w tej kupie — niż od drzwi do drzwi chodzić po żebraniu.

Król jednak nie zdawał się podzielać tego zdania opata; milczał, coraz smutniej zamysłony.

Wtem ruch mały zwrócił uwagę Kaźmirza pomiędzy bliżej stojących za nim. Dwaj Zadorowie błdzi, drżący, patrzali na siebie, jakby wzrokiem się naradzali. Pakosław chwycił za rękę Przedbora i poruszyli, z miejsca nagle. Nim Kochan i inni mogli zapobiedz i powstrzymać ich, oba pospieszyli ku drzwiom...

Kaźmirz niespokojnie spoglądał za nimi. Znikli mu z oczów. Po chwili ruch zrobił się przed kamienicą Wierzyńka, ukazali się bracia Zadorowie, pospiesznie zrzucający z siebie odzież dworską, obnażający się nawzajem.

Kochan pospieszył, domyslając co zamierzali,

aby wstrzymać ich gwałtem, bo przewidywał, jakie to wrażenie na królu uczyni, lecz już było po czasie.

Obaj bracia szli, za ręce się pobrawszy, wprost do zakapturzonego, przed którym nklękli. Dano im bicie... poczęli się chłostać.

Król wstał od okna, aby przykrego uniknąć widoku, a nieopuszczający go opat rzekł głośno:

— Lepiejby uczynił ks. Biskup, ażeby się tu wdał z władzą swoją i ludzi opętywać nie dopuścił, niż w inne wdawał się sprawy.

Król powracał na zamek...

Wśród wrzawy i wielkiego poruszenia w rynku, gdzie lud się zbliżać zaczął do biczowników i przemógłszy trwogę, mieszał z nieszczęśliwymi — wieczór nadszedł. Słońce skryło się za budowy miejskie, mrok wieczora zaległ nlice.

Biczownicy, pozostali na Rynku, który zwolna wyludniać się zaczął. Pieśni i biczowanie ustało, zgraja włóczęgów wysilona, znużona, padała na ziemię i zabierała się do spoczynku, w miejscu, które zajmowała.

Co przyległo do nich z miasta, pozostało wśród przybyszów, usiłując pobratać z niemi. Lecz tu spotykały ich dzikie wejrzenia, niezrozumiałe szyderstwa i przekleństwa. Oprocz wodzów nikt ich znać nie chciał, odwracano się od nowych braci.

Po wrzawie i miotaniu się nastąpiło milczenie głucho i spoczynek. Niektórzy już usypiali, leżąc

na pyłe ulicznym. Litościwi mieszczanie czuwającym jeszcze i głodnym spieszyli, przynosząc strawę, chleby i napoje w dzbanach.

Usiłowano, zbliżając się, dojrzeć twarzy, których część większa umyślnie kapturami była zakryta. Niektóre z nich miały rysy jakieś obce, nie swoje, inne widocznie pochodziły gdzieś z okolicy, i odarta odzież różnego też pochodzenia być musiała.

Król odszedł ztąd pogrążony w myślach, smutny, a Kochan skłonił Opata łatwo, aby go nie odstępował i rozerwać się starał. Stan ten dnccha u króla, powracający często, wymagał albo rozrywki, któraby go mogła zająć silnie, lub jednej z tych spraw, kraju tyjących, dla których o wszystkim zapominał. Ks. Suchywilka nie było aby niemi z pogrążenia tego wyprowadził, cała nadzieja zostawała w ks. Opacie Janie.

Ten też, poznawszy usposobienie Kaźmirza, nieustawał z wesołą i lekką rozmową, choć sam prawie prowadzić ją musiał, bo król mu zaledwie spojrzeniami roztargnionemi odpowiadał.

Widok tej niegdyś tak pięknej Baški, dziś pokutnicy, dwóch Zadorów, którzy nagle opuścili dwór skruczą dotknięci, całe wystąpienie biczowników, zachmurzyło więcej niż zwykle twarz królewską. Kochan, który każdy ruch jej śledził, widział także, iż król drgnął cały, zobaczywszy występującego zakapturzonego wodza biczowni-

ków, którego postawa i głos kogoś mu przypominać mnsiały. Kochan sam nie mogąc wyszukać w pamięci, do kogo był ten człowiek podobnym, pewien był, iż go gdzieś spotykał i że nie był mu obcym.

Przewidywanie ulubieńca, który chciał króla wstrzymać od wyjścia dla widzenia biczowników, ziściło się — Kaźmirz wracał przerażony i znękany.

Na biskupstwie w początku lekceważono sobie tych prostaczków i ks. Bodzanta mówił tylko o tem, że gdy się ważą do miasta, rozkaże ich czeladzi swej rozegnać, a przewódców pochwytą i do kuny na pokutę posadzi.

W ostatnich chwilach, gdy się już biczownicy zbliżali, zaczęły do biskupa przychodzić wiadomości, dające do myślenia o liczbie pokutników i ogromnem wrażeniu, jakie czynili na tłumach wszędzie, gdzie się ukazali.

W kilku miasteczkach, gdy ich rozpędzać chciano, lud się ujął za nimi, przyszło do bójki i krwi rozlewu.

Po innych posłach nadciągnęli na biskupstwo ks. Przecor dominikański z ks. Ireneuszem, domagając się z pasterzem rozmowy. Byli naocznymi świadkami zapału, jakie wywołali tu biczownicy, słyszeli płacz i głosy tłumów, — lud gorąco był przejęty...

Nie można było lekkomyślnie porywać się na

tych włóczęgów, których pozór gorliwości religijnej okrywał jakimś urokiem w oczach ludu.

Lecz biskup, ze zwykłą sobie energią, uwag tych słuchać nie chciał, miał się za silniejszego nad gawiedź zbłąkaną i roznamiętnioną — pobiłać nie myślał wcale.

Miano już wysyłać pacholków, gdy nadejście dwu dominikanów wstrzymało na chwilę wyprawę.

Wysłuchawszy ich, biskup ręką rzucił — stał przy swoim, nie obawiał się czerni...

Ks. Ireneusz, całując go w rękę, szeptał cicho.

— Wasza pasterska mość pewnie lepiej wiecie co począć, ale ludek pobożny, choć ślepy, poruszony bardzo — plakali i ci nawet, co plakać nie chcieli. Jakaś siła zła czy dobra jest przecie w tem obrzydliwym zbiegowisku — trzeba dać ostygnąć zapalowi... porozchodzą się ludzie....

— Po co zważać na ludzi? odparł biskup — sam mówisz ojcze, że jakaś moc w nich jest, a nie inna, tylko szatańska, bo on wszelkie herezye pysze ludzkiej podszeptuje... Więc precz z nimi, precz, aby się nie mnożyło zle, za które ja w sumieniu odpowiedzialnym będę. — Rozpędzić ich, niedosyć... wygnamy ich ztąd, pójdą gdzieindziej, poniosą dalej tę zarazę... Przewodców ich potrzeba zabrać, posadzić, wybadać... Reszta tego stada się rozbieży.

— Bez wątpienia — szepnął ks. Ireneusz... tylko w tej chwili biedny ludek ma lzy na oczach... a wnętrzości poruszone tym widokiem, więcby pofolgować, aż ostygną.

Biskup się zżymał przeciw temu.

— Co? ja? pasterz? miałbym się ulęknąć włóczęgów jakichś i własnych owieczek obląkanych? — Nie będzie nikt śmiał porwać się na pacholków moich, przeciwko mnie...

Z zebranego duchowieństwa jedni szli za biskupem, drudzy też trochę cierpliwości radzili... inni przynosili rozmaite wiadomości z okolicy o przeciąganiu biczowników, ich rozbojach, kradzieżach zuchwałych, nieposzanowaniu własności przez włóczęgów, którzy do chat samotnych wpadali, zabierali co znaleźli, gwałtów się dopuszczali, gdzie im się opierano.

Rozpowiadano, że w drodze, gdy ich na polu noc zachwyciła, legali pospolu, bez różnicy płci, jak bydłeta, i po szale pokutnym rozpasywali się na rozpustę wszelką, sami się potem z niej spowiadając przed sobą i rozgrzeszając.

Oburzenie było powszechne...

W powieściach część prawdy była, coś zmyślnego może, ale we wszystkim herezyja widoczna i biskup ścierpieć szerzenia się jej nie mógł, był to bunt przeciw władzy kościelnej, której biczownicy podlegać nie chcieli.

Nie mógł więc biskup słuchać umiarkowań-

szych doradców — ponowił rozkaz stanowczy, aby się czeladź jego zbierała, na rynek ciągnęła, i przewodzców koniecznie schwyła.

Noc tymczasem nadeszła...

W rynku spoczywała dzika gromada na ziemi. Wbite w ziemię chorągwie powiewały nad legowiskiem starszyny... Tłum zmniejszył się był wprawdzie, lecz jedni odchodzili, ściągali się drudzy, kupki ciekawych krążyły ciągle i otaczały biczowników.

Wśród ciszy, jaka tu teraz panowała, oddział biskupiej czeladzi przybliżył się do rynku właśnie w chwili, gdy do zamku powracała garść żołnierzy królewskich, dobrze uzbrojonych. Od czasu jak Bodzanta wyklął był Kaźmirza, pomiędzy ludźmi jego a królewskimi stosunek był nieprzyjacielski. Nie przychodziło do bitw krwawych, bo ich zakazywano, ale bójki trafiały się codziennie.

Zamkowe żołnierstwo spostrzegłszy skradających się ku rynkowi biskupich ciurów — stanęło, sotnik starszy znajdował zręczność bardzo pożądaną poturbowania kleszych rycerzy.

Biczownicy obudzili litość.

— Patrzcie oto — rzekł do swoich, co im to biedactwo winno? Biskup pewnie każe pobrać i będzie męczył po lochach... a toż przecie pobożni pokutnicy, co się modlą lepiej niż on, i gdy

stary w puchach się wylega... krwią zbroczeni na ziemi się walają.

Spojrzeni po sobie ludzie królewscy. Rozkazu żadnego nie mieli, lecz pewni byli, że ich za to nikt nie skarci, gdy kleszych przetrzepią. Stanęli więc, zajmując w cichości takie stanowisko, z którego najłatwiej im było wypaść w potrzebie.

Biskupi półkównicza okrążał już powoli biczowników...

Ci po dosyć gorącym przyjęciu w mieście, nie spodziewali się pewnie napadu żadnego i spokojnie do snu się układali... Ludzi biskupich trudno było rozeznąć wśród ciekawych, którzy jeszcze się snuli.

Gdy nagle głos starszego dał się słyszeć nie daleko chorągwi, porwał się na nogi zakapturzony dowódzca i krzyknął na swoich... Chwycili za chorągwie, dyscypliny swe i kije, stając, jakby bronić się chcieli.

Wśród ciemności krzyki powstały i zamieszanie wielkie... Lud, nie widząc kto napastował pokutników... rzucił się na ich obronę. Zgiełk, wrzawa... ścisk w rynku stał się straszny. Z kamienic ludzie powybiegali z pochodniami... Wołanie na ratunek, na gwałt, rozległo się po mieście... królewskim ludziom tego było potrzeba, puścili się na biskupich z dobytymi mieczami, płazując i siekąc. Znali się dobrze, i w tłumie

wybrać umieli. Lud, poparty przez zamkowych, padł też na czeladź biskupią.

Bieczownicy tymczasem, z ziemi się pozrywawszy, a lękając nadewszystko, aby ich nie pochwytano, rozpierzchać się zaczęli na wszystkie strony, wbiegając do kamienic, pod parkany, do ogrodów, gdzie się komu schować udało... kupka jedna puściła się ku zamkowi, inne po kątach i małych uliczkach...

Dowódzca biskupi tyle dokazał tylko, że w pierwszej chwili, pomimo dzielnego oporu, zdołał opanować i związać zakapturzonego i jego towarzysza. A że królewscy nacierali mocno, zdobyczą tą się ograniczając, biskupi pierzchnęli na dworzec pański.

Oczekiwano ich tu z ciekawością wielką, Biskup sam nie chciał spocząć, póki by nie wiedział o skutku wyprawy. Poprzedził zwrot pochołków pędem wbiegający kupką małą, dowódzca, który ciągnął z sobą dwu jeńców i zaledwie wpadłszy na podwórzec, obawiając się by go i tu nie ściągano, wrota kazał drągami zakładać i straż stawić u nich.

Gniewu jakim biskup się uniósł, gdy mu doniesiono o napaści królewskich na wysłańców jego, odmalować nie podobna.

Zsinił starzec, załamał ręce... słowa przemówić nie mógł.

Dowódzca straży niejaki Żuber, dla uniewin-

nienia siebie, malował starcie w rynku daleko straszniejszym, niż było w istocie — porwanie się ludu, straszliwe pastwienie się nad jego ludźmi bezbożnych zamkowych...

W takich warunkach cudem było prawdziwym, że potrafił hersztów schwycić, naraziwszy życie... Ks. Bodzancie już nietylko teraz szło o biczowników, jak o niesłychane zuchwalstwo królewskich żołnierzy, którzy się przeciw jego czeladzi porwali...

To wołało znowu o pomstę do Boga! Nieoprawni więc byli, a duch pana w sługach się jego odbijał...

Zgrozą przejęte duchowieństwo, potakiwało pasterzowi; już nieco złagodzony spór na nowo rozjątrzył się okrutnie.

Było to wyzwanie — była to umyślna zasadzka, król brał stronę herezji.

Zakapturzonego dowódcę rozkazując rzucić zaraz do więzienia biskupiego i strzedz pilnie, ks. Bodzanta rozmyślił się po chwili i dał go sobie związanego przyprowadzić wraz z jego spółnikiem...

Cały dwór, służba, czeladź pasterza, zbiegła się oglądać tych ludzi.

Olbrzymiej postawy i siły, zakapturzony szedł ze związanymi w tył rękami, nie okazując najmniejszej obawy, ni poruszenia. Zerwano mu kaptur, który twarz okrywał, i wyszła z pod niego

głowa, czarnym włosem krótko postrzyżonym okryta, z rysy jakby wyciosanemi z brunatnego drzewa, brwiami krzaczystemi, czarnemi sówkami oczyma, które prawie całe pod powiekami zajmowały miejsce. Wyraz był dumny — boleść, zaduma, coś dzikiego razem i skamieniałego — jak w zwierzu pochwyconym i ubezwładnionym, patrzących nań przerażało.

Ani Pasterz, ani duchowieństwo, nie odjęły mu śmiałości, nie schylił głowy, nie ugiął karku. Popchnięto go, stał.

Obok idący ten, który głosił w rynku list u Ś. Piotra w Jerozolimie znaleziony, drżał i szedł, chwiejąc się, obłąkany... Pot mu czoło oblewał, usta się krzywiły, jak do płaczu.

Ks. Bodzanta przystąpiwszy, począł od gwałtownego wybuchu i pogrożek.

Czarny wódz, oczy spuściwszy na ziemię, ani patrzył nań, ani chciał słuchać. Towarzysz jego klęczał, ręce na piersiach złożył i zachodził się od szlochania.

Bodzanta jednego ze swych sędziów duchownych, zasiadłszy, wyznaczył do natychmiastowego przesłuchania winowajców.

W milczeniu odpowiedzi słuchano.

— Kto jesteś? rzekł, przystępując doń badający.

Musiano potrafić czarnego, który zdał się py-

tania nie słyszeć, lub nie chcieć wiedzieć, że do niego było wystosowane.

Uderzony przez pachółka, grobowym głosem odparł.

— Grzesznik.

Mówił po polsku, lecz z akcentem jakimś obcym.

— Zkąd jesteś, jak się zowiesz?

Długie było milczenie...

— Nazwiska się wyrzekłem — rzekł pokutnik — gdzie się rodził — zapomniałem...

— Kto cię nauczył tego, co głosisz zuchwale ludowi?

— Człowiek boży otworzył mi oczy, pokutnik jako ja, począł, oczów nie podnosząc, pytany. Z nieba miał objawienie... Pokuty tak srogiej jak grzechy, któremi ziemia skalana, żąda Bóg...

Księża spoglądali na siebie.

— Ażali ci niewiadomo, zawołał niecierpliwie inny duchowny, że Bóg ustanowił kapłaństwo, że przez jego usta tylko idzie czysta nauka, że kto sobie przyznaje moc duchownych, winnym jest świętokradztwa?

— Bóg mówi wprost do dusz ludzkich, nie potrzebując pośredników — zawołał czarny, a kto głosu jego nie słucha, winnym jest...

Szmer oburzenia dał się słyszeć. Biskup Boddzanta ręką wskazał, aby zawieszono pytanie zuchwałego herazjarchy, i na klęczącego przy nim

w postawie skruszonej, we łzach, z ogoloną głową — zwrócił badanie.

Ten drżał ze strachu...

— Ktoś ty? — spytał go ksiądz.

Nim odpowiedź nastąpiła, czarny groźnie się obejrzał ku niemu; klęczący, który się obawiał równie władzy, co go w ręku miała, i straszniego wodza swego, niezrozumiałe bełkotać zaczął.

Naostatek wybąknął, że był klerykiem z Wrocławia, że się zwał Adam Siwek, i że — nie był winien, bo był opanowany, obłąkany, zagrożony i musiał być posłuszny.

Spytany o kartę, z której czytał, dobył ją z zapasnej, i co prędzej oddał księdzu. Pismo było świeże, niezgrabne i niedorzeczne. Podano je Biskupowi, który spojrzawszy na nie, rzucił pod nogi z pogardą.

Zwrócono się znowu do czarnego, zatwardziałego wodza Biczowników, lecz z niego nie wyciągnąć nie było można. Czuć w nim było upojonego jakąś fantazją zbłąkaną człowieka, który męczeństwa się nie lękał i wierzył, że to, co czynił, dobrem było.

Półgłosem, pogardliwie niemal, ledwie raczył coś odpowiadać, zupełnie zobojętniały na los, jaki go spotka...

Za to Siwek, chcąc się skruczą wykupić, mówił aż nadto, na ziemię twarzą padał, obiecywał poprawę — drżał jak liść.

Obu ich Biskup kazał odprowadzić do więzienia swojego.

Królewscy żołnierze, z wielkim tryumfem powróciwszy na zamek, zanieśli tam wiadomość wesolą, jak się rozumnie znaleźli w rynku, i skorzystali z okoliczności, aby czeladź biskupią przetrzepać.

Doniesiono o tem Kochanowi, a ten, korzystający chętnie z każdej okoliczności, która króla z biskupem różnić mogła, pobiegł do Kaźmirza, który z Opatem Janem i kilku ze starszyny swej siedział jeszcze n wieczornego stołu.

Lubił król te swobodne pogadanki w kółku poufałym, a nikt w nich nie był wprawniejszym, nikt lepiej prowadzić nie umiał nad ks. Jana Opata...

Wspomnienia jego Rzymskie, Awiniońskie, Bonńskie, z Włoch i Niemiec, obfitego dostarczały mu materjału.

Powiastrki włoskie, których już tyle naówezas w rękopismach i z ust do ust krążyło, historyjki z *Gesta romanorum*, ułamki poematów łacińskich i trubadurów umiał na pamięć. Suknia duchowna nie wzbraniała naówezas nauki moralnej, zawartej w tych opowiadaniach, okrywać szatą bardzo świetną, jaskrawą i dobitnie rzeczy wyrażającą. Powiastrki Opata o kobietach, o małżeństwach, o tragicznych wypadkach — zabawiały

smutnego króla, i o trosce mu dawały zapominać na chwilę.

Wśród takiej wesołej wieczornej rozmowy, śmiechami przerywanej, nadbiegł Kochan z wiadomością, że biskup się chciał znęcać nad biczownikami, że się na nich czeladź jego porwała, a zamkowi ją rozpędzili i przetrzepali.

Opat był wprawdzie niedawno sam tego zdania, iż ks. Bodzanta przeciwko publicznemu zgorzeniu wystąpić był powinien — ale — trzymał z królem, a król okazał dla pokutników współczucie — zmieniło się więc zdanie Opata.

W istocie, na pierwszą wiadomość o tem zajściu, Kaźmirz żywo wyraził swe oburzenie i litość nad biczownikami.

— Jeżeli się jacy na zamek schronić przyjdą, zawołał — dać im bezpieczny przytułek. Obłąkani są, ale biedni... należy im litość tem większa.

Opat milcząco skłaniał głowę.

W walce z Biskupem król musiał korzystać z każdej zręczności, aby mu opór stawić i dać czuć siłę swoją.

Jak skoro biczowników on ścigał — Kaźmirz ich musiał bronić..

Była to zwykła logika namiętności, ale gdzież i kiedy się dzieje inaczej?

Tak się ten dzień skończył.

Ulubieniec króla rad był, że choć rozdrażnienie zastąpiło ten smutek odrętwiający, tępy, któ-

rego się najwięcej obawiał. Wolał widzieć pana gniewnym niż obumarłym.

Za odchodzącym Opatem, który na zamkn miał nocować, poszedł Kochan na radę...

— Widzieliście go, rzekł Rawa, odprowadzwszy do izb dlań przeznaczonych. Litość bierze nań patrzeć! To najnieszczęśliwszy a najlepszy z ludzi. Kraj przez niego zabuduje się, zmuruje, urośnie, pobogacieje, będzie prawa miał, bogactwa, ład, wszystko — ale on — on... szczęścia nie zazna...

Co warto życie takie!

Ks. Jan słuchał milczący...

— Czuwać powinniście nad tem — rzekł po namyśle, aby mu rozrywkami osładzać ten żywot smutny... Widzicie, że i ja czynię, co mogę.

Łowy lubi — ale te go na krótko rozruszają, znużony wraca do czarnych myśli.

— Czarnych myśli — podchwycił Rawa — jedną on tylko ma, jedną, i ta mu życie truje... Potomstwa płci męskiej odmawia Bóg, korona przejdzie na Węgry...

Opat ramionami ruszył — jakby chciał powiedzieć — rady na to nie znam...

— W Krakowie — dodał Kochan, każda zabawa królewska zaraz za zbrodnię jest głoszoną. Podoba mu się gładka twarz, wypominają mu opuszczoną królowę, zabawi się rozmową z kmiotkiem, krzyczą, że to król dla chłopów...

Bolał jeszcze dłużej Kochan, i zapewniwszy się, że Opat dłużej zabawi, odszedł nareszcie.

Jemu nie dosyć było na tem, że królewscy żołnierze rozpędzili czeladź biskupią; wiedział od nich, że dowódców uprowadzono. Nazajutrz usłyszano, że ich do więzienia wtrącono... Wyrwać ich z rąk Bodzanty, było dlań zadaniem — od którego nie chciał ustąpić. Wyszedł na miasto.

Tu wszystko jeszcze było wczorajszemi wypadkami rozkołysane, zaniepokojone, a lud, jak zawsze lud, pognębionych i biednych brał w obronę.

O popłochu nocnym opowiadano osobliwe rzeczy. Przerażona napaścią Baśka Matertery, która już była postanowiła iść w świat z biczownikami, zawstydzona, splakana, pokrwawiona, odarta, wróciła do domu i leżała chora. Fryc, lękający się, aby mu nie uszła, nim resztę jej mienia prawnie opanuje, pilnował ją zamkniętą. Biedna niewiasta w gorączce rwała się ciągle do dyscypliny, śpiewała pieśni pobożne, śmiała się, szalała jeszcze...

Pokutnicy, z różnych stron świata pozbierani, którzy wczoraj tak uroczyście do Krakowa wchodzili, nocą prawie się wszyscy rozproszyli małemi po okolicach kupkami. Bez chorągwi, bez woda — nie wiedzieli już, co począć z sobą. Duchowieństwo wiejskie, mające przepisy surowe, zamykało im kościoły — nie dozwalało, jak w po-

czątkach, pobożnym wychodzić na powitanie z procesjami, krzyżami i śpiewem...

Dwaj Zadorowie, którzy się wczoraj także dobrowolnie złączyli z pochodem Biczowników, po rozproszeniu ich potajemnie na zamek powrócili. Lecz oba oni już do świata i życia pierwszego powrócić nie chcieli.

Poszli razem do Franciszkanów prosić, aby ich do zakonu przyjęto.

Po wczorajszym szale stygło miasto powoli, lecz w umysłach zostało wspomnienie chwili, która do pokuty była wyzwaniem. Z rana kościoły, które biskup otworzyć pozwolił, były pełniejsze, niż kiedy, spowiadali się ludzie, oblegali ołtarze, płakali...

Krwawa procesja nie schodziła im z oczów, i ta pieśń z jękiem pomieszana, w takt chłosty, którą wczoraj się rynek rozlegał...

Kochan myślał nie o pokucie, lecz o wyrządzeniu ks. Bodzancie przykrości, o wyrwaniu z rąk jego schwyconych biczowników. Mówiono właśnie, iż Biskup chciał surowym kary przykładem odjąć innym ochotę do herezyj nowych. Nie było niepodobieństwem, by śmiercią nawet ich nie karał. Władza duchowna w przeszłych wiekach po kilkakroć sama się nią posługiwała, przeciw winowajcom przez sądy jej skazanym...

Nie mogło to jednak stać się bez badania i

spełnienia form pewnych, które choć kilka dni czasu wymagały.

Kochan miał swoich na biskupstwie, tak jak ks. Bodzanta na zamku. Śledzono się wzajemnie, donoszono na obie strony, walkę podsycając.

Rozżarzyła się już nieco uśpiona, na nowo, a Rawa chciał ją jak najdłużej utrzymywać...

Więzienie biskupie, nieopodal od dworu, było dosyć pilno strzeżone, lecz rzadko mieściło w sobie takich winowajców, na którąby zbytnią zwracano baczość. Budynek drewniany, stał jedną ścianą do ulicy, podkopać się doń nie było trudno...

Król z ks. Opatem wyruszył na polowanie, Kochan pozostał... Brakło mu teraz ludzi tak zręcznych i tak oddanych, jak byli dwaj Zadorowie, lecz grosza królewskiego nie chciał żałować na to. Miejskich pacholców miał w rękę przez Wierzyńka...

Dzień jeden po pierwszym badaniu biczowników, zostawiono ich w zamknięciu, nimby sąd się zebrał. Tylko klecha Szlązak wyprosił się i wymodlił obiecujące zeznania, iż go z więziennej izby przeprowadzono i pisarzowi sądowemu na ręce oddano.

Czarny pozostał sam jeden.

Trzeciego dnia, po rannej mszy biskupiej, wszedł do biskupa zafrasowany kapelan.

Spojrzał nań ks. Bodzanta.

— Z biczownikami skończyć raz potrzeba, póki to nie wystygło, odezwał się biskup. O herezję przekonać ich łatwo, wyrok trzeba ogłosić publicznie...

— Ale spełnić go nie będzie na kim — przerwał kapelan, potrząsając głową.

— Jakto? zakrzyczał Bodzanta, dwaj główni przewodzcy w rękach naszych!

— Byli — dokończył kapelan.

Zdumiał się Biskup.

— Dzisiejszej nocy herszt się wykopał z więzienia i uszedł — mówił ksiądz, a kleryk, którego pisarzowi oddano, poszedłszy wody się napić, wpadł jak w wodę...

Rozgniewał się biskup strasznie, powołano tych, co mieli obowiązek strzeżenia więźniów, indagowano. Jawnem było, że jakaś niewidzialna ręka w pomoc przyszła biczownikom. Wykopana jama nie mogła być dziełem jednej nocy i jednego człowieka. Wyrzucanie ziemi ukazywało, że z zewnątrz się podkopywano.

Byliż to bracia biczownicy, skryci w Krakowie, czy kto inny? Kto klerykowi zbiegłemu w biały dzień dał przytułek?

Chciał biskup rzucić klątwę na współników i posiłkujących herezjarchom...

Kochan tymczasem wcale z tego nie czynił tajemnicy, iż zbiegom dwom z biskupiego więzienia dał na zamku przytułek...

Gdy król z łowów powrócił, stawiał się przed nim ze śmiałą twarzą i wesołym obliczem. Nie przyznawał się do pomocy danej zbiegłym więźniom, oznajmił tylko wprost Kaźmirzowi, iż proszącym o przytułek, dał go na zamku.

Król pochwalił to głowy poruszeniem.

Zaledwie się wieść o tem po mieście rozbiegła, gdy ją usłudźni Biskupowi przynieśli. Można sobie wystawić, z jakim gniewem przyjął ją ks. Bodzanta. Pocieszał się tem tylko, iż nowy i ciężki zarzut przeciw królowi przesłać będzie mógł papieżowi, jako przeciw opiekunowi sekciarzy.

Pozostawało teraz Kochanowi pozbyć się tak tych gości niepotrzebnych, ażeby znowu w ręce biskupa nie wpadli i bezpiecznie się gdzieś schronić mogli.

Sam on nie widział ich jeszcze. Czarny wódz izbę miał w zamku przy czeladzi, a klecha Szlązak, bojąc się z nim siedzieć, gdzieindziej się wyprosił. Wszedłszy, zastał zbiega już odzianego w suknie, które mu na zamku dano, i kaptur na głowie, twarz zakrywający. Podobieństwo, jakie zdala go widząc, znalazł między nim a jakimś we wspomnieniach swych dawniej znanym człowiekiem, uderzyło go na widok tej postaci, chociaż rysów twarzy widzieć nie mógł.

Nieznajomy tak tu, jak wprzód w więzieniu i na badaniu, zupełnie zdał się na los swój obojętnym...

Kochan zapytał go, co z sobą myśli poczynąć. Ruszenie ramion było całą odpowiedzią.

Niecierpliwiło to ulubieńca króla, iż nawet podziękowania za wyświadczoną pomoc nie otrzymał. Siedzący nie wstał na widok jego... Kaptur zwieszony nad czołem zwiększał ciekawość Rawy.

— Pomogliśmy wam do wyswobodzenia się z rąk biskupich, rzekł, któryby litości nad wami nie miał. Kto wie, życiem mogliście przyplacić.

— Życiem? zamruczał pokutnik — a życie, co? Umrzeć przecie potrzeba...

Mówił to szyderskim tonem, powoli, głos był jakiś znajomy.

— Kto ty jesteś? zapytał Kochan, przystępując.

— Człowiek; dla tego, jak ty umrzeć muszę — rzekł pokutnik obojętnie.

— Lecz jeśliś pokutować chciał za grzechy — odezwał się Kochan, to ci coś przecie życie warto... Będziesz miał czas pokutę twą odprawić...

Czarny nie odpowiadał. Kochan coraz się bardziej zżymał i niecierpliwił.

Dokądże ztąd iść myślisz? zapytał.

— W świat, szukać takich jak ja i iść dalej, wołać grzesznych do pokuty.

— Schwycą was...

Ruszył ramionami pokutnik...

Nie mogąc słowa z niego dobyć, zniecierpli-

wiony tym oporem, Kochan zamruczawszy coś, stuknął drzwiami i wyszedł.

Wieczorem, gdy Kaźmirz się kładł do snu, Kochan mu począł opowiadać swoje spotkanie i rozmowę z wodzem biczowników. Słuchał jej król z żywym zajęciem.

— Cóż to za człek? zapytał.

— Ani twarzy okazać, ani mówić nic o sobie nie chce — rzekł Kochan, a przysięgłbym, żem go gdzieś widział i głos ten słyszałem...

Zadumany Kaźmirz, już się kładnąc, zawołał nazad odchodzącego faworyta.

— Kochan — ja tego człowieka widzieć muszę...

Rawa z okrzykiem się temu sprzeciwił.

— Miłościwy panie, to widowisko nie dla was, rzekł. Nie rozweseli ono a smutku mamy i tak dosyć... Z niego nic nie wydobędziecie?

— Ja? zapytał król — ja?

— Dziki jest...

— Chcę widzieć dzikiego! powtórzył Kaźmirz...

Rawa, nie przedłużając rozmowy, wyszedł. Sądził, że fantazji tej król zabędzie, a on tymczasem pokutnika z zamku wyprowadzi. Lecz nazajutrz król po dwakroć mu przypomniiał z naciskiem, iż człowieka tego widzieć musi.

Sprzeciwiać się mu, gdy w ten sposób wolę swą objawiał, nie śmiał Kochan.

Ku wieczorowi kazał się prowadzić Kaźmirz.

Zapobiegając temu, ażeby dziki człek nie przy-

jął króla, nie znając, w ten sposób, jak jego, Kochan pobiegł mu oznajmić przodem, iż król, pan miłosierny i dobroczynny, widzieć go chciał. Usłyszawszy to, poruszył się nieco pokutnik, lecz z miejsca nie powstał.

— Po co? rzekł — król mnie a jam jemu nie potrzebny, król mój teraz na niebiesiech, jego jednego znam... Ten, który był niegdyś moim, wymordował mi rodzinę, znieważył siostrę, zabił ojca, skazał na wygnanie ród mój...

Wstał mówiąc to, odsłonił kaptur, i Kochan z przerażeniem poznał w nim tego Amadeja, brata Klary, którego widok dawniej król za wróżbę nieszczęśliwą, za przypomnienie życia chwili najpełniejszej goryczy uważał.

Kochan przeraził się, chciał biedz natychmiast, aby Kaźmirzowi nie dopuścić z nim spotkania. W sieni już kroki słychać było. Drżący Kochan zastąpił drogę panu.

— Miłościwy — królu mój — wy tego człowieka widzieć nie możecie.

Wyraz twarzy ulubieńca, zamiast ustraszyć Kaźmirza, więcej jego ciekawość obudził. Zmarszczył się.

— Puszczaj mnie — zawołał groźnie — puszczaj! Kochan ukląkł przed nim.

— Nie puszczę was! rzekł, chwytając za suknię!

Wtem król wyrwał się z rąk jego i śmiałym

krokiem postąpiwszy ku drzwiom, otworzył je... Czarny człek siedział zakapturzony, oparty na ręku, nie podniósł głowy...

Kaźmirz go po ramieniu uderzył.

— Wstań — mów, kto jesteś? chcę widzieć cię...

Westchnienie wyrwało się z ust siedzącemu, wyprostował się, ręką chudą i czarną odrzucił kaptur i stanął nie mówiąc nic — król poznawszy go, pobladł i na krok się cofnął.

— Tyś jest? zapytał zdumiony...

Chwila milczenia nastąpiła długo.

— Za jaki grzech pokutujesz? dodał po chwili.

Amadej wlepił oczy w niego.

— Za jaki? za twój może — królu — rzekł szydersko. Pokutą moją błagam Boga, aby krew naszą toczyć przestał, aby reszta rodu mojego wolną była od pomsty jego... aby nie wszyscy Amadejowie ćwiertowani i darci kołmi, mizerny żywot kończyli... Pokutuję i za was, aby wam coście ostatnim z rodu naszego przytułek dali, zapłacił przebaczeniem miłosierdzie wasze...

Król słuchał milczący i poruszony...

— Odpokutowaleś już, rzekł głosem złamanym po krótkim przestanku... Wracaj...

— Dokąd? zapytał z szyderstwem Amadej. Tam, gdziebym wrócić chciał, na ojcowiznę moją, czekają mnie tylko: wspomnienie zbrodni, srom i groby... a tu? obcy kraj...

Chciałem przyrosnąć do niego... nie mogłem..
Rwie się dusza gdzieindziej — zaparto! Tu do-
mu nie mam, nie chcę mieć domu...

— Żadasz czego odemnie? odezwał się kró-
cicho...

— Aby mnie puszczono wolno... pójde, rzekł..
nie potrzebuję nic...

— Stał jeszcze chwilę król, zwrócił się po-
wołał i wyszedł milczący. Na progu zachwiał się,
odwrócił, spojrział, i nie mówiąc słowa, wrócił do
swej komnaty.

Chociaż ks. Jan był jeszcze na dworze, król
dnia tego, ani jego, ani nikogo widzieć nie chciał
Zamknął się, zakazując wpuszczać. Kochan tylko
posługiwał mu milczący...

Trzeba było dłuższego czasu, nimby smutek
i gorycz dnia tego przetrawiły się w nim i osła-
bły... Kochan posłał po Suchywilka, bo ten jeden
sprawami kraju mógł go tak zająć i opanować
umysł jego, że nawet największe strapienie ustę-
powało temu, co król za obowiązek i zadanie
główne życia liczył.

Ks. Suchywilk przybył, niosąc przygotowane
prawo o sądach wyższych dla osadników na nie-
mieckim zakonie. Wierzynek przyniósł wiadomo-
ści i plany, jak żupy wielkie urządzać na nowo.
Dwie te ważne sprawy wyrwały Kaźmirza z odrę-
twienia i pogrążenia w sobie...

Trzymano go niemi, jak najdłużej je przeciąga-

jąc. Wierzynek potrzebował ściągać urzędników od soli, ks. Suchywilk naradzać się z temi, co na prawie magdeburskiem osadzeni byli — a tych mnogo już w kraju się znajdowało.

Nie dawano królowi spoczynku, lecz znużenie było zbawiennem, prowadziło z sobą zapomnienie... nie dawało się zatapiać w przeszłości.

Tymczasem spór z biskupem ciągnął się bez końca — i spokoju nie dawał... król musiał wyprawić posłów do papieża.

Kochanowi zabrakło wreszcie pomysłów do rozrywania ukochanego pana, który pracy miał zawsze podostatkiem i troski, — a nad łowy i rzadkie odwiedziny książąt Mazowieckich, posłów krzyżackich, którego ze Szlązkich Piastów, żadnej zręczności pokazania się i zobaczenia świata.

Od czasu nieszczęśliwego pobytu w Pradze, zakończonego pogrzebem, nawet to miasto, ulubione Kaźmirzowi, zrażało go wspomnieniami smutnemi. Zapraszał go cesarz, pamiętny dawnej przyjaźni i pragnący dobre utrzymać stosunki z Polską, Kaźmirz się wahał i ociągał.

Dnia jednego ks. Jan, Opat z Tyńca, przybył do Krakowa, było to wiosną w roku następnym...

Zawsze wesół i dobrej myśli, tym razem jeszcze był więcej ożywiony i rozmowny.

Powracał on z Pragi, dokąd się był udał w interesie zakonu, lecz korzystał z tego, aby się rozpatrzeć w mieście; dostał na dwór cesar-

ski Karola i z uniesieniem mówił o życiu i świętości, które otaczały monarchę. Praga była niejako chwilowo stolicą cesarstwa, nieustannie napływali tam książęta z Niemiec całych; odbywały się turnieje, dwór zabawiał się, a około cesarza gromadzili ludzie uczeni, artyści, co Europa miała najslawniejszego i najgodniejszego widzenia.

Z wielkim zapalem opisywał Opat wszystko, i wychwalał cesarza — który, jak wiedział, — pamiętnym był dawnych stosunków z Kaźmirzem i mocno go widzieć pragnął.

Ks. Jan nie wahał się też mówić i o piękności dam na cesarskim dworze, o wielkiej oglądzie ich obyczajów i przyjemności obcowania z niemi.

— Miłościwy panie — dodał — czas jest, abyście dla dobra Polski nawet, zbliżyli się do cesarza. Związek z nim da nową siłę, zagrozi nieprzyjaciółom, w sprawie z krzyżakami będzie pomocnym, u Papieża też dać może poparcie; W. miłości zaś przyniosą odwiedziny w Pradze nowe życie, potrzebną rozrywkę. Któż wie... może jaki widok o połączeniu w przyszłości, gdy związek z ks. Adelaidą rozerwany zostanie, co nieochybnie nastąpić powinno...

Król słuchał z ciekawością natężoną, widząc było, iż dusznie pragnął udać się do Pragi, wspomnienia tylko Margarety wstrzymywały go.

Opat nalegał — Cesarz właśnie bawił w czeskiej stolicy, otoczony gośćmi dostojnymi.

Nie chciał król najechać sąsiada niespodzianie, i po krótkim wahaniu wyprawił z listami Podkomorzego Szczedryka, dodając mu do boku Kochana.

Szczedryk był urzędowym posłem, Rawa poufnym. On miał rozpatrzyć się tam między ludźmi, zbadać humor i usposobienia, przynieść królowi skazówki przed podróżą potrzebne.

W ciągu kilku dni wrócili posłani, z zaproszeniem życzliwem i gorącym od Cesarza, a Kochan z większem uniesieniem jeszcze począł mówić o dworze Karola.

Licząc się do najprzedniejszych dworzan Kaźmirza, Kochan razem ze Szczedrykiem miał zaszczyt znajdować się na wieczornej zabawie w pałacu cesarskim. Piękny mężczyzna, wielki strojniś, miłujący ubiory wykwintne, Kochan wystąpił tam tak, aby panu swojemu nie uczynił wstydu; i był bardzo dobrze przyjętym.

A że do niewiast miał słabość, wiele prawil o nadzwyczajnych wdziękach tych, które tam oglądał.

— Było ich tam dość, i książęcych rodów i rycerskich, różnej krwi, bo i Włoszek, i Francuzek, i Niemek — powiadał Kochan — lecz, nie do wiary, prawie jedna mieszczanka czeska z Praги, niedawno owdówiała po Rokiczanie, Krysty-

na, przed wszystkiemi prym trzymała. Piękność jej przystałaby i królowej, ale też królewską ma dumę.

Wszyscy tam ku niej mieli tylko zwrócone oczy, a inne się z zazdrości wściekać musiały. Oprócz wdzięków i młodości, bo mało co rok dwudziesty przeszła, ubiór jej i klejnoty, które na sobie miała, jeszcze ją czyniły piękniejszą. Choć mieszcza, strojem się równała z żonami komesów, baronów i książąt, a umiała go dobrać i do twarzy swej, i do pleci, i do postawy...

Począł się król z ciekawością wielką dopytywać o tę Krystynę, a Kochan, który to może przewidywał, dobrze był bardzo uwiadomiony i szczegółów mógł dostarczyć.

Wiedział, że wdowa była bardzo bogatą, że o rękę jej starali się możni, nawet czescy panowie, że wcale nie była przystępną — a więcej może miała dumy niż piękności i — przepowiadano też jej świetną przyszłość, bo na dworze Cesarza głowy wielu pozawracała

Kochan, jakby naumyślnie ciągle do Krystyny tej powracając, króla ciekawość obudził do najwyższego stopnia.

— Miałżebyś w niej być rozmiłowany, że tak ci stoi ciągle na myśli? zapytał król zartobliwie Kochana.

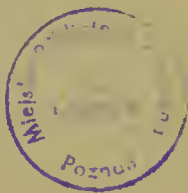
— Niech Bóg unie od tego uchowa — odparł Rawa — bo by się moja miłość wcale na nie nie

zdała. Wyżej ona patrzy, i na mnieby się obejrzeć nawet nie raczyła.

Ani pochlebstwy, ani podarkami ująć jej nie można — doświadczenia ma dość, a, jeśli prawda, wyżej ceni dostojęństwa i tytuły, niż wszystko... Ktoś ze dworu cesarskiego pewnie piękną jej rączkę pochwyti...

Z licznym poczem i okazałością królewską, w orszaku znacznym rycerstwa, Kaźmirz ostatnich dni marca wyruszył do Pragi, w odwiedzinę do Cesarza.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



Biblioteka Raczyńskich

JK 179



JK0179